

- „Pluton” - powracający koszmar Ameryki - str. 9
- O gazetach Łodzi międzywojennej - str. 5
- Spirytus można zrobić z wszystkiego - str. 13
- Wideonotes, czyli o filmach z kasety - str. 10
- 160 lat „Uniontexu” - fotoreportaż z festynu - str. 3



Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 19 (1519) ROK XXX

9 MAJA 1987 ROKU

CENA 25 ZŁ

Uważa, że jest ciągle jeszcze w drodze do sztuki i że chyba źle go uczono. Nie chce być korepetytorem. Na wystawach skandali nie było, tylko raz Fin zaczął demolować eksponaty.

Nie jestem szamanem

Rozmowa z WŁADYSŁAWEM HASIOREM

— Jadąc do Zakopanego na spotkanie z panem, zastana-
wiałem się, kim pan właściwie
jest: szamanem, który poprzez
swoje praktyki zawiązuje wyo-
brażenia innych, zaklinaczem o-
mleającym zmusie drewno, me-
tal, materiał do samodzielnego
życia, czy może realista,
dla którego świat ma więcej
niż trzy podstawowe wymiary?
— Bardzo bym się cieszył,
gdyby pan uwierzył, że usiłuję
być realistą. Szaman czy zakli-
nacz — te dwa pojęcia nie nie
znaczą, a tylko demonizują
przestrzeń między mną a pa-
nem. W dalszym ciągu nie
wiemy, co to jest, natomiast
być realistą bardzo bym chciał
i właśnie z tego wywodzi się
moja niejaką zdolność prze-
stalcenia materii w takie zna-
czenie, w jakie ja sobie żyję,
bo ona promieniowała na od-
biornicę. W materii dostrzegam
nie tylko jej cechy plastyczne,
które mi są potrzebne i zwrac-
am na nie bardzo uwagę, jak
na przykład jej, tej materii
kształt, formę, kolor, fakturę,
bo wiem, że za jej tymi fizycz-
nymi cechami kryje się coś, co
dla innych realistów jest nie-
dostrzegalne. I tu byłby może
ów moment rzekomej tajemni-
czości. Materia oddziałuje
psychologicznie również. My, w
naszym codziennym praktycz-
nym życiu, na wszelką materię
patrzymy merkantylnie, prak-
tycznie. To jest nasza pierwsza
cecha racjonalnego współistnie-
nia czy istnienia w otaczającej
rzeczywistości. Właśnie dla ce-
lów sztuki potrzebna mi jest
zdolność dostrzeżenia w tej
materii właśnie czegoś niema-
terialnego. Zastrzegam się, że
niczego nie chcę demonizować,
to nie są jakieś supertajemni-
ce, tylko po prostu fakt fizycz-
ny, możliwy do dostrzeżenia
przez uprawiającego sztukę tak
długo jak ja. Ja wpatrzam się
w te szatunki materii i one
są dla mnie nie fizycznymi,
ale żywymi istotami. Wtedy
przy pomocy tego mogę osią-
gnąć, wywołać pewien nastrój.
To samo zadanie ma malarz,
który wytiskując farby z tu-
by — a nie kolor jeszcze —
poprzez swój tajemniczy ta-
lent przestarcza tę materię far-
by w cud malarzski. To oczy-
wiście zdarza się co drugiemu
lub co trzeciemu malarzowi. I
ja komponując swoje ekspona-
ty z różnych materii mam ten
właśnie obowiązek przestarcza-
nia, by nie demonizować samą
dziwność materii, choć i to jest
dość istotne, ale włas-
nie tak kojarzyć róż-
ne gatunki mate-
rii z sobą, by
powstała całość by-



Foto: Andrzej B. Górski

ZGIERZ: Jedna działka budowlana, dwóch kandyda-
tów na jej właściciela, dwa sprzeczne ze sobą wy-
roki sądowe i bardzo dużo niepotrzebnego zamiesz-
ania.

Zakalec

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Spory o ziemię są stare jak świat i zawsze jest ich za dużo. Jedne nabrzmiewają latami, inne wybuchają nagle, a potem trwa-
ją i trwają. W każdym takim sporze są co najmniej dwie stro-
ny, z których każda jest przekonana, że to właśnie ona ma ra-
cję. Jeśli sporu nie da rozstrzygnąć się bezpośrednio między za-
interesowanymi, zwykle trafia on do sądu. Sąd bada sprawę
i wydaje wyrok. Ale wyrok nie musi wcale kończyć sporu, prze-
ciwnie — może go jeszcze bardziej zaognić i skomplikować. Wte-
dy — zdarza się — spór zostaje przeniesiony na łamy prasy, bo
ludzie myślą: nie pomógł urząd, nie pomógł sąd, to może niech
prasa spróbuje pomóc, i znów przedstawiają swoje racje.

W sporze o działkę w Zgierzu przy ulicy Nowotki 29 stronami
są: Michał Majchrzak — rencista, były długoletni robotnik w
zakładach „Fresco”, oraz Włodzimierz Łuchniak — rzemieślnik,
właściciel zakładu cukierniczego. Spór trwa od 1984 roku i choć
wnikał węd już urzędnicy i prawnicy ze Zgierza, Łodzi, a tak-
że Warszawy, końca jego nie widać, gdyż każde z dotychczas-
wych rozstrzygnięć pozostawiało jakieś ale.

Z PUNKTU WIDZENIA MICHAŁA MAJCHRAZKA

i jego rodziny sprawa wygląda tak:

Od 1982 roku dzierżawił on działkę o powierzchni 242 metrów
kwadratowych — własność Skarbu Państwa — pozostającą w ge-
rali Rejonowego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mie-
szkaniowej w Zgierzu. Na działce rosły brzoza i krzewy owo-
cowe, kwiaty, warzywa, a umowę o dzierżawie przedłużano każ-
dego roku na następny bez żadnych przeszkód, BPGKIM było to,
widać, na rękę. Zadowolony był też Majchrzak, ponieważ działka
przylegała do podwórka kamienicy, w której mieszkał i nadal
mieszka — z żoną, córką Mariolą i wnuczką. Wszystko miał
więc pod ręką. Opłaty za dzierżawę nie obciążały zbytnio kiesze-
ni, co też ważne, a gdyby kiedyś chciał zostać prawnym właścicielem
owego skrawka ziemi, jako wieloletni dzierżawca miał zagwaran-
towane prawo pierwokupu. Tak przynajmniej myślał.

I tak też było do 1983 roku, kiedy to pojawił się u Majchrzaka
posiadający po sąsiedzku zakład cukierniczy Włodzimierz Łuch-
niak z poleceniem, by oczyścić teren działki, gdyż on chce zło-
żyć tam swoje materiały budowlane. Jakże materiały? Dlaczego
na mojej działce? — zdziwił się Majchrzak i poprosił córkę Ha-
linę, by poszła do Rejonu Obsługi Mieszkańców na Mielczarskie-
go dowiedzieć się, co się za tym kryje. Kierownik ROM też był
zdziwiony: nikt mu o niczym nie mówił, niczego nie polecał, po-
za tym umowa o dzierżawę przedłużona została przecież na ko-
lejny, 1984 rok. Uspokoiko to trochę Michał Majchrzak, więc
dalej hodował swoje kwiatki i pietruszki, zaś materiały budowla-
ne Włodzimierz Łuchniak złożył na sąsiedniej działce, gdzie nie-
gdyś znajdował się punkt sprzedaży węgla.

Mniej więcej w rok później, we wrześniu Michał Majchrzak
zauważył pewnego dnia po powrocie z fabryki, że plot działki
jego działki od dawnego składu węgla jest przewrócony, najbliż-
sze niego grządki rozleźdżone i rozdeptane, polamane kwiaty
i trawy, a jacyś robotnicy kopią dół pod fundamenty.

W tej sytuacji Halina Fluderska wybrała się nazajutrz do Wy-
działu Geodezji Urzędu Miasta w Zgierzu, przedstawiając w
imienu ojca stan rzeczy i prosząc o wyjaśnienia. Zastępująca
kierownika Magdalena Matusiak stwierdziła wtedy, że wszystko
jest w jak najlepszym porządku, gdyż obie działki... należą już
do Włodzimierza Łuchniaka, który może na nich robić, co chce,
zaś umowa o dzierżawę straciła swą ważność.

— Jak to nieważna? — oburzył się w domu Michał Majchrzak,
na którego wiadomość przyniesiona przez córkę spadła jak grom
z jasnego nieba. — Przecież jest dokument! — I natychmiast na-
pisał skargę do Komisji Ochrony Środowiska Miejskiej Rady
Narodowej.

Skarga pozostała bez odpowiedzi. W grudniu 1984 roku napi-
sał następną — do wiceprezesa Zgierza, Sławomira Ty-
lmana. Wylał w niej cały swój żal:

„...we wrześniu br. Ob. Łuchniak przystąpił do wykupu funda-
mentów, a w październiku br. załatwił fundamenty. Nie zważając na
mój sprzeciw, przewrócił ogrodzenie dzielące nasz teren w głąb
mojej i wszedł fundamentem już na dzierżawioną przez mnie
zgodnie z umową działkę. (...)

Ob. Łuchniak: 1) nie posiada notarialnego aktu własności (...)
gdyż dopiero ubiega się o w/w teren. 2) nie posiada również po-
zwolenia na budowę (...)

...praktyki jakie stosuje ob. Łuchniak Włodzimierz wdzierając
się na mój jeszcze teren dzierżawiony, niszcząc moje nasadzenia
oraz bezprawnie dysponując własnością Skarbu Państwa, której
nie posiadał w sposób formalny jest jawnym przykładem bezpra-
wia i warcholstwa...”

Nadmieniał też, że wobec powyższego oficjalnie zwraca się do
władz miasta o zgodę na wykupienie dzierżawionej dotąd działki
na własność.

Odpowiedź nadeszła w lutym 1985 roku, a była nią
decyzja, w której wspomniana już Magdalena Matusiak odma-
wiała Michałowi Majchrzakowi prawa do działki, natomiast przy-
znawała cały teren przy ulicy Nowotki 29 o łącznej powierzchni
550 metrów kwadratowych małżeństwu Bożennie i Włodzimierz-
owi Łuchniakom, w użytkowanie wieczyste na 99 lat za śmieszną
sumę 21 tysięcy złotych.

Uzasadnienie brzmiało nawet przekonująco: Łuchniakowie o-
trzymali obie działki na mocy uchwały MRN z 10
października 1984 roku, po pozytywnym zaopinio-
waniu sprawy przez Komisję Handlu, Usług
i Rolnictwa, Komisję Gospodarki Miejskiej i Ochrony
Środowiska oraz Komitet Obwodowy nr 4; w planie za-

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.
Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz
Szamański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałęsiński

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Białecki,
Bohdan Gadomski, Jacek
Giebski, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Marek Koprowski,
Włodzimierz Krzeminski,
Marek Mamos, Zenon
J. Michalek, Ryszard

Nakonieczny, Adam
Ochab, Jacek Papisiewicz,
Karol J. Strusiński, Marek
Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady
Graficzne RSW „Prasa —
Książka — Ruch” Łódź ul. Armii
Czerwonej 23

Redakcja nie zwraca nie
zamówionych reklam i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
Instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woj-
wódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— Instytucji i zakładów pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 2.
Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzęd-
ach pocztowych i u doręczycieli.
Osoby fizyczne zamieszkałe
w miastach — siedzibach Odd-
ziałów RSW „Prasa — Książ-
ka — Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach poczt-
owych, nadawców oddawczych
właściwych dla miejsca zamiesz-
kania prenumeratora. Wskazy-
wanie się na adresy pocztowe
„wpłaty” na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW
„Prasa — Książka — Ruch” 3.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki
za granicę przysyłają RSW
„Prasa — Książka — Ruch”
Centrala Kolportażu Prasowy
Wydawnictwo ul. Towarowa 28
00-958 Warszawa konto NRP 4 V
Oddział w Warszawie nr 1153-
201045 139-11 Prenumerata ze
zleceniem wysyłki za granicę
pocztą zwykłą jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceńców indywidualnych
i o 100 proc. dla zleceńców
Instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenu-
meraty na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 10 października —
poprzedzającego okres prenu-
meraty roku bieżącego.

Zam. 1336. H-2

Przegląd prasy

Sensacja wydawnicza w Ju-
gosławii stała się książką
Zrinki Novak, komentarki
RTV w Zagrzebiu, pod tytu-
łem „Dialogi polskie — rozmowy
z Wojciechem Jaruzelskim”.
Stenogram wielogodzinnego
wywiadu, który odbył się w
sierpniu ubiegłego roku
(wkrótce po X Zjeździe PZPR),
liczący aż 130 stron maszyno-
pisu. Niebawem ukaże się polski
przekład. Obszerne fragmenty
opublikowała już „POLITY-
KA” (nr 18).

W naszej kulturze politycz-
nej jest to rzeczywiście tekst
niezwykły. Nie jesteśmy bo-
wiem przyzwyczajeni do zadu-
wania politykom drażliwych
pytań i uzyskiwania szczerych
odpowiedzi. Prominenci z re-
guly unikali osobistych zwi-
erzeń. Natomiast w tym przy-
padku przywódca partii i pa-
ństwa mówił bardzo szczerze.
Szczególnie interesujący jest
fragment dotyczący spraw re-
ligijnych. Wojciech Jaruzelski
wyjaśnia między innymi

DLACZEGO ZOSTAŁ ATEISTĄ?

„Podobnie jak zdecydowana
większość mojego pokolenia —
czytamy — jak ogromna wię-
kszość Polaków wychowywa-
ny był w duchu wiary ka-
toliczkiej. W latach najmłod-
szych byłem głęboko wierzący.
Pierwsza komunika, pierwsze
lata szkoły... Było to niewąt-
pliwie bardzo autentyczne.

Dalszy etap, nazwijmy go —
chłopcę, lata — gimnazjum.
Uczęszczałem do gimnazjum
prowadzonego przez księży
marianów — to też w dalszym
ciągu, wiara. Ale ukradły się
wówczas do niej jakieś elemen-
ty monotoni. Z rana pacierz,
wieczorem pacierz, przed i po
każdym posiłku modlitwa, czę-
sto msze, nabożeństwa, spo-
wiedzi, komunie, rekolekcje...
Było tego dużo, a więc pozost-
awało w pewnej sprężystości,
z naturą mojego ówczesnego
wieku. Ta właśnie, jakby dziś
powiédziano — nakazowa, ru-
tynowa strona tłumila auten-
tyzm religijny, przeżywania.
Jak wiadomo, żadna przesada
nie jest dobra.

Przeżył lata wojny. Ogrom-
ny wstrząs, jaki wszyscy prze-
żyliśmy, warunki, które
wówczas zaistniały — wszystko
to spowodowało „religijną
szczerłość”, pozytywnie, zobo-
jętnienie. Zaczęły padać tym ro-
dzajem różne wątpliwości.
Zaszczerpnę nam przed woj-
ną przekonanie, że naród pol-
ski jest umiłowany przez Bo-
ga, że został oddany pod jego
szczególną opiekę. A także, iż
Bóg jest nieskończenie dobry,
sprawiedliwy, a jednocześnie
wszechmocny. To wszystko w
świecie wojennych losów i be-
zmiernych cierpieni naszego
narodu nie dawało się powią-
zać w logiczną całość. I w o-
gólnie pojęciu przeszłości pierwo-
dnego popelnionego przez bi-
blijskich „prarodków”, za któ-
rych cierpieć mają w nieskończ-
ność ludzie, w tym niewiastę
dzieci, wydawało mi się wów-
czas wręcz okrutne, sprzeczne
z moralitetami o dobroci, mi-
łości, miłosierdziu itp.

Oczywiście, jest to wywód
uproszczony. Ale odpowiadając
ściśle na Wasze pytanie, nie
mogłem nie zaznaczyć, iż mo-
je dochodzenie do sceptycyzmu
w sprawach religii kształtowa-
ły w pierwszej fazie nie tyle
nauka, wiedza, co doświadcze-
nia życia.

Później, wraz z rozwojem
intelektualnym, ze zdobywa-
niem wiedzy, zwłaszcza z za-
kresem filozofii marksistowskiej,
materialistycznej, dochodziłem
do głębszych, gruntownych
przezwartościowań. I tak sta-
łem się ateistą.”

Wielkim wstrząsem w życiu
Wojciecha Jaruzelskiego było
ujawnienie w 1956 roku me-
chanizmów funkcjonujących w
okresie stalinizmu. Józef Sta-
lin uczynił wiele dla sprawy
socjalizmu, lecz spowodował
też wiele niewybaczalnego zła.
W przyszłości historia oceni
go bardziej obiektywnie i
wszechstronnie. Komunizm mu-
siał wyciągać wnioski i prze-
strzeżenie z minionych doświad-
czeń.

Historia wypowie się rów-
nież na temat wprowadzenia
w 1981 roku stanu wojennego.
Jedni go potępiali, inni uwa-
żali za słuszny. Trzeba było
ratować kraj w taki sposób,
aby uniknąć ofiar, a zwłaszcza
przelewu krwi. Polska groziła
ruiną gospodarczą, rozkład
państwa i konflikt bratobójczy
o niewyobrażalnych skutkach
wewnętrznych i zewnętrznych.

Mówiąc o roli wielkiej je-
dności w historii, Wojciech
Jaruzelski przypomniał słowa
Karola Marksa, że ludzie sami
tworzą swoją historię, lecz nie
mogą tego robić dowolnie.
Zawsze działają w okolicz-
nościach danych i przekazanych,
które już zastali.

CZOŁOWI PRZYWÓDCY POLITYCZNI

mają niewątpliwie duży
wpływ na bieg dziejów ludz-
kich. Walenty Falin (szef a-
gencji „Nowosti”), były amba-
sador ZSRR w RFN) powie-
dzieć wysłannikom „Sterny”,
że przedwcześnie śmiejcie Wło-
dzimierza Lenina była dla
Związku Radzieckiego trage-
dia o niebywałym wymiarze.
Ciekawy wywiad z Falinem
warto przeczytać w tygodniku
„FORUM” (nr 17). Oto jak
charakteryzują Leonida Bre-
żniewa i Michaiła Gorbaczowa:

„Znałem Breżniewa bardzo
dobrze i przez długi czas. W
pierwszych dziesięciu latach
swej działalności uczynił wie-
le dobrego. Ale po 1974 r. za-
częły go opuszczać siły — i to
bardzo szybko. Nie miał już
żadnej siły przekonywania, dy-
namiki, uporu. A kiedy jeszcze
czasem formułował słuszną i-
deę, brakło mu poparcia w
partii.”

Walenty Falin zna również
bardzo dobrze obecnego se-
kretarza generalnego SK
KPZR, Mówi o Gorbaczowie:

„Przywiązuję on wielką wa-
gę do tego, by być poinformo-
wanym na temat wszelkich
nastrojów w społeczeństwie.
Co tydzień otrzymuje tysiące
listów. Kiedy ostatnio pisałem
do „PRAWDY” artykuł i chcia-
łem kilka z nich zacytować,
osobiście je dla mnie wyszu-
kał. Przekazał mi też listy i o-
stateczny wybór pozostawił
mnie. Inna sprawa, że chętnie
i często się z nim spieram. Do
jego metod należy zapraszanie
do dyskusji z pomocą provo-
kujących pytań. Nigdy nie
mówi: „Wiem to lepiej od
pana”. Często natomiast pro-
wokował mnie do zabrania
głosu mówiąc: „Przecież był
pan przy tym. Niech pan powie
jak to było”. Ten człowiek ma
przed wszystkim lepsze wy-
kształcenie niż poprzedni se-
kretarze generalni, studiował
prawo, rolnictwo i filozofię
marksistowsko-leninowską. Sy-
stematycznie zbierał wiadomo-
ści z różnych dziedzin. Moim
zdaniem to właśnie skłania go
do mówienia, że wie jeszcze
zbyt mało.”

Reformy przeprowadzane w
Związku Radzieckim — pod-
kreśla Falin — nie mają cha-
rakteru wzorcowego i uniwer-
salnego. Kraj Rad dawną już
pokonał w sobie skłonność do
odgrywania roli cenzora wobec
pozostałych państw socjalist-
ycznych.

Pod koniec rozmowy dzien-
nikarze zachodniomiejscy
przypomnieli, że ZSRR utrzy-
muje przelazo 100 tys. żołnie-
rzy w Afganistanie i zapytali,
kiedy wojska te zostaną wyco-
fane. Walenty Falin odpowie-
dził:

„Afganistan jest dla nas o-
twartą raną. Umierają tam na-
si synowie i nie wypełniamy
tam zadań, które początkowo
chcieliśmy w tym kraju wy-
pełnić. Nie szukamy obecności
wojskowej w Afganistanie. O-
puszczymy Afganistan tak szyb-
ko, jak to tylko będzie mo-
żliwe. Ale zależy to również
od Stanów Zjednoczonych, któ-
re nie zezwalają sąsiadom
Pakistanowi na respektowanie
warunków zgodnych z
wszystkimi rezolucjami
ONZ. Gdy wstrzymane zosta-
ną amerykańskie dostawy bro-
ni dla band na terytorium pa-
kietańskim, wycofanie na-
szych oddziałów może się do-
konać w ciągu kilku miesię-
cy.”

W NASZYM KRAJU

coraz więcej grup społecznych
i sympatii odnosi się do dzia-

łań Gorbaczowa. A równocze-
śnie tracą grunt elementy kon-
serwatywne, bo nie mają już
wsparcia w Związku Radziec-
kim. Zwrócił na to uwagę w
„PRZEGŁADZIE TYGODNIOWYM”
(nr 17) prof. Antoni
Rajkiewicz, z którym rozmawia-
wał Andrzej W. Małachowski.

Antoni Rajkiewicz jest dyre-
ktorem Instytutu Pracy i Spraw
Socjalnych, członkiem Rady
Konsultacyjnej przy Prze-
wodniczącym Rady Państwa.
Wskazuje on, że przeważając
część społeczeństwa polskiego
(65 proc.) pragnie działać i
współuczestniczyć w poprawia-
niu sytuacji kraju. Jest to powód
do umiarkowanego optymizmu.
„Cała sztuka powinna u nas
polegać na tym, żeby centrum
decyzyjne przestało meandrować,
podając się jakby naciś-
kom oddolnym, ale żeby sta-
nęło na czele inicjatyw. Zresz-
ta w tym kierunku zdają się
iść przedstawione ostatnio kon-
cepcje.”

Najpierw powinniśmy roz-
wiązać trzy kompleksy spraw.
Są to: 1) rolnictwo, ochrona
środowiska i produkcja żywno-
ści; 2) system informacyjno-
telegraficzny; 3) budownictwo
mieszkalniowe i gospodarka ko-
munalna. Potrzebne są jednak
jakieś czynności sprawcze. Na-
leży dać większe możliwości
działania ludziom w wybitnym,
bo od nich zawsze zależy po-
stępek. Zdaniem prof. Rajkiewi-
cza szczególną rolę ma do
odegrania — obok kontu
propagandowego i ekonomicz-
nego — system edukacyjny.
Poza tym w pewnych sferach
naszego życia trzeba przewy-
żyć wojskowy sposób my-
ślenia, który nie zdaje egz-
aminu w mocno zindywidualizo-
wanym społeczeństwie cywil-
nym.

Niektórzy sądzą, że postępek
w naszym kraju zależy przede
wszystkim od rozwoju samo-
rządności. Ostatnio poglądy ta-
kie zaprezentował na łamach
„TRYBUNY LUDU” (nr 100)
prof. Leszek Gilejko. Pisze on:
„W klasie robotniczej utrzu-
muje się silna proamerykańska
orientacja i jest to okoliczność
nader ważna dla tak poszuki-
wanych czynników dynamiki.
Jest ona wielką szansą dla
gospodarki, reformy i spo-
łeczeństwa. Jest także wielką
szansą dla ośrodków władzy.”

Ale naukowcy, jak wiadomo,
mają różne poglądy i często
dają sprzeczne rady. W postę-
powa moc samorządu nie wie-
rzy prof. Jan Małanowski. W
rozmowie z Elżbietą Sadowską,
opublikowanej w „TYGODNIU
KULTURALNYM” (nr 18),
przedstawia poważne argumen-
ty empiryczne:

„Większość krajów, które
należą do czołówek, nie osią-
gnęła swej pozycji przez two-
rzenie samorządów. Dobrym
przykładem jest Japonia, gdzie
panuje system paternalistycz-
ny i Stany Zjednoczone, w
których o samorządzie w ogóle
nie było mowy. W Niemczech
Zachodnich za rządów socjal-
demokratów sprawę wzmocn-
ienia zakładał trochę się
ruszyło, ale bez wielkich e-
fektów. W Anglii tego nie było,
a w krajach skandynawskich
sprawiający władzę socjald-
emokraci wprowadzili instytucję
i taki poziom demokracji, dzie-
li którym samorządy stały się
niepotrzebne. Jedynie Japo-
nia, w naszym obszarze posła-
na koncepcję samorządów, ale
nie przyniosła jej to żadnych
wytężonych sukcesów w sferze
ekonomicznej.”

W dyskusjach o gospodarce
coraz rzadziej chyba mówi się
o problemach wsi i rolnictwa.
Prawdopodobnie dlatego, że
w tej sferze mamy sytuację
lepszą niż można było się spo-
dziewać. Były przewodniczący
NSZZ „Solidarność” Rolników
Indywidualnych, członek Rady
Konsultacyjnej przy Prze-
wodniczącym Rady Państwa

JAN KULAJ

uważa, że nasza wieś może
wyżyć co najmniej 80-mi-
lionowy naród. Pod warunkiem
jednak, że przemysł w wię-
kszym stopniu będzie wspierał
produkcję rolną. Wywiad z
Janem Kulajem przeprowadził
dla tygodnika katowickiego
„TAK I NIE” (nr 17) Andrzej
Kłyszynski.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Nie zawsze aparat

W bajkach o sprawiedliwym królu, który pragnie użyć do-
swoich poddanych, do którego jednak bronią dostępu nikczemni
dworacy, dochodziła do głosu ludowa ufność w istnienie wyż-
szego porządku moralnego. Z nieco podobnych względów współ-
czesny ław. szary człowiek lub zwykły obywatel szuka wśród
możliwych tego świata sprzymierzeńców i protektorów, którzy czy-
to z uwagi na wrodzoną szlachetność (jak chcą żywcem idealisci),
czy ze względu na zbieżność ich interesów z dążeniami ogółu
społeczeństwa mogą stać się oparciem w staraniach o lepsze
jutro.

Kto uczestniczył świadomie (choćby tylko na szeregowym po-
sterunku) w życiu społecznym naszego powojennego czterdzie-
stolecia, ten niejednokrotnie wiązał swoje patriotyczne nadzieje
z różnymi postaciami najnowszej historii, doznając nieraz za-
wodów i rozczarowań, nieraz z powodu zupełnie naiwnych ocze-
kiwań, że ów mąż sprawiedliwy zakasze rękawy i osobiście wy-
pracuje narodowi dobrobyt albo przynajmniej zarządzi, żeby od
jutra było się każdemu lepiej.

W tych oczekiwaniach i rozterkach pojawiała się pewna
moim zdaniem prawidłowość, a mianowicie, że (przynajmniej
do końca lat siedemdziesiątych) większym lub niekiedy abso-
lutnym zaufaniem obdarzano przedstawicieli najwyższych in-
stancji władzy niż jej ogniwa pośrednie i niższe, a niemal z re-
guly wszelkie zło przypisywano tzw. średniemu aparatowi partyj-
no-administracyjnemu. I myślę, że nie bez racji przypisywano
mu konserwatywne odruchy i nawyki, rutyniarstwo i wygodni-
stwo, otaczanie się „potakiewiczami”, a w konsekwencji popie-
ranie karierowiczostwa.

Alte takie rozpoznanie (w obrębie ustroju socjalistycznego)
politycznych mechanizmów zacofania doprowadziło jednak do
wytworzenia się myślowego schematu, przeciwstawiającego po-
wszechnie dążenia społeczeństwa do postępu i sprawiedliwości
dążnościom hamującym ze strony biurokracji partyjno-admini-
stracyjnej. Uproszczenie niebezpieczne moim zdaniem nie tyle
dlatego, że może moralnie krzywdzić liczne jednostki z różnych
szczebli władzy, ile dlatego, że w obecnej sytuacji politycznej
może nam ująć z pola widzenia inny, nawet groźniejszy, bo ma-
skujący się i niezauważalny „czynnik hamujący”.

Nowosie sytuacja w wielu krajach socjalistycznych, m.in. w
Polsce po IX Zjeździe partii, a jeszcze bardziej w Związku Ra-
dzieckim po ostatnim zjeździe partii radzieckiej sprawia bo-
wiem, iż wyraźne dążenia najwyższych władz obu krajów do
zreformowania życia ekonomicznego i społeczno-politycznego po-
budziły do oporu nie tylko ludzi sprawujących takie czy inne
funkcje i zajmujących takie czy inne stanowiska, pojawili się
bowiem, czy też ujawnili, całe zastępy antydemokratycznie
orientowanych zwykłych obywateli, nie piastujących bynajmniej
szczebli wysokich stanowisk.

Wystarczy, żebyśmy rozjeżdżali się uważnie wokół, a zauważy-
my, że np. ci spośród naszych kolegów pracy, którzy zawi-
dzą swoje ciepłe i zarazem bezpieczne posadki wcale nie
swoim zdolnościom i umiejętnościom zawodowym czy zaletom mo-
ralnym (bo właśnie tych cech zupełnie im brak), lecz głównie
ustłomom, chodom i powiązaniom, albo temu, że potrafili stać
się potrzebni władzom i kierownikom przez swoje luzusostwo czy donosi-
cielstwo, muszą za wszelką cenę stawiać opór demokracji i pra-
worządności, które, wprowadzając obiektywne oceny wartości pra-
cowników, mogą łatwo zdezmakować nieco tych osobników —
układanych czy pełnych tupetu i pozbawień uprzejmolejowanych po-
zycji. Dziś nie tylko i chyba nie przede wszystkim „aparat” ma
powody, by szkodzić reformom życia, by bronić anonimowego
i koterijnego systemu sprawowania władzy i kierowania prze-
siębierstwem oraz traktowania działalności społecznej wyłącznie
jako ośrodek do kariery.

Musimy dopiero napotkać jakąś przeszkodę nie do pokonania
z powodu biurokratyzacji (guż na najniższym szczeblu) bezdu-
sności i niekompetencji, otrzeć się o rozplenione kłakarstwo,
żeby zdać sobie sprawę z konieczności tych środków,
które gotowe są poprzec wszelkie antydemokratyczne
trendy, oczywiście pod pozorami troski o socjalistyczne
wartości. Oczywiście, nie każdy zwolennik systemu nakazowo-
rozdziałowego musi kierować się osobistym interesem.

Antynomia „aparat — społeczeństwo” wymaga krytycznej re-
wizji...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

- artykuł BOGUSŁAWA SUŁKOWSKIEGO o awansie
społecznym i kulturalnym Łodzi;
- reportaż ANDRZEJA MIEDZIŃSKIEGO o człowieku,
który zrobił wielką karierę i wrócił do punktu wyj-
ścia;
- reportaż JACKA MACIASZKA w formie bajki o lu-
dziach, którzy wywiedli w pole MPK i dozorców, i
zarobili dużo pieniędzy;
- z Janem Pawłem Gawlikiem rozmawia EUGENIUSZ
IWANICKI.

Masz kłopoty? Szukasz pomocy?
Zadzwoń do „Odgłosów”

36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

BOGDA MADEJ — 6-7 maja 10-12

PAWEŁ TOMASZEWSKI — 11-12 maja 10-12

DARIUSZ DOROŻYŃSKI — 13-14 maja 10-12

LÓDŹ, 01. 05. 1987 r.

FOTO: GRZEGORZ GAŁASIŃSKI



160 lat „Uniontexu”

FOTO: GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Przed 160 laty powstały jedne z największych w Łodzi i kraju — a niektórzy utrzymują że i w Europie — zakłady przemysłu bawełnianego, dziś noszące nazwę Łódzkich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju „Uniontex”. Powstały one z zakładów założonych w XIX wieku przez Karola Scheiblera. Od 1962 roku są stale modernizowane. W „Uniontexie” narodziło się wiele

interesujących i nowatorskich rozwiązań organizacyjnych i technicznych.

Z okazji 160 rocznicy powstania fabryki odbyła się akademia udekorowana zasłużonych pracowników, a gazeta zakładowa „Tydzień w Uniontexie” zorganizowała na stadionie Włókniarza festyn.

Zaśpiewa „Uniontexu” gratulujemy, a Czytelnikom prezentujemy zdjęcia z festynu.



la, daj Boże, zaskoczeniem, zdziwieniem. Ludzie o tym nie wiedzą, ludzie tego nie widzą, bo właśnie to zdziwienie, to zaskoczenie uważamy — przynajmniej w moich doświadczeniach plastycznych — za bardzo istotną energię eksponatu, że eksponat ma zdolność zaskakiwania innością.

— Dostrzegając to w materii, czego ja, laik, nie widzę, pan jednak kształtuje ją dodatkowo według własnej wyobraźni...

— Muszę kształtować, to oczywiste.

— Nie bierze pan dwu desek i położywszy je obok siebie na tym poprzestaje...

— Dobrze, dobrze, ale obok tej deski trzeba położyć z kolei inny gatunek materii, by ta deska uciła albo jeszcze bardziej wydemontowała swą obecność.

Natomiast niejako dziwności, rzekomo surrealistyczne, rzekomo nieprawdopodobne nie wynika z samej materii, ale z mojego podpatrywania, podsięgnięcia ludzi, którzy między sobą komunikują się słowem czy gestem tak często, że już nie zauważają skali dziwności i irracjonalnych pomysłów na porozumienie się między sobą. Na przykład prosimy kogoś, by wyszedł z domu i rzucił okiem, czy ktoś nie idzie. Tamten wraca i mówi: nikt nie idzie, ale ktoś mi wpadł w oko. I to jest jeden z tysięcy przykładów zawierających właśnie złoża irracjonalizmu, złoża surrealizmu i w ogóle wszelkiej dziwności, jaka istnieje wokół mnie. Ja jej nie stwarzam, ja ją odnajduję.

— Ale obok pana była tyśiące innych ludzi i oni tego nie widzą.

— Ja mam tylko tę skromną zasługę, że po prostu niejako uświadamiam, że żyjemy w świecie surrealistycznych pojęć, nawyków, rachów, przemyśleń. I być może w mojej pracy może to jakoś eksponuję, ale jak powiedziałem, ludzie zapomnieli o tym, że są nosicielami najbardziej alegicznych form.

— Pan zwraca jednak uwagę ludzi na tę ich alogiczność w sposób zdecydowany, ekspresyjny...

— Staram się o to. Ja nie piszę kołysanek czy ballad. Staram się w tym hałaśliwym świecie — byłoby mi szkoda, gdyby mnie było jakiś zepsuły bigbitowy przekrzykacz — ziliśtrować ten świat. Poza tym jeszcze może nie zepsuły młodzieżowe, które nas dowselają ekspresją swoich wysokich decybeli, ale cały świat techniki fruujący po niebie jest tak fantastycznie zachwycający i niepokojący, że żadnemu artyście nie mieściło się w głowie, by 120 lat temu na przykład narysować taką postać samolotu, jaka jest dziś. Bo to się nie mieściło w fantazji. Ogromnym, wielkim, genialnym fantasta był Hieronim Bosch, ale jego kształty zawsze były w kręgu biologicznym. A tu, co teraz mamy, te istoty fruwające po niebie, czy w kosmosie, czy już nawet w niebie, są właśnie kształtami przedtem niemożliwymi do wyobrażenia. Nawet poeci mówią o samolotach nie inaczej jak staloowe ptaki. Bo nie potrafia inaczej powiedzieć. I mając właśnie taką dziwność otaczającą mnie świat — oczywiście, że jestem poniżej tej dziwności, ja tej nie przeszkakuję — wolno mi, wręcz mam obowiązek usiłować w sumie swoich eksponatów stworzyć coś, co by wreszcie było co nieco dziwniejsze od rzeczywistości nas otaczającej. Takie jest moje strategiczne, deklaratywne marzenie, tęsknota nigdy jeszcze nie zrealizowana.

— Atakuje pan wyobraźnię odbiorcy pańskiej sztuki bardzo mocno, czasem wręcz brutalnie. Czy to nie wypływa z pańskiej natury? Czy nie stara się za wszelką cenę zbulwersować odbiorcę przyzwyczajonego do pewnych ułagodzeń?

— Jest pewna stylizacja formy współistnienia czy istnienia w ogóle, ale w tej stylizacji ludzie nie będąc artystami, potrafia sobie zorganizować przeżycia dużo dramatyczniejsze od tych, jakie ja w niektórych eksponatach demonstruję. Czy w pańskich, panie redaktorze, pytaniach i w całym toku rozumowania nie kryje się myśl: czy nie byłbym pożyteczniejszy uprawiając sztukę łagodniejszą, piękniejszą itp.?

— Wprost przeciwnie. Jestem panu wdzięczny za pańskie ptonące konie, za organy w Czorsztynie. Bo jest pan tym twórcą, który otwiera we mnie ukrytą kłapkę, przez którą mo-

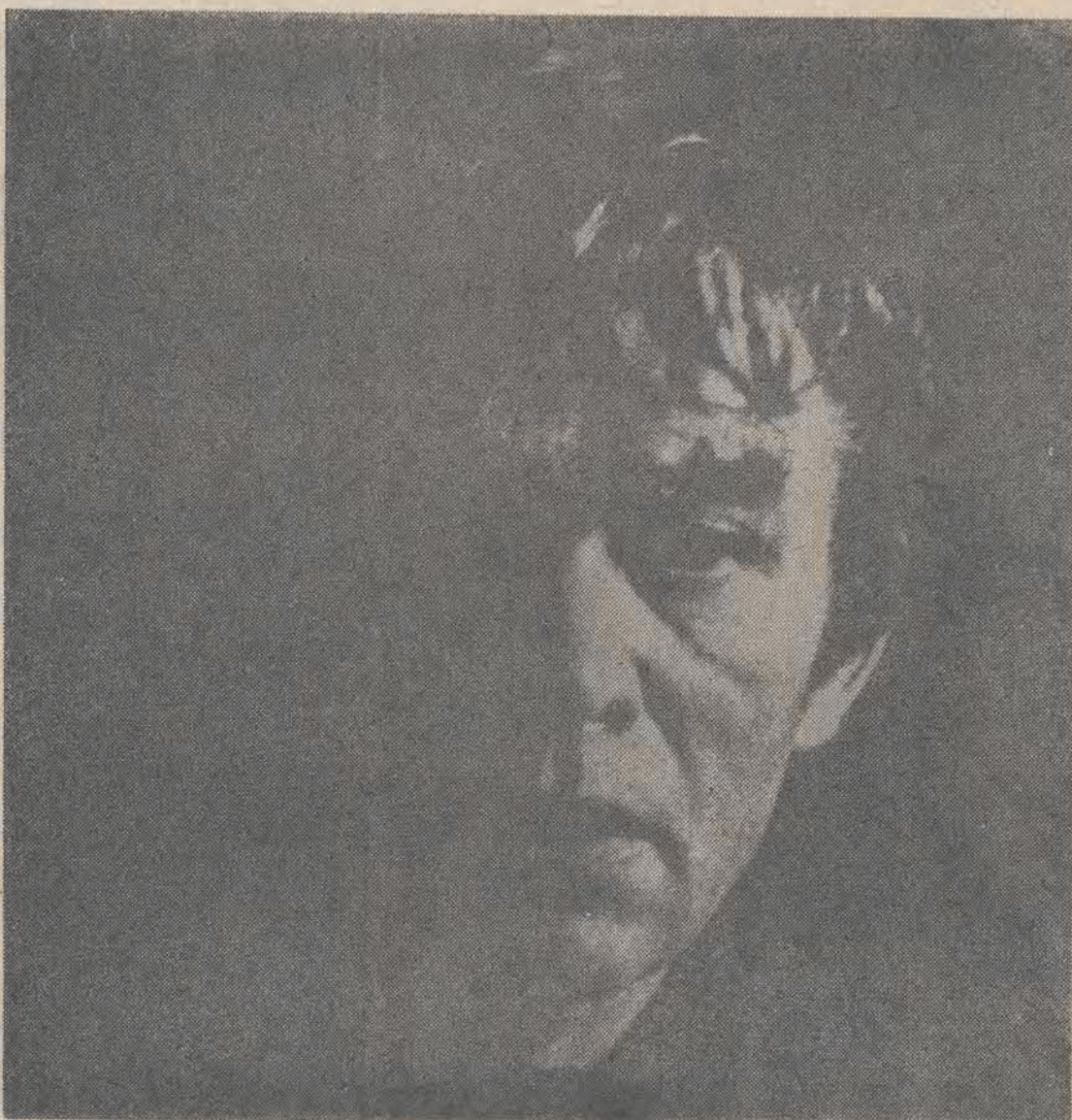


Foto: Andrzej B. Górski

Nie jestem szamanem

gę dostrzegać innej rzeczywistości.

— Nie mówmy „rzeczywistość”, ale na rzeczywistość eksponatów na wystawie. Widzi pan sumę eksponatów i stwierdza pan, że moje są inne. I właśnie ta inność mnie interesuje, by być innym. Nie wynika to z zarozumiałości, ale z obowiązku zawodowego. W słowie artysty, który uprawia sztukę, jest zakodowana cała magiczna niespodzianka, oczekiwanie. Bo w innym wypadku jest się korepetytorem. A to byłoby smutne, umiarbym z nudów, gdybym powtarzał to, co widzę. Zrobił to już przede mną inni mistrzowie dużo doskonale i lepiej. Bo wówczas był czas taki, że artyści mieli radość z powtórzenia tego, co widzą i zrealizowania kształtów tożsamości i istniejących w naturze. Takie były reguły gry. Dzisiaj są inne. Dziś jest naprawdę obowiązek kreowania nowości. Nie tej z kręgu terrorystycznego modernizmu, szturmowszczyzny, by być innym co kwartał. Nie o to mi chodzi. W moim jednostkowym życiu chciałbym zrobić sumę eksponatów, które by się broniły wobec

lawiny innych arcydzieł własnej inności.

— Ależ jest pan inny. Czasem odwiedzam wystawy malarskie i po wyjściu ziewam mi się one z widzianymi przedmiotami czy tygodniem. Ale np. obrazy Dudy-Gracza poznam wśród tysięcy innych. Tak samo pańskie prace. Myślę, że w Polsce nie ma drugiego artysty, który by tworzył podobnie jak pan.

— Są artyści, którzy usiłują montować eksponaty z różnych przedmiotów, z różnej materii i mają swoją osobistą inną pointę. Ja robię to robię w tym gatunku od początku swojej świadomej działalności, natychmiast po wyzwoleniu się z akademii w 1957 roku. Rzekomo zacząłem „błądzić”.

— Jednakże to pańskie „błądzenie” jest świadome. Musiał pan być od początku, od urodzenia tym „innym” i jedynie czas pomógł panu tę swoją inność rozwinąć.

— Może, ale nie wiedziałem o tym.

— A jaka była pańska droga do sztuki?

— Moja droga do sztuki? Nie wiem, kiedy się zaczęła. Od początku świata. Od zawsze. Majsterkowałem i to cieszyło.

— Czy to majsterkowanie było takie, jak u wszystkich?

— Sądzę, że tak. Cieszyłem się, jeśli udało mi się okieć żaglowy zrobić tak, że nie przewracał się na stawie. W „drodze do sztuki” jest ukryte stwierdzenie, że już doszedłem. A ja jestem w dalszym ciągu w drodze. I na tej drodze znalazły się dwie szkoły, które mnie utwierdziły i dały mi niejaki pogląd na przygodę zawodu artystycznego: szkoła Kenara w Zakopanem w latach 1947–1952 i Akademia Sztuk Pięknych w Warszawie od 1952 do 1958. W obu tych szkołach uczyłem się pod kierownictwem znakomitych profesorów tak zwanej poważnej rzeźby, poważnego malarstwa. Okazuje się, że źle mnie uczono. Bo w tak małej liczbie lat, jaką spędziłem w jednej i drugiej szkole, nie sposób jest powiedzieć choćby się było najświetlejszym, najbardziej żarliwym pedagogiem, wszystkich tajemnic i mnie w nie wtajemniczyć. Przecież na to potrzeba życia. Potem samemu dochodzi się do tych tajemnic. To, do czego się dochodzi samemu, okazuje się ważniejsze, wartościowsze, a przygody

szkolne pozostają w pamięci jako liryczne wspomnienia o wstępnych ćwiczeniach, o smartwieniach, że mi rzeźba nie idzie, że profesor jest niezadowolony... A wzorców wkoło jest dużo: w muzeach, w pięknych albumach. Budzą one zazdrość, podniecają ambicje. I okazuje się, że jakiś ideał istniejący w rzeźbie czy malarstwie jest ważnym ideałem dla siebie samego, nikomu potem niepotrzebnym. Potrzebne są te dzieła jedynie po to, by wzbudzać radość z oglądania, ale nie uczą jak się rzeźbić, jak się maluje. I te tajemnicze mądrości — bo jest tu krzywna jakiejś tajemniczości — trzeba samemu niszczyć po drodze ręce, wzrok i siłę, dorabiać. To tak jak w legendarnej, wielkiej ceramice chińskiej czy egipskiej: technologia ceramiczna, a co za tym idzie efekty artystyczne, są dzisiaj prawie niemożliwe do osiągnięcia. Bo tamci legendarni mistrzowie sprzed dwóch, trzech tysięcy lat zazdrośnie strzegli swoich tajemnic i wzięli je do grobu. Nie było wówczas w zwyczaju by dzielić się wiedzą, zwłaszcza w tajemnych zawodach artystycznych, i takiego turkusu, lazuru w polewie ceramicznej, jaki mieli Egipcjanie, do dnia dzisiejszego jeszcze nikt nie powtórzył. To samo dotyczy rzeźby. Jakkolwiek wydawałoby się patrzeć na rzeźbę Chrystusa w kamieniu czy drzewie z XIV wieku, co tu jest do ukrycia? Bierze się kłoc, ostre narzędzia, przymocowujemy kłoc do podłogi czy ściany — i rzeźbimy! Ale o dziwo, to jeszcze nie to. Proszę zwrócić uwagę, że od ukrzyżowania Chrystusa do dnia dzisiejszego wyrzeźbionych, namalowanych wizerunków Ukrzyżowanego są miliony, a ile jest tych Chrystusów takich, że patrząc na nich ciarki przechodzą? Że nawet poganin się wkurzy patrzeć na tę postać tak skatowaną, a mimo wszystko tętnącą jakimś boskim oświeceniem? Takich Chrystusów można byłoby polleść na palcach.

— Powiedział pan, że po wyjściu z bramy uosolni naczaj pan robić wszystko po swojemu...

— Z prostej przyczyny: zauważyłem, że szkolne teorie o sztuce są z koniecznością przeznaczane dla potrzeb katechizmu szkolnego. Niezwykle zaciekawione i dotychczas historycznie sprawdzonych umiejętności rzeźbienia, malowania i trzeba się z nimi zapoznać po to, by nie być naiwnym, żeby chłapańszczyzną czystą farbą na czyste płótno nie uważać, że zrobiło się to po raz pierwszy od początku świata.

Moja koncepcja takiego warsztatu plastycznego, jaki sobie stworzyłem, daje mi szansę współistnienia z niespodzianką zawodową codzienności. Spotykając się dotychczas z nie znaną mi materią, a jest to taka suma materii, że aby opanować ją technicznie, podsięgnięć jej charakter indywidualny, jej psychologiczne promieniowanie, nie wystarczy mi do tego jeden komplet narzędzi. Rzeźbiąc całe życie w drzewie musiałbym się troszczyć o zespół narzędzi przypisanych do tegoż zawodu drewnianego rzeźbiarza i już przez całe życie: to samo drzewo i te same narzędzia. A tu mam przygodę: pracując w materii szklanej jest to absolutnie coś innego, niż w materii tkanin, z których robię sztan-dary. I muszę każdorazowo widzieć, wczuwać się od nowa w materię i to właśnie jest moją wielką satysfakcją. Bo ta różnorodność materii sprawia, że zawał wyobraźni mi się odsuwa, że nie nabawię się nawyków, przyzwyczaję aniż. chwytów. Oglądając swoją pracę samokrytycznie muszę stwierdzić, że są jednak powtórzenia. Ale są one w znikomej ilości, co nie jest jeszcze dowodem na zawał wyobraźni.

— Myślę, że podobne problemy przeżywał Picasso, choć był on przede wszystkim malarzem. Jego ostatnie rysunki, pełne erotyki, mimo że noszą piętno ręki Picassa, nie stawały jakiejś dostrzegalnej kal-komani.

— On miał tę zdolność, że posługiwał się tą samą materią — jaką jest barwa — miał nieprawdopodobną zdolność formotwórczą. Potrafił sobie stworzyć takie światy kształtów formalnych, które złączone z jego indywidualnym wyczuciem wydały się być pracą kilku malarzy. Takie są różnorodności indywidualne w jednej osobie. To zdarza się raz na pięćset lat, bo właśnie przed Picassom takim artystą był Leonardo da Vinci.

— Wystawiał pan w Polsce chyba wszędzie. Interesują mnie pańskie ekspozycje zagranicą.

Gdzie pan jeszcze nie wystawiał?

— Nie wystawiałem jeszcze w Moskwie i o dziwo, zanosi się na to, że podobno mam tam mieć wystawę, co mnie emocjonuje bardzo. Gdyby doszło do niej w przyszłym roku, to będzie to dla mnie bardzo łatwa przygoda. Jakiś on mnie tam odbiorą? Na tzw. Zachodzie miałem już kilkanaście wystaw. Z początku, a był to rok 1968 i pierwsze lata 70., byłem tam dość egzotycznie odbierany. Jak ci artyści zza żelaznej kurtyny tworzą i jacy są? Potem się okazało, że zaczęli przyglądać się eksponatom polskich artystów bardziej normalnie. Już nie było owego dreszczu i sensacji, jaki nam początkowo towarzyszył. Niemniej jednak im dalej od Polski, w innym kręgu kulturowym, nie wszystko w moich pracach jest trafnie i szybko odczytywane jak u nas. Oni odbierają to jako egzotykę, spoza której wyziera tajemniczość kraju północnego. Bardzo istotną dla mnie przygodą była w roku 1972 czy 1973 wystawa w Kunsthalle w Malmö w Szwecji, gdzie organizatorzy mojej wystawy zdecydowali skonfrontować moją ekspozycję z byłym niemieckim wielkim artystą ekspresjonistą z początku XX wieku Emilem Nolde. Mnie obok jego wielkiej wystawy wyeksponowano jako przykład ekspresjonizmu końca XX wieku.

— Kto zwyciężył?

— Miło mi stwierdzić, że wyszedłem zwycięsko z tego porównania, bo byłem bardziej ekspresyjny, żywszy, a tamto malarstwo, aczkolwiek szlachetne w swojej materii, jakby było bez ekspresji, która przez lata wywietrzała.

— O ile sobie przypominam, nasza prasa pisała, że pańskie wystawy za granicą są wydarzeniem artystycznym...

— Mnie jest trochę niezręczne o tym mówić. Skandali nie było, min. zawiedzionych nie widziałem, żywy odbiór owszem. Najbardziej jaskrawą formą zainteresowania moimi pracami była przygoda w Helsinkach w 1978 roku. W czasie zwiedzania muzeum z moją wystawą, jakiś młody mężczyzna zaczął mi demolować wystawę, co potem prasa miejscowa opisywała w szczególności (spekulacje kim był ów mężczyzna, jak ja się zachowałem itp.). Domyśły prasowych komentatorów tego wydarzenia były takie, że prawdopodobnie na wystawie zjawili się członkowie nadwrażliwej i moia forma ekspresji, moja siła wyrazu zaszkodziła mu przyprawiając go o szal.

— Oddziaływanie pańskiej sztuki jest istotnie bardzo silne, jest agresywne i ów Fin mógł tak ją właśnie odebrać. Pan atakuje widza.

— Sądzę, że moja siła ekspresji jest poniżej emocji, do jakich ludzie się garną: czytając kryminały, oglądając filmy z dreszczem itp. Ja nie dopasowuję się do takiego zapotrzebowania społecznego. A jeżeli mimo wszystko się dopasowałem, cieszę się z tego bardzo.

— Na zakończenie naszej rozmowy nie zadam panu pytania, ale wyrażę swój podziw dla budynku, w którym mieści się „Galeria Władysława Hasióra”. Wiele miast w Polsce może jej pozazdrościć. Łódź także.

— Dzięki zaradności i uporowi dyrektora Muzeum Tatrzańskiego Tadeusza Szczepanaka mamy ten budynek, którego adaptacji dokonał — z byłego solarium — inż. arch. Zenon Remi. Otwarcie galerii nastąpiło w lutym 1985 r., a po roku było tu już 60 tys. zwiedzających. Osobiście miałem przyjemność i zaszczyt przyjąć 47 grup w „świeciłcy powłatowej”, w której prowadzi zająca wiedzę o sztuce i gdzie mieszkam. Ja nie jestem pracownikiem Muzeum Tatrzańskiego, wszystko, co tutaj robię, robię z wewnętrznej potrzeby.

— Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ
IWANICKI



Foto: Andrzej B. Górski

ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje

Familijny Mieczysław Jagodziński

Czy pamiętasz tego kręciwego praktyka, który z obiedem w esach buszował po pokojach redakcyjnych polując na wolny telefon, żeby wydzwonił jakąś wiadomość dla naszej gazety? Gdyby telefon dawał wtedy tak, jak dziś, nie zarobiłby nawet na ad do supy.

Poznałem się w owym pamiętnym roku 1931, kiedy to rozpoczęliśmy pracę w wydawnictwie „Republika”. Ty od stycznia, ja w listopadzie. Przyszedłś z „Hasła Łódzkiego”, przedtem od roku 1923 pracowałeś w „Rozwoju”, jako sekretarz redakcji i recenzent kulturalny. To właśnie w tym samym 1923 roku zaczęła wychodzić poranna „Republika”, a krótko po niej popołudniowy „Express”, wydawane przez nowo powstałą spółkę z o.o. w osobach Maurycego Ignacego Pomarańskiego, Mariana Czesława Olszawskiego, Władysława Polaka, Sergiusza Cynamona i dr. Leszka Kirkielana.

Dzieliła nas przepaść. Miałem dopiero osiemnaście lat, a Ty był już stary, stuknięty Ci aż trzydziście lat! Ale nie tylko różnica wieku, bardzo istotna w tych okolicznościach była różnica światopoglądu. Gdy ja stawiałem pierwsze kroki na wyboistej drodze dziennikarskiej, nad Twoją głową jaśniała już aureola sławy.

Wielki Jagodziński Płazek do „Republiki”, jak przedtem do „Rozwoju” i „Hasła”, o życie kulturalnym miłował. Wybac, ale teatr i plastyka jakoś mnie nie interesowały. Rozmawiałem się w Twoich powieściach odcinkowych, drukowanych w „Expressie” pod pseudonimem Andrzej Żanek i Aleksy Orlew. Szczerze mówiąc, „Republika” czytałem z niechęcią, bo bez reszty, rozbudzała młodzieńską wyobraźnię. Romane szarlatana, demonicznego, brodatego mnicha Grianzi i Aleksandra, żona ostatniego cara Wasechrosi, to było coś dla inwencji, finiszu, ale „momentów”! Nie mogłem doczekać się chwili, gdy ze swym przyjacielem Marianem Olszawskim i drugim naszym szefem Władysławem Polakiem wyjdziecie do „Ziemińskiej”. Biegłem do zezera i pochłaniałem oddany do składki kolejny odcinek powieści, wyrzuciłem go z rąk zaskakujących do swych maszynek typograficznych.

Albo te Twoje nowele na pierwszej stronie codziennej „Panoramy”? Tworzyłeś je na poczekaniu, często na naszych oczach, na podziemiu sprządanym z zagranicy matryce teksturowych, wyobrażających to kraw w tyłach mroźnego szczytu porachunków gangsterskich, to pary w miłosnym uścisku, to jakiegoś diwotliwego natury. Twój talent i bogata erudycja wycierały barwne obrazy, fascynujące opisy; czytało się je z zapartym tchem.

A owe frywolne, urzekające piękna, archaizująca polszczyzna, poematy? Chociaż jako autor figurował dr Sylwester Podolski, wszyscy wiedzieli, że to są twa pseudonimy kryje. Chętnie podpisywałem się pod tymi utworami, sędziwy Wacław Potocki, prekursor tego gatunku twórczości, a sam Aleksander hrabia Frede zniechęcałoby chyba zawiść.

Jeden z zbiorów, odczytany rymkami Mai Beronowskiej, Kazimierza Grusa i Stanisława Dobrzyńskiego, trafił do rąk marszałka Józefa Piłsudskiego, ponad wielkiego koniesera w tej dziedzinie. I to wybiło Cię z opresji, bo gdy w starostwie grodzkim sidentyfikowano owego dra Podolskiego z Tobą i postanowiono pociągnąć Cię do odpowiedzialności za szerzenie pornografii, marszałek pchnął do Łodzi umysłowego, a ten z miejsca sprawę załatwił.

Patrzyłem na Ciebie jak niedzielny turysta na niebieskim szczyt Himalajów.

Nie przysiadawałeś fałdów w redakcji. To dla Ciebie w Twojej naturze cygana. Ale teksty przynosiłeś na czas. Pisałeś, ja pod dyktando Twoja prywatna sekretarka-maszynistka, zżona Bolesława Ostoi-Kotkowskiego, właścicielka drukarni na Andrzeja 14. Tylko czasami, kiedy w redakcji wykazywało coś pilnego, dyktowałeś namaszynistce-stenotypistce Zinie Mandels lub jej koleżance po fachu Bernardowi Bezbrodzie.

Pamiętasz gdzie oni siedzieli? Zaraz, zaraz, to był piąty pokój na pierwszym piętrze w lewej oficynie kamienicy pana Prusaka przy ul. Piotrkowskiej 49. Nasze wydawnictwo zajmowało jeszcze parterowe pomieszczenie z frontu. Tam, gdzie dzisiaj sklep konfekcyjny oferuje rozmaite bubie, funkcjonowała administracja. Królował w niej śmiechliwy zaszczepiony się przez Pomarańskiego, a dwaj dyrektorzy Konstanty Łosiewicz, dawny nauczyciel historii w gimnazjum im. Mikołaja Kopernika, i Aleksander Goldberg, b. dyrektor kinoteatru „Castro”. Każdego chwili podpisywali nam zaliczki do kasy. Zostawialiśmy cyrografy „Niniejszym kwituje odbiór zł. a conto poborów” — i już po chwili pani Bruzdowa ciepłą rączką wypłacała pieniądze. Jakże to był słodki balagan!

W pierwszym pokoju Jan Sandner i Władysław Cukier z benedyktynską cierpliwością poprawiali teksty do kilkunastu wydań mutacyjnych „Expressu” w różnych mianach. W drugim ziewał z nudów Władysław Polak. Ten z tekstami nie odprawiał nabożeństwa: albo je puszczał jak leci, bez adiutacji, albo wrzucał do kosza, bez dyskusji z autorem.

Dalej był dział sportowy „Republiki” i „Expressu” pod wodzą mojego kuzyna Stefana Kaluszyńskiego. Pomagał mu Ludwik Abkin i Henryk Goldberg. Za sportowcami rezydował Adolf Feferman „Biał”, redaktor, wydał mutacyjnych, autor codziennych nowelek w „Expressie”.

A te kabiny telefoniczne pamiętasz? To tutaj w przerwach między relacjami korespondentów zamykał się na zasuwkę Benio Bezbroda i palaszował bułki z przyniesionymi przez gońca „abfalami” ze sklepu koszykarni wędlin Dżankina. Wstyd mu było przed chłopcem, że kupuje tanie odpadki, więc mówił, że przeznaczone są dla psa, aż kiedyś gońiec z triumfującą miną wręczył mu kość.

— Ale dzisiaj to piesek pana redaktora będzie miał używanie, powiedziałem, że to dla psa i pani sklepowa dowodziła tę tukową ruszel.

Nasza z Mandelską i Bezbrodą pracowali korektorzy, jedyne osobowe, na zmianę: Rola Wysocka (chyba nie przekreśliłam nazwiska), Zbrojewski, a także nasz szefostwo rytmiczny Wacek Drozdowski, który podobnie jak inni dziennikarze podlegał swój budżet przy korektorskim biurku.

Na i sekretaria. Racoma, gdzie kolumny łamał Józef Burman (figurował w stopce jako redaktor odpowiedzialny, bo ładen a dziennikarz), a co dopiero sam szef, ale chciał wchodzić w kolację na starostwo i sądami, Wacław Smulski, Stanisław Lewandowski, Marian Kopczyński, Feliks Pogonowicz.

W ostatnim pomieszczeniu pracowali bez wyjątku, na trzy zmiany, linotypy. Nie dawał im odpocząć mistrzostwo sztuki drukarskiej: Lisowski, bracia Józef i Ignacy Milichowski, Stanisław Kleśniewski, Władysław Magalski, Leon Majewski.

A to wewnętrzne schody, którymi wchodziło się na drugie piętro, pamiętasz? W ostatnim pokoju Mundeł Bartoszek redagował „Co Tydzień Powieść”, przy sąsiednim biurku Ignacy Wintner — „Panorama”. A drwił w drzwiach łafliwy Bolesław Rawka, spec od młekszych spraw, wisiał przy telefonie. Naprzeciw niego tworzył Twój konkurent Jerzy Bolek, autor również poczytnych powieści odcinkowych. Podobnie jak Ty pisał je z dnia na dzień, ale na miejscu. Sza wyznaczał tekst na maszynie i nie umiał przekazać sąsiedztwa Boleka, ani nasze wizyty.

Świat, który odszedł

ADAM OCHOCKI

Ten gatunek twórczości — „Express” drukował codziennie po dwie, a nawet trzy powieści — uprawiał także mój brat Ludwik Starek. Wybierał przeważnie tematykę lokalną — „Szczury Łodzi”, „W podziemiach Starego Miasta”, „Wampiry Biału”. Spłodził w sumie jedenaście powieści. Był jednym z pierwszych pracowników „Republiki”. Gdy rozpoczęliśmy pracę, przenosił się na stałe do Warszawy i poświęcił twórczości kabaretowej i filmowej. Działem kryminalno-sądowym władał niepodzielnie Szymon Gliick (Stefan Barylski) i Adolf Grynfeld. Przebieg spraw sądowych relacjonował walcio Askana, wielki wielbiciel cytowańki, a sprawozdania „od własnego wysłannika” przekazywał krytycznikom Gliick.

Następny pokój najbardziej wylł mi się w pamięć. Bo tutaj przez dziesięć lat daremnie koty z Ireną Weiss. Pamiętasz tę pełną życia i temperamentu kobietę? Wtedy nawet na ośmiennastolatki mówiła się „kobieta”. Kiedy Irena Kłasińska wyszła z naszego depeszerowa Antka Weiss, kłóciłyśmy głową na zdziwienie. Nie pasowała do zahukanego, bojaźliwego, młodego Antka, który noc poślubną spędził w redakcji: przespał się solo na kompletach gazet. Irena, gdy była młoda, o ich małżeństwie, śmiała się mówić, że między nią a Antkiem jest za duża różnica pól. Siedziała naprzeciwko mnie, jej prowokacyjne sterczące pierś atakowały mój wzrok, ale ja widziałem w niej tylko konkurentkę, Babę Jagę, czyhającą na moją zgubę. Była operatrywniejsza, więcej miejsca zajmowała na kolumnach „Expressu”.

Dalej była siedziba Ryszarda Maniawieckiego, redaktora działu ekonomicznego, a za nim „Iskierka”, do której wchodził z duszą na ramieniu. Srogi, bo srogi był ten nasz sekretarz redakcji „Republiki” Adam Sienberg-Górski. Wymagający, despotyczny, rzucał mięsami, ale fachowiec tagi, spec od fikcyjnych tytułów i pięknie dziełnie dłałny w dłoni.

Twoj pokój sąsiadował z gabineciem Olszawskiego. Często tam prześladywałeś. Powiadał Ci redagowanie „Karuseli”, tygodnika dla dzieci i młodzieży. I tutaj nie nawiedził pokładanych w Tobie nadziei.

Drugie piętro zajmowały pomieszczenia Henryka Smuczynskiego, naszego rywalika numer 2. Ale po drodze chyba były jeszcze jakieś pokoje. No, bo gdzie siedzieli Franciszek Kusto, Mateusz Roemer, Tadeusz Zeromski (Jan Wroce)?

Nasz depeszerowy Antek Weiss i Henryk Passierman konowali katem w pokoju korekty i stenografów. Mieli jedno wspólne biurko. Później, gdy Antek poszedł w odwstak, śladował przy nim dołojny, wymuszany, Zbigniew Koliński, były redaktor „Rozwoju”. Impocował nam szlachetnym manierem i polskującym w oku monokle.

Wszyscy nosiliśmy się ekstrawagancko. Czarne meloniki, laseczka, szkiełkawkę pekarci. Ile bym dał za zdjęcie z tamtych czasów, a dyktatem na moją młodzieńską głowę!

3.

Mijały lata, przybliżałaś tragiczny piątek 1 września 1939. Pierwsi opuścili nas szefowie. Olszawski z rodziną aszły się na kresach wschodnich, w tym samym kierunku podążył Morysek Pomarański ze swą służką i woreczkiem klejnotów, które wrzucił do rzeki na widok zbliżającego się pododdziału krasnoarmiejców. A Polak z Wacławem Wagnerem, kierownikiem łódzkiego oddziału PAT — Polskiej Agencji Telegraficznej, wynajeli dorożkę, dojechali nią do obłożonej Warszawy. Dorożka na front!

Tyś został w Łodzi. Spotkaliśmy się w opustoszałej redakcji. Inni koledzy porzeczali się, albo zaszły w domowych pieleszach (wojna nie potrwa długo, za parę tygodni Niemcy dostaną w skórę, wrócimy do redakcji). To Ty redagowałeś ostatni, historyczny numer „Re-

publiki”, ukazał się tutaj na dwa dni przed zajętciem Łodzi, a ja tego samego dnia wyprowadziłem ostatni numer „Expressu”.

Moje nerwy nie wytrzymały: w przeddzień wkroczenia Niemców uciekłem do Warszawy, tam praktycznie obłąkałem, a po upadku stolicy wróciłem do Łodzi. Pierwszą kroki skierowałem na Piotrkowską 49. Wywołanego sąjdu „Republiki”, którego nasz wydawca na nie nie chciał zmienić, bo przynosił im szczęście, już nie było. Spotkałem kilku szefów. Przyszli tu jak ja, może wypłaca nam sąlegie zarobki?

Dziesiątego listopada, w przeddzień Święta Niepodległości, poraziła mnie wieść o masowych aresztowaniach dziennikarzy. Hitlerowcy krążyli od mieszkania do mieszkania aresztując naszych kolegów. Z podrepcą waliłkasa pobiegłem do Stefana Kaluszyńskiego. W drodze na dworzec od mnie ruszyli. Wskoczyłem do Ireny Weiss na Traugutta i niepomny naszych waśni gorąco ją namawiałem, żeby razem ze mną i Stefanem uciekła do Związku Radzieckiego. Nie chciała zostawić matki staruszki, powędrowała jak inni do getta i tam się otrula.

4.

Czy pamiętasz nasze pierwsze po wyzwoleniu spotkanie? W Kłodzku, dokąd, mnie repatriowano, dowiedziałem się, że „Express” znówu wychodzi. Nazajutrz wyruszyłem do Łodzi na rekonesans. Przenocowałem u mego brata Lud-

wika i raniutko pojechałem na Piotrkowską, gdzie pod numerem 102a mieściła się siedziba wznowionej popołudniówki.

Spotkałem Cię, gdy wychodził z „Fraski”. Ucałowaliśmy się z dubeltówką. Z miejsca zaproponowałem, żebyśmy sobie mówili po imieniu. Różnica wieku nieco się zatarta. Ja miałem już trzydzieści sześć lat, a Ty dopiero pięćdziesiąt dwa.

Opowiedziałeś o swojej via dolorosa, wiedzącę poprzecz trzy hitlerowskie obozy zagłady: Dora Nordhausen, Buchenwald, Oświęcim. Niemcy zgarbali Cię z Piotrkowskiej 145, gdzie mieszkales do wojny. Z innymi kolegami los obeszli się jeszcze okrutniej. W masowej egzekucji w lasach łucmierskich zgineli m.in. Adolf Grynfeld, Henryk Passierman, Antek Weiss, Szymon Gliick. Szymek ukrywał się, ale gdy Niemcy skonfiskowali w czasie rewizji jego masyne do pisania, poszedł do gestapo i poprosił o swobodę, bo to przecież jest warsztat pracy.

A ja odcinałem kuponiki od Twojego... turnieju rycerskiego. Deklamowałem wiersze i fraski z tego tomiku, słuchacze byli wniebowzięci, nie szczenieli mi chleba, owoców i innego dobra. Myślałem, że mają przed sobą autorkę, przez skromność nie zaprzeczając, ani nie potwierdzając.

Ze mną było akurat odwrotnie. W obozie też ktoś zaśmiewał fragment turnieju. Błąknętem, że to moje dzieło. O mało mnie nie pobili za podziwianie się pod kocy.

Chodziłmy po mieście ponad godzinę, przystawaliśmy i ruszaliśmy dalej w drogę. Uderzył mnie charakterystyczny szczegół: gdy tylko zawatyl, że stawiam prawa, a Ty lewą nogę, momentalnie zmieniałeś krok. To była jedna z obozowych pamiętek: noga w nogę, kajdaniarska, lewa, prawa!

Namawiałeś mnie gorąco do podjęcia pracy w „Expressie”, powoływał do życia przez naszego dawnego sekretarza redakcji. Adama Sienberg-Górski w czasie okupacji ze względu na konspiracyjny charakter nazwiska na Konstanty Bogusławski i jak twierdził znakomicie prowadził popołudniówkę.

Zapamiętałem się do tej propozycji, a Bogusławski przyjął mnie a otwartym ramieniem. W redakcji zastałem jeszcze jednego naszego kolegę z dawnych lat — Wacka Drozdowskiego. Okupację przetrwał w ołgaju.

I tak to się zaczęło na nowo. „Express” rozedł się fantastycznie. Było to głównie Twoją zasługą. Znowu raczyłeś czytelników znakomitymi powieściami odcinkowymi. „Wród, gdy będzie ci źle”, „Podaj mi dłoń”, „Dancing Bar Erika”, „Adolf i Ewa”, „Oczy Krystyny”. Ale to nie zaspokajało Twoich ambicji. Jak dawniej zajęłaś się działalnością na niwie kultury, pisałaś wspomnienia z obozów, a na dokładkę codziennie drukowałeś nowelkę — własną lub tłumaczoną. Wacek Drozdowski na polecenie szefa reaktywował bohaterów swego przedwojennego filmu rytmkowego „Wacek i Wacek”, co jeszcze bardziej spopularyzowało naszą popołudniówkę.

Często rozmawialiśmy ze sobą. Kłapała energia, zdrowie dopisywało Ci bez względu na wiek i wybie barometryczne. Ty, Wacek i ja staliśmy się trzema redakcji. Poza reporterką (codziennie wypisywałem jedną, dwie kolumny) zarządzaniem szefa objął sekretariat redakcji. I znowu jak przed laty pełen podziwu czytałem kolejne odcinki Twoich powieści. Z tą różnicą, że nie musiałem już ich wyrwać z listy: pisaliśmy: Najpierw trafiały na moje biurko.

5.

Niedługo Konstanty Bogusławski redagował popołudniówkę. W dwa lata po jej wznowieniu, w r. 1948, zmarł na chorobę serca. Paleckę przejął po nim Eugeniusz Kronlewicz, przedwojenny redaktor „Głosu Porannego”.

Nadeszły ciężkie lata, epoka socrealizmu. Najpierw aduniołeś Cię od powieści. Kronle-

wicz puścił na łamy „Expressu” przetłumaczonego przez jego żonę „Kapitana starego zółwia” i nakład momentalnie się zachwiał. I nowelki skasowano, bo to niewychowawcze. Zostało Ci wąskie polje, zawsze bliskie Ci sprawy kultury.

Nie narzekałeś, z pokorą znosiłeś swój los. Ale zdrowie zaczęło szwankować. Charakterystycznym gestem pokazywałeś na serce: — Stary, czuję, że się starzeję.

Los Twoich powieści i nowelek podzielił również film rysunkowy, a jego twórca, nasz kochany Wacek Drozdowski, w 1951 roku opuścił nas na zawsze. W dwa lata później połączył nas z „Dziennikiem Łódzkim”, powstał nowy tytuł „Łódzki Express Ilustrowany” pod szefostwem Stasia Mojkowski. Rychło potem choroba serca zabrała z naszego grona Kronlewicza, zastępcę Moja.

Coraz częściej chodziliśmy na cmentarz. Byłeś koronnym mówcą na pogrzebach. Zegnając kolegów przemawiałeś pięknie, wzruszająco. Najboleśniej przeżyłeś śmierć Twego najbliższego przyjaciela Kazimierza Grusa. Wtedy po raz pierwszy i jedyny ujrzałem izy w Twoich oczach.

A pamiętasz tę moją, z kawalerską fantazją zorganizowaną wyprawę do Australii na Olimpiadę 1956? Prosiłeś, żebym uścił Władysława Polaka i Stefana Kalusa-Kaluszyńskiego. Wojna rzuciła ich aż na antypody. I oni wspominali Cię serdecznie. Obydwaj nie żyją. Ich kości spoczęły na drugiej półkuli, dwadzieścia kilka tysięcy kilometrów od rodzinnej Łodzi, do której tak tęskniłeś...

6.

Potem „LEP” rozdzielił się, znowu powstały dwa tytuły — „Dziennik Łódzki” i „Express Ilustrowany”. Ciebie Moj zabrał do „Dziennika”, ja przeszedłem do utworzonej przez Leopolda Becha „Karuseli”. Jakoś pociągnęło mnie do satyry.

Ale nadal spotykaliśmy się, niemal codziennie. Pracowaliśmy w tym samym gmachu. W Klubie Dziennikarzy dzieliliśmy się nowinkami. Często wracaliśmy myślami do dawnych czasów, kolegów.

Zmieniali się naczelnicy. Przybywali młodzi adepci sztuki dziennikarskiej. Każdy Ignął do Ciebie. Byłeś dla nich niedoścignionym wzorem, zawsze życzliwy, syjący anegdotami jak z rękawa.

Aż nadszedł czas przejścia na zasłużoną emeryturę. Nie chciałeś o tym słyszeć.

— Stary, to byłby dla mnie koniec. Na moją samotność praca jest jedynym lekarstwem. Jeszcze mogę się przydać.

Tobie pierwszemu, z nietajonym wzruszeniem, ofiarowałem mój pamiętnik o wspólnie przeżytych latach, o tym jak przed wojną robiło się gazetę, o moich wlotach i upadkach. Ciepło, serdecznie, napisałeś o tej mojej książeczce: „I coraz częściej dopytwałeś się kiedyś skończył drugi tom moich wspomnień.”

— Chyba już nie zdąży napisać następnej rozdziału — pokiwał smutno głową. — Metryka dokuca coraz bardziej...

Pocieszałem Cię jak mogłem, ale byłem pełen szych przeżyć. Przeszedłeś ciężką operację, kilka razy zawoził Cię do szpitala. Te serce, to oczy, nerki... Przeżyła i wiek przyniósł Two barli, pochylłeś się...

— Chciałbym już umrzeć, ale tak, żeby się nie męczył i nie sprządał kłopotu kolegom. Przeżyłem swoje, życie nie ma już dla mnie uroku.

I któregoś dnia usłyszałem z Twoich ust wyznanie, które mną wzruszało.

— Powiem ci jedno: poszedłem nie tą drogą, jaką powinienem. Wiesz, że pisałem wiersze liryczne. Posłałem je Tuwimowi, pochwalił i zachęcał mnie do dalszej twórczości. A ja przerzuciłem się na tamte tematy. Rozślawiły mnie, ale wolałbym, żeby w pamięci zachował innego Jagodzińskiego...

Nasze rozmowy były coraz szersze, wylewne, przyjacielskie. Rozmawialiśmy jak równy z równym. Staliśmy się rówieśnikami. Ty i ja wkroczyliśmy w ten okres życia, kiedy różnica kilkudziesięciu lat już się nie liczy.

Aż nadeszła owa tragiczna sobota. Wieczorem zis się poczułem w swym mieszkaniu przy ul. Wawelskiej. Instylnik samozachowawczy przemógł, choć tyś okazała się silniejsza od pragnienia śmierci. Zadzwońiłeś do Pogotowia. Ale zapomniałeś, a może już nie zdążyłeś przekazać klucza w zamku. Gdy nie reagowaliśmy na dobijanie się do drzwi, trzeba było było wyważyć i lekarz mógł tylko wystawić świadectwo zgonu...

7.

Mądrze powiedział Marek Groński o śmierci, że jest to nieobecność we wszystkich miejscach naraz. Dla mnie Twoja nieobecność oznacza coś więcej: śmierć mojego świata przedwojennego, mojej młodości, lat spędzonych w „Expressie” i „Republice”.

Bo z kim mam teraz wspominać tamte dzieje? Nikogo już nie ma z dawnych kolegów. Wszyscy odeszli w świat cieni. Mój ukochany brat Lutek, Mundeł Bartoszek, który tak godnie znosił swój los, mimo ciężkiego kalectwa, rozśmiany Henio Passierman i Szymon Gliick, wspaniały stylista jak i Ty. To dzięki Wam doskonałem swój warsztat pisarski.

Wraz z Tobą odszedł mój dawny świat, Łódź z podwózkowymi grajkami i skrobkami, tragicznymi dźwiękami na plecach „garby skrzyń ciężkich”, chłopcami wykrzykującymi tytuły sprzedawanych gazet, przekupkami zachwalającymi na ulicach „te malinowe pomarańcze, cztery za złoty”, zadymiona, szara, brzydka Łódź, a tak nam droga...

Zegnaj, niezapomniany Mistrzu! Zegnaj, mój przyzwy sąsiadzie!



PESIMIŚCI TWIERDZĄ, że wiosny w tym roku nie będzie — tylko od razu po przydługiej zimie — nastanie lato. Niektórzy już nawet trochę zdążyli ponarzekać, że... za gorąco. Faktycznie, pierwsze oznaki lata już się pojawiły. Na ulicach uruchomiono saturatory z wodą sodową, a prywatne cukiernie wznowiły sprzedaż lodów. W barze „Hortexu” wraz z pierwszym ciepłym dniem wydłużyli się kolejki. Posuwają się szybko, a postać warto. „Hortex” każdego dnia proponuje konsumentom desery lodowe i ciasta w 60 asortymentach. Wśród nich — nowości: orzeszki i śliwki w czekoladzie. Bardzo drogie, ale raz w tygodniu na 10 dag można sobie pozwolić — a więcej i tak jest nie należy w trosce o linie.

MAJ JEST MIESIĄCEM MIŁOŚCI — która niekiedy przynosi nie planowane skutki w postaci... dzieci. Można się przed tym ustrzec, odpowiadając odpowiednio wcześniej apteki. Obecnie jest pełne pokrycie zapotrzebowania na wiele tabletek hormonalnych dla kobiet (brakuje jedynie Gestranolu). Dostępne są również prawie wszystkie rodzaje spiralek. Niestety, od dłuższego czasu nie dociera do aptek poszukiwany, łatwy w użyciu i absolutnie nieszkodliwy Patentex. W najtrudniejszej sytuacji są mężczyźni. Środki antykoncepcyjne dla mężczyzn dzielone są centralnie i łódzki Cefarm nie ma żadnej możliwości zwiększenia dostaw. Zamówienia aptek pokrywane są zaledwie w 30—40 proc. W księgach ten swego czasu łatwo dostępny artykuł również pojawia się rzadko i szybko jest sprzedawany. Z drugiej strony — w ostatnim czasie wzrosło zapotrzebowanie, co prawdopodobnie wiąże się nie tyle z rozsądnym planowaniem rodziny, co raczej z obawą przed zachorowaniem na AIDS i inne choroby „W” — przed którymi, podobno, zabezpieczają. Wobec braku przetworzonego polecamy... wstrzemięliwość, a co najmniej wierność małżeńska.

MAJOWE DNI MŁODOŚCI W „CENTRALU” upływać będą pod hasłami nie tylko handlowych atrakcji. Niezależnie od szczególnie dobrego zaopatrzenia stoisk w towary przeznaczone głównie dla młodzieży od 0 do... nastu lat (a także dla znacznie starszych, lecz młodych duchem) w każdą sobotę przed „Centralem” odbywać się będą specjalne kiermasze z odzieżą, obuwiem, sprzętem sportowym i innymi towarami, poszukiwanymi przez młodych konsumentów. Dodatkowe atrakcje — to pokazy mody młodzieżowej oraz występy zespołów muzycznych.

KONIEC ZIMY W „MODZIE POLSKIEJ” — we wszystkich salonach tej firmy od poniedziałku trwa wyprzedaż towarów sezonowych po cenach obniżonych. Na sezon wiosenno-letni przygotowano, wśród rozmaitych atrakcji — zupełnie nową na naszym rynku — letnie wyroby dzwierskie z bawełny i innych naturalnych surowców, bardzo kolorowe, wykonane specjalnymi, „przewiewnymi” splotami. Ponadto — już na dniach rozpocznie się sprzedaż włoskich butów damskich (pod koniec maja także i męskich). Do salonów „MP” trafi ponad 40 wzorów obuwia, przeważnie o charakterze wizytowym. Kosztują około 20 tys. zł — czyli nie tak wiele, zwążywszy ich urodę, jakość, a także fakt, że według ostatnich doniesień GUS nasza średnia pensja wynosi ponad 26 tys.

WROTCIE ZNÓW POJAWIA SIĘ CYTRYNY — tym razem argentyńskie i włoskie. Dostawy będą spore i znowu przez jakiś czas utrzyma się ciągłość sprzedaży. Znaczenie trudniej natomiast będzie kupić pomarańcze. Nadchodzą niewielkie przysyłki tych owoców z Kuby, nieco później także z krajów arabskich. Można natomiast kupić kawę — rozpoczęto sprzedaż kawy mielonej „Leonard”, wycofanej z „Powexu”, w opakowaniach półkilogramowych w cenie 3 tys. zł. Niedługo pojawi się także w sklepach kawa kubańska typu instant w małych paczkach, po 30 i 50 gramów.

GRAPERYTY, MANDARYNKI i inne owoce cytrusowe można sobie wyhodować w domu. W kwiaciarniach pojawiły się zaszczerpane już sadzonki drzewek cytrusowych. Elegancko opakowane w tekturowe pudełka z uchwytami i przezroczystym „okienkiem” znakomicie nadają się — zamiast ciętych kwiatów — dla majowych solenizantów. Cena 490 zł.

PANOWIE JUŻ TERAZ powinni wybrać się do „Hermesa” po letnie obuwie — jest duży wybór sandałów, a także butów typu sportowego. Panie natomiast powinny jeszcze poczekać — co prawda i dla ich sandałów są, ale zwiększone dostawy sandałów i galanterek zapowiadane są na nieco późniejsze dni maja.

NIE MOŻESZ DOSTAĆ KOLOROWEGO TELEWIZORA? TO ZAMÓW. Kilku prywatnych specjalistów w Łodzi montuje kolorowe telewizory z różnych części, np. wnętrza „Heliosa” w skrzyni „Jowisza”, plus dekodery PAL-SECAM. Ceny — nieco tylko wyższe niż w sklepach państwowych. Producent udziela gwarancji.

ze str. 1

gospodarowania przestrzennego teren ten przeznaczony jest pod budownictwo jednorodzinne; dotychczasowy lokal cukierni, wynajmowany przez Luchniaka w budynku przy Nowotki 31, jest w fatalnym stanie technicznym, a w tej części miasta cukiernia jest bardzo potrzebna. Nie przekonywało to jednak do końca Michała Majchrzaka, który czuł, że cała sprawa szyla jest bardzo grubymi niemiami. No bo, jak można pisać takie rzeczy, skoro niedaleko, przy Nowotki pod 17 jest państwowy sklep cukierniczy, a w nim — pełny asortyment ciast, ciastek i innych słodkości. Nie potrafił też zrozumieć, dlaczego władze miasta tak bagatelizują jawne fakty naruszania prawa. Czyżby w Zgierzu prawo nie obowiązywało cukierników?

Dlatego Majchrzak nie przyjął tej decyzji do wiadomości. Nie przyjął też propozycji pani Matusiak, by ubiegał się o jakąś inną działkę — w rejonie Rudunek lub na końcu Nowotki. Po pierwsze — działki te nie podobały mu się. Po drugie zaś — chodziło mu o zasady współzycia społecznego, które — jego zdaniem — zostały w jaskrawy sposób naruszone. Nikt wszak nie wymógł mu oficjalnie dzierżawy, nikt nie porozumiał z nim jak z człowiekiem. Bardzo go to zabolowało. Postanowił więc mimo wszystko walczyć dalej.

Jeszcze w lutym 1985 roku odwołał się do dyrektora Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu Miasta Łodzi, jako jednostki nadrzędnej władz w Zgierz. UML utrzymał jednak zaskarżoną decyzję w mocy. Trudno — pomyślał wtedy Majchrzak i złożył kolejne odwołanie — tym razem już do Naczelnego Sądu Administracyjnego w Warszawie. Dowodził w nim, że nie jest prawdą, iż o sporną działkę ubiegał się tylko on i Luchniak, jak twierdził Urząd Miasta, gdyż w Zgierz duzo osób złożyło podania o działki budowlane. Informował, że cukiernik naruszył prawo, a w dodatku „nabył (...) działkę budowlaną na terenie gminy Zgierz lub Ozorków — gdzie również rozpoczęła budowę domu mieszkalnego bez uzyskania decyzji na budowę. Fakt ten kategorycznie eliminuje ob. Luchniaka jako kandydata na zakup działki budowlanej przy ul. Nowotki...”.

NACZELNY SĄD ADMINISTRACYJNY WYKAZAŁ

więcej obiektywizmu i... przyznał rację Michałowi Majchrzakowi, to znaczy — uznał iż decyzja przyznająca działkę Włodzimierzowi Luchniakowi z prawnego punktu widzenia w ogóle nie powinna dojść do skutku i jest — po prostu nieważna. Nie dlatego jednak, że Luchniak posiada jakieś inne działki (ten zarzut nie znalazł potwierdzenia), ale — że nabył od Skarbu Państwa mieszkanie własnościowe, a prawo stanowi, że osoba fizyczna może kupić od Skarbu Państwa nieruchomości tylko jeden, jedyny raz. Nie ma więc znaczenia, że Luchniak przepisał później owo mieszkanie na córkę. Liczy się sam fakt kupna. Koniec. Kropka. Sprawa wyjaśniona.

Ale co innego sąd, a co innego życie. Oto bowiem Luchniak w błyskawicznym tempie wybudował piętrowy dom, i gdy siedzia Henryk Polepszak wygłaszał w NSA wyrok, budynek w stanie surowym był już prawie gotowy. Musiało to kosztować miliony. Ile dokładnie — Majchrzak nie wie. Ale zastanawia się, czy cukiernik zwoziłby materiały, kopał fundamenty jeszcze przed otrzymaniem notarialnego aktu własności, gdyby na sto procent nie był pewien, że tę działkę dostanie? Czy odważyłby się załóż w tym czasie budynek, gdyby sprawa od dawna już nie była w Urzędzie Miasta przesądzona?

Michał Majchrzak woli nie rozwijać dalej tej myśli. Woli trzymać się faktów. A fakty są takie, że od wyroku NSA z 12 listopada 1985 roku Włodzimierz Luchniak odwołał się do ministra sprawiedliwości, zaś jego przeciwnik złożył kolejne podanie do Urzędu Miasta w Zgierz o prawo do wykupienia dzierżawionej działki — teraz już wraz ze stojącym na całości domem. Na podaniu podpisał się też jego córka Mariola.

Oczywiście Michał Majchrzak wiedział, na co się porywa. Wiedział, że musiałby zapłacić Luchniakowi za dom dużo, bardzo dużo. Był na to przygotowany: trzecia z córek, Grażyna wraz z mężem ma pół „błysniaka”, które można by sprzedać, zebrać wszelkie oszczędności... Może by wystarczyło. A to, że cały parter zaprojektowany został z myślą o zakładzie cukierniczym, też nie musiałoby stanowić przeszkody. Można by tam prowadzić jakąś działalność usługową. A do tego nie trzeba przecież być koniecznie rzemieślnikiem.

„Jednocześnie staram się o prośbę — kończył swe podanie Majchrzak — o definitywne zakończenie tej długiej i żenującej w sposobie załatwiania sprawy, która ani władzom administracyjnym, ani społeczeństwu m. Zgierza chłuby nie przynosi, a jest dowodem na brak znajomości prawa osób, które winny się nim kierować i umieć posługiwać”.

Urząd Miasta w Zgierz — znów w osobie Magdaleny Matusiak — odpowiedział, że „w dniu 2 stycznia 1986 zostało wszczęte z urzędu postępowanie (...) w związku ze zwrotem akt sprawy z Naczelnego Sądu Administracyjnego”. Znacząco to mniej więcej tyle, że zanim władze miasta podejmą decyzję, co dalej z działką i znajdującym się na niej domem, muszą najpierw ustosunkować się jakoś do wyroku NSA, od którego Włodzimierz Luchniak odwołał się do ministra. Trzeba więc czekać. Michał Majchrzak dopatrywał się w tym czekaniu gry na zwłokę, wnosił więc do wiceprezydenta Łodzi skargę na zgierski Urząd Miasta, a Halina Fluderska poinformowała o całej sprawie Prokuraturę Wojewódzką w Łodzi.

Po kilku miesiącach „począł pantoflować” dotarla do Majchrzaków wiadomość, że minister sprawiedliwości oddalił wniosek Luchniaka o rewizję nadzwyczajną wyroku NSA z 12 listopada 1985 roku. W tej sytuacji widzieli bliski już koniec sporu, a siebie — w roli zwycięzców. Tymczasem Sąd Rejonowy w Zgierz, do którego Urząd Miasta wystąpił o rozwiązanie aktu notarialnego, przyznającego działkę Włodzimierzowi Luchniakowi na własność, orzekł w listopadzie 1986 roku... utrzymanie aktu w mocy.

Rodzina Majchrzaków nie mogła wyjść ze zdumienia: jak to — Naczelną Sąd Administracyjny mówi nie, Sąd Rejonowy — tak, i wszystko ma być w porządku? Przecież wyrok to są ze sobą sprzeczne! Tylko jeden z nich może być więc zgodny z prawem. Ale który? Komu wierzyć? O co naprawdę w tym wszystkim chodzi?

I tak oto „zabawa” zaczyna się od początku: piśmie z 3 lutego 1987 roku Urząd Miasta w Zgierz kolejny raz odmawia przyznania działki Michałowi i Marioli Majchrzakom, twierdząc iż działka jest już własnością małżeństwa Luchniaków. 16 lutego 1987 Michał Majchrzak odwołuje się od tej decyzji do Urzędu Miasta Łodzi i prosi w związku z tym władze administracyjne Zgierza o „zawieszenie postępowania” w sprawie. 20 lutego Magdalena Matusiak odmawia spełnienia prośby, gdyż wyrok Sądu Rejonowego jest prawomocny, zaś odwołanie od decyzji z 3 lutego rozpatrzy dyrektor Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu Miasta Łodzi, któremu pisze m.in. „Jednocześnie informuję, że w dniu 17 lutego 1987 zgłosiła się przedstawicielka samorządu mieszkańców Komitetu Obwodowego nr 4 w Zgierz z interwencją w sprawie niepodjęcia wania działalności usługowej przez mał. Luchniak w nowym lokalu, a zwłaszcza w związku z ostatnią opinią Państwowego Ter-

Zakalec

nowego Inspektora Sanitarnego w Zgierz z dnia 29 stycznia 1987 r., odnoszące antysanitarne warunki w obecnym zakładzie, uniemożliwiających dalszą działalność cukierniczą”.

Włodzimierz Luchniak niebystro chętnie zgadza się na rozmowę, jest podejrzliwy, sugeruje, by na razie niczego nie pisać. Po co? Nie ma potrzeby. A jeżeli już, to może dopiero, gdy spor zostanie ostatecznie rozstrzygnięty — oczywiście na jego korzyść. I on bowiem nie ma wątpliwości, po czyjej stronie jest racja, choć zarazem twierdzi, że nie zna się na prawie. Kodeksów nie studiuję. Zna się tylko jako tako na cukiernictwie i nie innego robić nie potrafi, więc jeśli, nie daj Boże, przez jakiegoś Majchrzaka nie mógłby dalej prowadzić swojego zakładu... Słowem, sytuacja jest wprost tragiczna i nerwy już od mawiają posłuszeństwa, bo krywdą wielką, a niezastuszoną jemu i całej rodzinie się dzieje.

Na dowód Włodzimierz Luchniak pokazuje, w jakich warunkach przychodzi mu ostatnio pracować. Budynek przy Nowotki 31, w którym od ponad dwudziestu lat wynajmuje pomieszczenie po dawnej piekarni, liczy sobie więcej niż wiek i rzeczywicie jest w fatalnym stanie. Wszędzie wilgoć, grzyb, farba płatami odchodzi od ścian i sufitu i to prawie od razu po malowaniu. Brudno, brak zaplecza zgodnego z przepisami, ba nawet porządek wejścia od ulicy do zakładu nie ma. Jedynie sklep, gdzie siedzi żona, wygląda jeszcze jako tako, choć to też już ruina. Aż dziw, że do tej pory udało się jakoś uniknąć zbankructwa. Sanepid wielokrotnie już przeprowadzał tu kontrole i nakazywał zamknięcie zakładu. Ale jak zamknąć, skoro najpierw nie było gdzie przenieść się z robotą, a teraz, gdy już jest — nie podoba się to jakiemuś Majchrzakowi. Respektowany jest więc tylko zakaz produkcji przez Luchniaka ciastek tortowych i lodów, co oczywiście poważnie ogranicza zyski. Zresztą i tak nie są one tak duże, jak mogłyby być, ponieważ w zgierskiej dzielnicy Przybyłków pozostali przeważnie starsi ludzie. Młodzi przeprowadzili się do bloków. Najwięcej na osiedle 650-lecia, gdzie mieszkają też Luchniakowie i gdzie najchętniej widzieliby swój nowy zakład. Starali się nawet swego czasu o to, ale nie dostali tam lokalizacji. Piekl więc dalej i sprzedawali swoje słodkości przy Nowotki 31. Aż nagle pojawiła się możliwość nabycia działki budowlanej tuż obok. Jak więc można było z takiej możliwości nie skorzystać?

Włodzimierz Luchniak nie pamięta dokładnie, kiedy złożył podanie o działkę przy Nowotki 29. Nie pamięta, by najpierw mu jej odmówiono, a potem przydzielono. Nie pamięta też, czy w Urzędzie Miasta pytano go o kupione wcześniej za dewisy mieszkanie. W ogóle unika konkretnych dat, nazwisk — jakby nie była to jego sprawa, jakby nie należało mu wcale na rzetelnym i prawdziwym jej przedstawieniu. Chętnie natomiast pokazuje swój nowy dom, w którym cały parter zaprojektowane z myślą o zakładzie cukierniczym — i wyłącznie zakładzie cukierniczym — podkreśla, by nie było złudzeń, iż pomieszczenia mogły nadawać się na cokolwiek innego.

Ściany i podłogi wyłożone glazurą, jest zaplecze, magazyn, a na drzwiach widnieją już napisy informujące zwiedzających, co za każdymi z nich będzie się znajdowało. Piętro zajmuje obszerne, 4-pokojowe mieszkanie — w przeciwieństwie do parteru, zupełnie jeszcze nie wykończono. Ale już teraz widać, że będzie mogło się podobać.

Na pytanie, kto i kiedy zaprojektował budynek, Włodzimierz Luchniak również nie daje odpowiedzi. Z uzyskanych skądinąd informacji można się domyślać, dlaczego. Wbrew pozorom nie jest to wcale bez znaczenia, gdyż projekt domu zaczął rodzić się na wiele miesięcy przed uzyskaniem przez Luchniaka aktu własności działki. Wynika więc z tego, że albo Luchniak upatrzył sobie tę właśnie działkę i zaryzykował, zlecając wykonanie projektu, jeszcze przed załatwieniem formalności, albo też — że sprawa została przesądzona na długo przed jej oficjalnym załatwieniem i cukiernik nie ponosił żadnego ryzyka.

Ale nie uprzedzajmy faktów i najpierw podajmy je w chronologicznej kolejności:

17.XI.1976 — małżeństwo Bożenna i Włodzimierz Luchniakowie nabywają za pośrednictwem BHZ „Locum” mieszkanie własnościowe typu M-4 w Zgierz przy ulicy Leśmiana.

2.V.1983 — Włodzimierz Luchniak składa w Urzędzie Miasta podanie o oddanie mu w wieczyste użytkowanie działki przy Nowotki 29. 20.V.1983 — Luchniakowie przepisują notarialnie mieszkanie na pełnoletnią córkę Agatę Monikę.

24.V.1983 — Urząd Miasta odmawia przyznania wyżej wymienionej działki z uwagi na to, że W. Luchniak nabył od Skarbu Państwa mieszkanie własnościowe, a ponadto jest właścicielem połowy zabudowanej nieruchomości przy ulicy Obywatelskiej w Zgierz.

27.VI.1983 — W. Luchniak po raz drugi składa podanie o przyznanie mu działki.

20.VII.1983 — Urząd Miasta w Zgierz podejmuje decyzję o przyznaniu Luchniakom działki.

IX.1984 — pierwsze prace budowlane na działce (materiały złożone są już od ponad roku).

10.X.1984 — data złożenia projektu domu dla W. Luchniaka.

12.XII.1984 — wstrzymanie robót budowlanych na działce decyzją wiceprezydenta Zgierza.

19.IV.1985 — sporządzenie aktu notarialnego, na mocy którego Luchniakowie stają się właścicielami działki.

20.IV.1985 — pozwolenie na budowę wydane przez Urząd Miasta.

26.IV.1985 — Michał Majchrzak składa skargę do NSA.

Lato 1985 — dalsze prace budowlane.

12.XI.1985 — wyrok NSA odmawiający Luchniakom prawa nabycia działki od Skarbu Państwa.

8.I.1986 — W. Luchniak odwołuje się od wyroku NSA do ministra sprawiedliwości.

1.II.1986 — decyzja Urzędu Miasta Łodzi o wstrzymaniu prac budowlanych oraz odcięciu dopływu wody i energii elektrycznej do powstałego na działce domu.

26.II.1986 — Terenowa Stacja Sanitarно-Epidemiologiczna kolejny raz sygnalizuje konieczność jak najszybszego zakończenia działalności Luchniaków w starym zakładzie.

13.VI.1986 — W. Luchniak darowuje nieletniemu synowi Wojciechowi połowę posiadanej nieruchomości przy Obywatelskiej.

9.VII.1986 — prezydent Zgierza wnosi do Sądu Rejonowego pozw przeciwko Luchniakom o ulewaznienie aktu notarialnego.

20.XI.1986 — po pięciu posiedzeniach Sąd Rejonowy w Zgierz wydał wyrok, w którym z uwagi na ważne względy społeczne nie znajduje podstaw do rozwiązania aktu notarialnego.

Sąd w Zgierz ustalił ponad wszelką wątpliwość, że „Władze administracyjne zajmujące się oddawaniem terenów państwowych w użytkowanie wieczyste od początku były poinformowane, że pozwani (tj. Luchniakowie — przyp. P.T.) nabyli od Zgierskiej Spółdzielni Mieszkaniowej lokal własnościowy za pośrednictwem Biura „Locum” i za ich wiedzą i akceptacją lokal ten został podarowany przez pozwanych córce...”.

Sąd wziął też pod uwagę zeznania świadków: Jana Strusa, Marii Rajch, Alfreda Mikulskiego i Jadwigi Kluski oraz opinie Komitetów Obwodowych nr 3, 4 i 5, z których wynikało, że w dzielnicy Przybyłków zakład cukierniczy W. Luchniaka jest bardzo potrzebny. Dlatego po przeanalizowaniu całego materiału dowodowego sąd uznał, iż Luchniakowie nie mogą ponieść straty tylko z tego powodu, że urzędnicy państwowi pomylili się i utrzymali akt notarialny w mocy.

O SPRAWIE SPORNEJ DZIAŁKI W ZGIERZU

przy ulicy Nowotki 29 Prokuratura Wojewódzka w Łodzi dowiedziała się w styczniu 1986 roku, a 12 czerwca przesłała do prezydenta Zgierza pismo, w którym przedstawiała swoje stanowisko, zgodne z wyrokiem NSA. W odpowiedzi z 9 lipca Magdalena Matusiak poinformowała prokuraturę o wystąpieniu prezydenta do sądu z pozwem przeciwko Luchniakom oraz zapewniła, że „O dalszym toku postępowania będzie Obywatela Prokuratura informowała”.

Niestety, obietnica ta nie została dotrzymana. Magdalena Matusiak nie powiadomiła prokuratury o wyroku Sądu Rejonowego w Zgierz, w związku z czym ta nie mogła zaskarżyć wyroku do wyższej instancji w regulaminowym czasie i wyrok uprawomocnił się przy zupełnie biernym postawie władz miejskich Zgierza. Ow pozmnie drobny i mało ważny fakt sprawił, iż obecnie Urząd Miasta Łodzi lub Prokuratura Wojewódzka za pośrednictwem Prokuratury Generalnej będzie musiała ubiegać się o rewizję nadzwyczajną wyroku zgierskiego sądu.

Tymczasem Włodzimierz Luchniak czeka na rozstrzygnięcie sporu jak na rozstrzaskanego węża. Jego stary zakład w każdej chwili może bowiem zostać nieodwołalnie zamknięty przez Sanepid, a nowy stoi pusty i już nieczyste, gdyż wciąż nie ma pozwolenia na przeniesienie się do niego i przystąpienia do dalszych prac wykończeniowych, wewnątrz budynku. Właściciel twierdzi, że uruchomienie produkcji w nowym lokalu zajęłoby mu nie więcej niż dziesięć dni. Dziesięć dni, po których znów mógłby spokojnie spojrzeć w przyszłość swoją, żonę, córki, która prowadzi własny zakład rzemieślniczy (złotnictwo) i syna sztykującego się do przejęcia kiedyś cukierni po rodzicach.

A Michał Majchrzak zamiast utrudniać sobie i innym życie, mógłby — zdaniem Luchniaka — wziąć działkę obok, którą mu już proponowano i tam uprawiać swój ogródek. Na pewno byłby z tego zadowolony.

Tak, Michał Majchrzak mógłby teoretycznie ubiegać się o tę sąsiednią, nie zabudowaną działkę, lecz musiałby zachować się jak Luchniak, czyli odebrać ją dotychczasowemu użytkownikowi, ale tego przecież nie zrobił. Skrzywdziłby człowieka — dokładnie w ten sam sposób, w jaki on został skrzywdzony. Uważa natomiast, że nie nie stało na przeszkodzie, by Włodzimierz Luchniak kupił sobie działkę prywatnie i na niej się pobudował, a nie wyciągał rękę po darmową od państwa. Jako dobrze zarabiający rzemieślnik na pewno mógłby sobie na to pozwolić. Twierdzi, że bogatych tak samo jak biednych obowiązywać musi w Polsce prawo.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

AGATA

6 ODGŁOSY

NR 19 (1519), XXX, 9 MAJA 1987 R.

Niedawno w moim domu pojawił się cesarz. Ale całą sprawę należałoby raczej zacząć od tego, że kilkanaście lat temu byłem jednym z członków-założycieli Związku Stowarzyszeń Twórczych. Instytucji zwanej kiedy Spatiem (do dziś używa się tej nazwy), usytuowanej w pałacyku przy alei Kościuszki i zrzeszającej artystów wszelkich możliwych dziedzin. Wypisano mi wówczas legitymację, nie odebrałem jej wszakże — potrzebna była tylko po to, aby dostać się wieczorem do restauracji, ta zaś przyjmowała mnie i otwartymi ramionami i każdej porze; znalazłem kierowniczkę, pozostawałem w zażyłych stosunkach z doborową zgrają bramkarzy, szatniarzy i kelnerów, z których jeden twierdził nawet, że jestem jego prawą ręką, aczkolwiek nie pomagałem mu w oszukiwaniu gości i zbieraniu napiwków.

Myślałem, że tak będzie zawsze, ale ramiona zamknęły się nagle. Zmieniono agenta, zrotowano szatniarzy i kelnerów, na bramie u drzwi stanął nieznany groźny zawieszony wykładaj, który na mój widok zacisnął pięść i powiedział:

— Nie sam. Nie wpuszczaj.

cięższym tyrandolu, jaki kiedykolwiek wiał w tym mieście. Tak czy owak, wciąż była to wspaniała knajpa, przy której Spatiu warszawski wyglądał jak kurnik Sala z wielokrotnym szynkwasem do dziś może zachwycać najwybredniejszego konesera (niechże dalej trzymają się od niej z daleka nasi znakomici architekci wnętrz), a innym salom też nie brakuje owego staroświeckiego, przywodzącego na myśl czasy Ziemi Obiecanej uroku.

Samo Stowarzyszenie (ani organizowane przezeń imprezy artystyczne) nigdy mnie nie interesowało, podobnie jak ja nigdy nie interesowałem Stowarzyszenia. Ale knajpa zawsze była w porządku (nie licząc oczywiście samobójstw i innych wypadków śmiertelnych) i przewinęli się przez nią wszyscy wybitni artyści Rzeczypospolitej z Wajdą, Skolimowskim i Polańskim włącznie, i z Wojtkiem Frykowskim na dodatek.

Nie tylko w pejzażu łódzkim, ale również w panoramie krajowej, ogólnopolskiej, Spati był niegdyś tym, czym była dawniej „Honoratka”. Ta ostatnia obsadziła się do granic łapanarzu, ten pierwszy wciąż się jakoś trzyma, aczkolwiek sprawiedliwie będzie dodać, iż

reszem Millera telefonę ze Stowarzyszenia Kiedy Cesarz był u mnie, mój telefon czekał z kolei na ewentualne połączenie. Do Cesarza dzwonił cały świat — prosił go o wywiady prasowe i telewizyjne, o wykłady na uniwersytetach, o przyjazdy kurtuazyjne na koszt takiego czy innego zagranicznego wydawcy.

Przy tym wszystkim cesarz jest szalenie cichy, szalenie grzeczny i szalenie skromny. Zna oczywiście swoją wartość i ma bardzo dużo do powiedzenia. Mówiliśmy o Afryce i Ameryce Łacińskiej, o filmie Wajdy, który oparty był w dużej mierze na doświadczeniach pana Ryszarda, o Stachurze, z którym Kapuściński przeżył w Meksyku piekło i lekko poetę demitologizował.

W marcu, kiedy wyszła już „Barcelona”, wziąłem dwa egzemplarze i pojechałem do Warszawy załatwić swoje sprawy filmowe. Jedną „Barcelona” wręczyłem Zygmuntowi Wójcikowi, a drugą Ryszardowi Kapuścińskiemu, z którym umówiliśmy się w Departamencie Książki MKiS. Cesarz zaprosił mnie na śniadanie do kawiarni w hotelu „Europejskim”. Powiedział:

— Nie udało nam się dotąd wypić.

zaryszenia Twórców Kultury o ratowanie tego nieszczęsnego związku, bo władze podobno chcą go zlikwidować.

Niezależnie od tych kataklizmów wieczorem w ZLP odbyło się spotkanie pisarzy z wiceprezydentem Janem Noską. Impreza ta przebiegała zapewne do historii ze względu na wystąpienie Konrada Frejdlicha. Konio przemawiał z początku spokojnie, logicznie i przekonująco, potem wszakże zdenerwował się jak szewc, dusza zawyla: skandal! skandal! walił pięścią w stół i wrzeszczał na onieśmiałego wiceprezydenta, który skądinąd jest człowiekiem wdzięcznych manier i ładnej polszczyzny, zapytując o skład komisji, która przyznaje nagrody miastu (już on rozrobi tę niecną zgręję), i żądając, aby natychmiast przyznano nagrodę Antkowi Szramowi (czemu nie otrzymał jej dotychczas?).

Merytorycznie słusznym zarzutem Konrada Frejdlicha zabrakło, że tak powiem finezji. Jeśli Szram chce dostać nagrodę Łodzi, musi zmienić adwokata. Antek oczywiście nie prosił Frejdlicha o wstawienie. Ale Konrad, szczerą duszą, występuje w imieniu skrzywdzonych przyjaćli bez względu na to, czy ktoś go o to prosi, czy nie prosi. Walił zatem pięścią w stół i wrzeszczał, tokował, strugał, mówiąc językiem Sienkiewicza, pale, na które własnoręcznie ponawleka wszystkich wrogów Antoniego i zaprowadzi ład w nieprawym mieście...

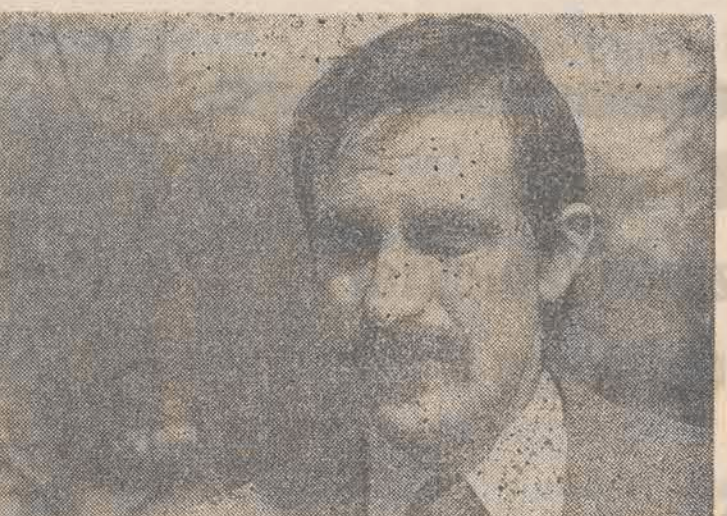
W ogóle dobrze się stało, że Konrad Frejdlich powrócił w szeregi Związku Literatów Polskich. Odak Frejdlich zapisał się na nowo do ZLP, i ja zacząłem tam czasami bywać, zawsze bowiem weselej posłuchać Frejdlicha niż obejrzeć w telewizji średniej klasy komedię. Frejdlich to Frejdlich i szlus!

Jest bez wątpienia smakomitem mówcą i wystąpić po Frejdlichu, to już trzeba być naprawdę człowiekiem bezczelnym. Tak czy owak, zdobyłem się na opowieść, którą teraz słowo przytaczam za namową Jurka Wawrzaka. Na zakończenie spytałem wiceprezydenta Jana Noskę, czy to prawda, że Stowarzyszenie Twórców Kultury ma zostać rozwiązane. Jeśli tak, co w jego miejsce powstanie, a jeśli nie nie powstanie, jakie będą dalsze losy drogiej mojemu sercu restauracji. Słag by mnie trafił, gdyby lokal i należące do artystów piętra zostały się w szpony jakiejś firmy polonijnej, albo gdyby zaginęła się tam kolejna filia MPK do sprzedawania tramwajowych biletów. Wspomniałem, że nigdy nie interesowałem się Stowarzyszeniem, podobnie jak Stowarzyszenie nigdy nie interesowało się mną (a szkoda! Miałoby lepszego adwokata — papugę, niż Szram). Niemniej jednak obchodzi mnie jego losy. Nie można dopuścić, aby zmniejszył się w Łodzi stan posiadania artystów, którzy wciąż narzekają na niedostatki lokalowe — pisarze akceptują od lat czynszowe mieszkanie, brak pomieszczenia, gdzie można by zorganizować Muzeum Literatury, Muzeum Kinematografii egzystuje w ciśniecie, a Muzeum Sztuki nie ma gdzie eksponować dziesięćdziesiąt procent swoich zbiorów.

Jan Nosko potwierdził hłobową wieść. Nie będzie Stowarzyszenia, nie widzi sposobu, aby uratować instytucję, którą obciąża dług wysokości 22 milionów złotych, i która zrobi wszystko, aby ten dług powiększyć.

Nie wiadomo, czy zawiąże się jakieś nowe Stowarzyszenie. Wiceprezydent złożył wszelkie solenne obietnice, iż pałacyk, zarówno restauracja, jak i pokoje biurowe, pozostaną w rękach artystów.

I tu mogę zakończyć z czystym sumieniem gawędę o zagubionej legitymacji, która kosztowała mnie dziesięć tysięcy złotych i brazylijskiej torbie, na której zwrot czekam z utęsknieniem, o Konradzie Frejdlichu, który nie bez cienia racji grzmocił pięścią w stół i o cesarzu Ryszardzie Kapuścińskim, z którym nie wiem jeszcze, co zrobić, kiedy znowu pojawi się w moim domu.



Mówi: Krzysztof Augustyniak

Absolwent Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy, wiczytator łódzkiego Kuratorium, wychowawca w bursie, przewodniczący ZW ZMW w Łodzi, lat 35. Dwie córki, 6 i 10 lat, żona Maria, księgowa. Osiągnął limit wieku w organizacji, nazywają go więc emerytem młodzieżowym. Mierzy 181 cm, a w wyniku marazobiegów uprawianych do trzech miejsc pracy utrzymuje smukłą linie i waży tylko 75 kg.

— Ten katar to z powodu pracy w terenie?

— Z powodu biegania bez czapki z jednego do drugiego budynku bursy, gdzie dorabiam jako wychowawca. Zostałem nauczycielem wiedząc, co mnie czeka, no i teraz muszę jakoś wiązać koniec z końcem. Zgodnie ze statutem przewodniczący zarządu ZMW na każdym sekcje pełni funkcję społecznika. Ma to i dobre strony, bo taki przewodniczący, związany na co dzień z życiem, jest autentycznym przedstawicielem środowiska. W innych organizacjach pna się po szczeblach kariery urzędniczej i tracą kontakt z młodzieżą.

— Kiedy przed 30 laty powstał Związek Młodzieży Wiejskiej, miał pan zaledwie pięć lat.

— Wychowałem się na peryferiach Łodzi w rodzinie nauczycielskiej z tradycjami. Ruda Pabianicka to prawie wieś, ale ja znałem tylko harcerstwo, bo wcielony w latach siedemdziesiątych do Federacji twórców pod nazwą ZSMW przestał w zasadzie istnieć. Podczas studiów w Bydgoszczy zetknąłem się z młodzieżą wiejską, toteż gdy wróciłem do Łodzi, wstąpiłem do ZSL, gdzie powierzono mi działkę młodzieżową. W 1981 r. założyłem pierwsze koło ZMW w Zespole Szkół Gastronomicznych.

— Waldemar Świrgiód zrezygnował z ZMW i został sekretarzem KO PZPR.

— Należał do tej partii. A każda partia musi sama się martwić o swoje kadry. Do ZMW należą członkowie różnych partii. W województwie mamy 3,5 tys. członków ZMW, w tym, chociaż notuje się coraz mniej studiujących młodzieży ze wsi, około 300 studentów, lecz przede wszystkim jest prawie 2 tysiące młodych rolników.

— W jednej wsi paru chłopców zapisało się do ZSMP i dostało w prezencie wideo do klubu. Ale w tej gminie ZMW nie istnieje.

— Rzeczywistość jest taka, że młodzież nie zawsze idzie tam, gdzie chcą ją kupić. Nie ma też bezpośrednich stażów między ZSMP i ZMW, różnimy się tylko ofertą i możliwościami.

— Wy jesteście po prostu biedniejsi.

— Materialnie tak, ale może za to jesteśmy bardziej autentyczni. W Zarządzie mamy tylko 8 osób na etatach i 10 tys. zł rocznie na propagandę. Nie ma pieniędzy na benzynę, nie ma kierowcy, jest tylko nyska, do której można załadować nasz skromny sprzęt.

— Sponsorów też nie ma.

— Są za to sympatycy, którzy chwalą nas za autentyczność i pomagają, jak mogą. Ten ma młodzież, kto ma dla niej czas. Są tacy, co mają czas, ale nie mają młodzieży. U nas ośmiu etatowych pracowników wykonuje także prace fizyczne. Sprząta, czyści, mebluje, dekoruje, maluje, handluje. Oni przyjmują zagraniczne delegacje, organizują przejazdy, prace, wyżywienie, noclegi, imprezy towarzyszące. Nikt np. nie wie, że to my zwozimy dzieci wiejskie na Dzień Dziecka, zapewniając im tanim kosztem upominki i wiele miłych atrakcji, bo nikt o tym nie pisze.

— Kiedyś „Wici” nawiązywały do agrarystyki i do pracy organizacyjnej, od podstaw. Dziś, gdy w aglomeracji łódzkiej po zabawie w remizie same krwawe jatki albo zbiorowy gwałt, trudne mówić o wychowaniu przez ZMW lub ZSMP.

— Ja wypowiadam się tylko w imieniu ZMW.

— Oczywiście. Chcecie więc dotrzeć do młodzieży poprzez wideo i dyskotekę?

— Przede wszystkim nie chcemy dawać gotowych ofert, gdyż byłaby to tylko pusta konsumpcja. Trzeba stawiać sensowne zadania i niech młodzież realizuje je, popełniając nawet błędy, bo ma do tego prawo, ale niech się uczy samodzielnie, twórczo, pracy. Można zawieźć na wieś komputer do zabawy i zyskać widzów, można pokazać wideo, bo rozwija kulturę filmową, ale to jeszcze nie wszystko. Należy nawiązywać do tradycji „Wici”, dziś jednak trzeba to robić inaczej.

— Jak?

— Nie tylko poprzez Uniwersytety Ludowe. My kilka razy w roku organizujemy trzydniowe kulturalne, aby młodzież poznała się wzajemnie, zintegrowała i odywkała od schematycznego przyjmowania wiedzy. Jeśli np. dziewczyna, która nie miała aparatu fotograficznego w ręku, umie po trzech dniach fotografować, wywoływać i utrwać zdjęcia, to jest to już coś, nie?

— Kultura na wsi, to rzecz niezwykle istotna, ale rolnik, to przede wszystkim producent żywności. Czy może nie pomyśleć, skoro jest w tak małej administracji i jednostkach obsługujących rolnictwo?

— Współpracując z WOPR pomagamy w ustalaniu właściwych zabiegów agrotechnicznych, w scalaniu gruntów, organizujemy Olimpiady Młodych Producentów Rolnych. Jest nas już więcej we władzach, kiedy jednak nie ma węgla, cementu lub maszyn, to młodemu rolnikowi nie pomoże żadne przedstawicielstwo.

— Z rozkładu zajęć wynika, że jest pan gościem w domu.

— Nie mam czasu dla córki, ani na ulubione majsterkowanie. Jadąc tramwajem do pracy czytam niemieckie książki, aby pogłębiać znajomość języka.

— A co mówi żona, gdy młody, przystojny małżonek wraca do domu w nocy?

— Wysłuchuje, jak to dzielny małżonek zakładał nowe koło ZMW, które stanie się kołem przyjaćli. Zebrania założycielskie odbywają się na wsi w prywatnych mieszkaniach, w ścisłej rodzinnej atmosferze. Żona wiedziała, na co się decyduje, przywykła więc i uczestniczy w moim życiu zawodowym, a podczas urlopu towarzyszy mi we wiojewódzkie po górach.

— Córki pójdą w ślady ojca?

— Kasia, ta starsza, chyba będzie nauczycielką. Bawiąc się z koleżankami w szkole wykazuje cechy przywódcy. Moja mama, także nauczycielka, nie mogła się obejść bez pracy nawet w wakacje. We mnie też to jest, kiedy więc przedję na tę „młodzieżową” emeryturę, nie zaprzestam działalności.

— Czego życzyć ZMW z okazji 30-lecia?

— X Zjazd PZPR uznał, że młodzież musi bardziej uczestniczyć w sprawowaniu władzy i decydowaniu o losach kraju. Należy więc sobie życzyć, aby ZMW nie zatracając autentyczności i świeżości stał się liczniejszy i miał większą siłę przebicia.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał RYSZARD BINKOWSKI

Cesarz w domu

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Pokazałem mu legitymację Związku Literatów i zapytałem:

— Starczy?

— Nie starczy.

Pokazałem legitymację prasową. Cierpliwość osika była już doprawdy na wyczerpaniu. Wypuścił papierosa, wyszczerzył zółte od nikotyny uzębienie i nim jeszcze zatrzasnął mi drzwi przed nosem, wrzasnął:

— Żeby tu wejść, trzeba mieć miejscowe dokumenta!

Nazajutrz więc, a było to mniej więcej sześć lat temu, poszedłem do Zarządu Związku, który mieścił się w tym samym pałacyku na trzecim piętrze z wejściem od podwórka, i poprosiłem o wydanie miejscowych dokumentów.

Urzędnik przejrzał moją kartotekę, po czym skinął głową i oświadczył:

— Legitymację wydamy, jeśli zapłaci pan zaległe składki.

— Dużo tego jest? — zapytałem.

Zaczął rachować na palcach, bo komputery nie były jeszcze wówczas w modzie, i wystawił mi rachunek na kilka tysięcy.

Zapłaciłem. Schowałem pokwitowanie i popatrzyłem urzędnikowi w oczy.

— Na co pan czeka? — mówiłem.

— A pan?

— Na legitymację.

Mily ów biurokrata, odetę przykładnie za rachitycznym stołem, był mistrzem krótkiego dialogu.

— Zdjęcie.

— Nie mam zdjęcia.

— To pan zrobi!

Poszedłem więc zrobić zdjęcie. Nim je zrobiono, wchodziłem do restauracji na podstawie pokwitowania, dzięki czemu opatrzyłem się nową zgrają szatniarzy, bramkarzy i kelnerów... Srogi wykladał nie wyszczerzał już na mój widok zębów — serwował mi na powitanie swoje wielkie łapso i wykrzykiwał kordialnie:

— Witamy, witamy! Żadne dokumenta niepotrzebne.

Znowu więc nie odebrałem legitymacji i nie płaciłem składek, bo kto lubi płacić składki. Spati, który zmienił raz po raz nazwę i występował ostatnio pod szyldem Stowarzyszenia Twórców Kultury, był moim drugim domem, aczkolwiek należy wspomnieć, że był to dom częściowo spalony — sfajczyła się jedna z restauracyjnych sal o pięknych boazeriach, pięknych sztukach i pięknym, największym i naj-

przed paroma tygodniami, po kolejnej zmianie agenta, babki kłopotowej, szatniarza i wykladał, nowy bramkarz wpuszczał mnie nocą do restauracji nie bez oporów.

Trzeba będzie odebrać jednak legitymację — pomyślałem — nikt nie wita mnie bowiem, jak dawniej pani Janeczka i pan Adam, z otwartymi ramionami, do czego, cholera jasna, mam w tym mieście prawo, a Spati, nawiasem mówiąc, wyprawił mi kiedyś wesele.

Zatem 22 marca 1987 roku wspigłem się na trzecie piętro posesji przy alei bohatera narodowego i poprosiłem o „miejscowe dokumenta”. Sekretarka odszukała moją kartę w archiwum i orzekła, że mam haniebne zaległości w składkach. Znowu więc musiałem wyciągnąć z kieszeni kilka tysięcy. Nie zrobiłbym tego zapewne, gdyby wcześniej, w lutym, w moim stoletnim domu przy Piotrkowskiej nie pojawił się cesarz.

2.

Mój dom gościł już wiele osobistości, ale wizyta cesarza była dla niego zaiste wydarzeniem. Cesarz, Ryszard Kapuściński, pisarz i reporter tłumaczony obecnie w kilkunastu krajach świata, przyszedł w towarzystwie Marka Millera. Spojrzałem na żonę z nadzieją, iż znana owa niewiasta otworzy bar i postawi na stole flaszkę, ta jednakże, dumna jak gradowy wiecór, zabrała klucze i wyszła, mogłem więc tylko poczęstować cesarza kawą i muzyką, własnymi nagraniami trąbkowymi z czasów młodości.

Dalem mu także książkę „Noc Saksofonów”, aczkolwiek bardziej interesowała go moja ostatnia powieść „Nie ma placów do Barcelony” — słyszał o niej, no i znał osobistość Marka Hłaskę i Andrzeja Brychta. Obiecałem, że skoro tylko otrzymam egzemplarze autorskie, wręcę mu jeden podczas najbliższej wizyty w Warszawie. „Rapier Napoleona” trzymałem w ukryciu z uwagi na śmiałość, choć znakomita skądinąd okładkę Janusza Szymańskiego-Glancza.

Cesarz zawsze musi zostawić za sobą ślad. Kiedy był na przykład w mieszkaniu Millera, wiedziała o tym żona Kapuścińskiego w Warszawie i dwukrotnie skierowała pod ad-

— O Łodzi pan myśli?

— Tak.

— Moja wina.

— Dzisiaj też nie wypijemy

— ciągnął spokojnie Kapuściński. — Po pierwsze: nie ma jeszcze jedenastej, o tej porze nie sprzedają alkoholu, a po drugie: lecę jutro do Londynu na premierę sztuki według „Cesarza”, którą wystawi Teatr Królewski, i na premierę filmu telewizyjnego według „Cesarza” zrealizowanego przez brytyjską ekipę. Muszę iść zaraz do Pogartu i załatwić sprawy paszportowe. Ale nie straconego, panie Andrzeju. Spotkamy się w Łodzi. Łódź podobna mi się coraz bardziej, coraz częściej tam bywam. Jak przyjadę, pójdziemy do Spatiu i posiedzimy spokojnie nad kieliszkiem.

Wtedy właśnie powziąłem niezłomną decyzję, że koniecznie muszę odebrać legitymację Stowarzyszenia Twórców Kultury Jeśli przed drzwiami staty Andrzej Makowiecki i cerber zagradza mu drogę, to jeszcze pół biedy, ale gdyby przyszedł Makowiecki z Kapuścińskim i spotkałby ich taki afront, byłby to po prostu skandal.

3.

Zatem jak się rzekło, 22 marca 1987 r. zapłaciłem zaległe składki, dwudziestego trzeciego odebrałem legitymację, a dwudziestego czwartego, rozstargniony niczym prawdziwy artysta, pozostawiłem ją w nocejne taksówce, w kieszeni białej, brazylijskiej torby z naszym godłem, z orłem w koronie i z napisem SOCIEDAD POLONIA — RS PORTO ALEGRE. Torbę tę opisałem w wielu reportażach i w książce „Nie ma placów do Barcelony”. Przejechała ze mną pięć kontynentów. Jest zniszczona, nie ze skóry bynajmniej, sama w sobie nie przedstawia żadnej wartości. Błagam więc uczciwego taksówkarza, aby mi ją zwrócił za nagrodę. Oprócz legitymacji STK nie było w niej nic. Zresztą, palilcho i legitymację, która wszelako kosztowała mnie co najmniej dziesięć tysięcy, a cieszyłem się nią tylko kilka godzin.

24 marca to był w ogóle fatalny dzień. Najpierw nagrobieniem torbę i legitymację, potem wyciągnąłem ze skrytynki dramatyczny akt Zasadzki Słow-

Feliks Rajczak

Piosenka z poddębickiej dąbrowy

Ziemowitowi Skibińskiemu

Młody i mądry
Księżę dolin
Pokochał rzeki
Siwe wrony.

Pod dębem stanął
Nagił gałąz
Ze aż w korzeniach
Zaspiewało

1985

Z tomu „Ballada o legach”, 1978.

Mieczysław Michał
Szargan

Ósmy świt

Feliksowi Rajczakowi

Jak sięgnąć okiem
Okolica jaskółek,
W drabiniastym niebie
Toczy się kolo
W chlebie jabłoni
W kamieniu chmury
Bite serce.
Na ziemi lustru piąga
Z basni wyrzuci wiersze.

Ziemowit Skibiński

Do Feliksa Rajczaka pod dębem plockim

Zatrzymajmy się chwile —
na wzroście zielonym,
pod dębem —
jakże mali w cieniu stuleci.
Wiatr od Wisły płynie,
Jasna dziewczyna ku nam idzie.

Ciszej, słyszę ciebie, Szczęsny,
słysz — widzę wiosną nadchodzi.
W ziemi strzela korzeń,
rusza zmarły —
tak przeszłość
ku niebu sposob.

A jest w tym Polska
tragiczna,
wzmieszona — li uprowadzona? —
do samotności:
dąb do wiazu nie nawiaze,
ani do kruchej brzozy,
śmielej topoli:
umierają puszczę,
a on z mozołem
przeźren draży,
w sękach brzośliwie,
w tłumie samotności
— zna swą cenę.

Tak sa-wiśli-śmy w myśli,
światło splota debowe
i objawia się Norwid —
tak pochylon w sobie
wtopił w nas
tysiąclecie czy
i czeka, i pyta:
gdzie jest Polska?

Nie, nie odpowiem.
Nie odpowiesz.
W pytaniu odpowiedź.
Nasza to wiosna:
kietkują zmarli,
bo żywi słabi.

Chodźmy już, bowiem
czeka nas droga:
w dalekie lata
ludziom najbliższym
nieś nieczym grypsy
światło debowe.

Chodźmy,
i każdy w swoją
a jedną stronę,
sątem bywał, Szczęsny,
szczęść ci, Panie Boże.

1977

Z tomu „Dalekie źródła”, 1978.



Ostatnie zdjęcie Poety. Foto: Zbigniew Misiak

Feliks Rajczak: poeta i człowiek niezwykle

Odszedł w krainę cieni Feliks Rajczak, poeta i człowiek niezwykle. Powinno się atoli pisać o Nim językiem też niezwykle, dalekim od powszedniego, chwytającym niepowzedsnią osobowość. Ale jak? Wiemy, iż bogactwo życia przerasta możliwości języka. Bogactwo to budowały skromność i dobroć. Był urodzonym poetą, tym z rodzaju nawiedzonych, a takich jest niewiele. Cóż to oznacza? Całym sobą tkwił głęboko w naturze poezji, poetą — wbrew popularnemu twierdzeniu Norwida — był w każdej chwili; w zwyczajnej rozmowie o sprawach codziennych kojarzył słowa, obrazy, zaskakiwał aforyzmami, metaforami, dowcipami i tak „ak” posługiwał się odrębnym językiem, tak też z własnego zachowania, gestów, czynności czynił poezję, przy tym niemal każdego rozmówcę obdarzał jakimś drobniakiem wyciągając z przepastnej, nieodłącznej eidei torby nowy druk sieradki, to znów ekslibris, albo też czystował cukierkiem, jabłkiem lub orzechem. Każdemu chciał sprawić przyjemność, każdego pocieszał, choć — patrząc z perspektywy tego przedwczesnego, nagłego odejścia — sam najbardziej potrzebował pocieszenia. I każdy odczuwał wrażenie, że został szczególnie wyróżniony, dostrzeżony, tym sposobem utwierdzając się we własnej jedyności, tożsamości. Lgnął więc do Niego wszyscy, nie znam takiej osoby, która unikaby Feliksa. Każdy po rozmowie z Nim czuł się Człowiekiem, czuł się lepszym, uwolnionym z balastu powszedniości i czystszy. Feliks leczył wszystkich wokół siebie, tylko sam się nie leczył, tak jakby wychodził naprzeciw fatum, niosąc mu w darze chore serce.

Ja, który umierałem wielokrotnie,
tak pragnę żyć —
umiję serce w dłonie
jak po burzy

To współczesny poeta serca i czystego rysunku myśli, który życie i poezję przetopił w jedno, tak że pierwsze stało się poezją, a ta z kolei życiem.

Umarł 14 kwietnia br. po południu na sieradzkim ulicy, idąc z pracy do dworca kolejowego. Nie wiem, co zjadł pomyśleć w tym okropnym bólu, co widział wtedy. Być może powtórzył życzenie z własnego wiersza:

Położyć chcę się na trawie,
Splawie mnie rzeką do morza.

Morze płynie w nieskończoność.

Zdumiewające są przecucia, wizje i wiedza poetów. Po otrzymaniu tragicznej wiadomości, opanowawszy się sięgnął po wiersze Feliksa, by w ten sposób uczcić Jego odejście. Czytałem je z takim jak nigdy zrozumieniem; to, co dotychczas wydawało mi się czymś wydu-

manym, abstrakcyjnym, zwłaszcza gdy chodziło o sprawy ostateczne, teraz stało się dotkliwie bliskie. Czyżby własną śmiercią musiał udowodnić rację swojej poezji?

Nie mogę uwolnić się od jednego obrazu. Często w mojej pamięci powraca polana na stromym stoku Ajudahu, na jej obrzeżach rosną potężne dęby z wypalonymi przez ogniska pniakami. Pachną cząbry. Skalne urwisko, a dalej morze błękitne zlewające się z błękitem nieba. Nic z mickiewiczowskiej kolorystyki. Ten widok, oglądany blisko dwadzieścia lat temu, mocno już został przetworzony w pamięci, stał się bardziej wizją niż realnie istniejącym obrazem i przeniosłem go w nadziemski wymiar. Widzę go jako miejsce niebiańskiej uczyły w dedykacji na „Ósmym świcie” napisał mi m.in.: „z nadzieją, że kiedyś o świcie spotkamy się pod wiecznym dębem” — nigdy Mu nie mówiłem o swojej wizji, gdzie jestem z przyjaciółmi-poetami już nie ciałem i nie duszą sama, a kimś więcej, nadmysłowy, oczyszczony z namietności, szczęśliwy, wodę z nim nie kończąc się rozmowy, widzę Feliksa, tak, tylko Jego sylwetkę, twarz widzę, inni są obecni nazwiskami, ale bez rysów. Dlaczego więc tylko Feliksa? On z nas odszedł pierwszy. Kto teraz następny wychyli się z tła i pojawi na tej lewaddzie cząbrow? I jeszcze te dwa ubie-

głoroczne sny, ostatni z października, w których umierał Feliks, potem budziłem się przerażony, pytając, jak teraz życie bez Niego będzie wyglądać, jak można bez Niego żyć i pracować, jeśli ta przyjaźń wzmacniała się z każdym rokiem przez przeszło ćwierćwiecze? I stało się. A ja żyję z jakimś wyrzutem, że żyję, gdy Przyjaciela już nie ma. I muszę żyć, chociażby dlatego, by zaświadczyc o Jego pięknym życiu.

Wśród rozlicznych profesji, jakimi się parł, a każdej oddawał się z pasją, poezją zajmował miejsce pierwsze. Debiutował wierszem na łamach „Nowej Wsi” w 1959 roku. Potem przyszedł zbiór wierszy: „Zrenica” (1967), „Gołąb i jaskółka” (1967), „Ósmy świt” (1977), „Ballada o legach” (1978), „Wrota” (1983). W Wydawnictwie Łódzkim czeka na druk następny, niestety, już ostatni zbiór pod wymownym tytułem „Ekslibrisy i epitafia”. Opublikował też trzy zbiory fraszek i aforyzmów: „Jednostki uśmiechu” (1974), „Ambaje” (1984) i „Fraski fr-wolne” (1984).

Wielekroć krytyka obdarzała Go mianem poety ziemi, rozumiejąc przez to silne związki z rytmem natury, pracą na roli i przywiązaniem uczuciowe do wielkiej wspólnoty. Sam zresztą nazywał siebie „poetą plemienia polnego”. Celował w formach krótkich, miniaturach, obraz stanowił główny komponent wiersza. Myśl wyrażał obrazami, po mistrzowsku nakreślonymi, niezwykle plastycznymi, klarownymi w swej istocie, przypominającymi substancję bursztynną lub też pszczołe konstrukcje. Te obrazy się zapamiętuje, wzmacnia je bogata instrumentalizacja (aliteracja i asonanse), a pamięć jest jedną z miar dobrej poezji. Kolega — poeta opowiadał mi, że kiedy brał ślub kościelny, zapomniał wszystkie modlitwy, więc modlił się słowami jednego z „Sonetów do Romy” Rajczaka: „Janie, pasterzu biały, hostie ciszy”. Obraz realny, wyrazisty w szczegółach, przechodził w wizję najczystszej wielkiego wyzyszenia, pokoju, melancholijno-elegijnej pogody, ale są to wizje wielowarstwowe i wiele w nich znajdziemy pokładów znaczeniowych, widać nieraz niepokojące swoją kolorystyką.

Krajobraz śmierci i wielkiego zapomnienia. Kolory trochę z Odilona Redona, trochę z późnego Van Gogha, niesamowita wizja symbolizująca przesycona światłem eschatologii. Obecność śmierci aż nadto widoczna jest w poezji Rajczaka, śmierci w odniesieniu do ja lirycznego, do bliskich i do całych pokoleń. Chora serce przypominało ciągle o istnieniu wymiaru uniwersalnego i wyróżnikiem Jego poezji był właśnie m. in. stosunek do śmierci. O ile współczesna sztuka, w tym poezja, porażona jest rozkładem, śmiercią jako rozpadem w nic, o tyle u Rajczaka śmierć i życie mają swój głęboki sens. Nie lekka śmierci, traktował ją jako wielką przemianę, jako coś koniecznego i niezbędnego. Taka postawa cha-

rakterystyczna chłopów, wynika z wielowiekowego obcowania z przyrodą, nie ma w niej rozszarpienia na świadomość i ciało, co nie oznacza, że żyje się w nieświadomości. Współżycie z naturą musi prowadzić do wniosku, że bezsensu byłoby buntować się przeciw niej, bo ten bunt stanu rzeczy tzw. nieuchronności śmierci nie zmieni. Ingerować w delikatną tkankę natury to tyle samo, co brutalnie wtargnąć w psychikę człowieka. Nie mogę zrozumieć, jak można było zaniedbać tej tradycji, twórczej, rodzimej, chłopskiej. Tak, ale żeby ją posłać, trzeba zdobyć się na wysiłek tworzenia wspólnoty ludzkiej w oparciu o trzy cnoty: wiarę, nadzieję i miłość, bez których literatura niewiele jest warta.

Feliks Rajczak kreował swój prowincjonalizm. W ogóle lubił słowo „prowincja”. Żył w przeszłości, że prowincja to korzenie, że tu jest trwanie, a stolica to kwiat, czasami też sam kolec. Pracował w określonym środowisku to pracował dla niego, tworzył i jednocześnie ocalał, aby naszej kulturze zapewnić ciągłość. Urodził się we wsi Świątniki (1938) koło Pabianic. Do rodzinnej wsi wracał bardzo często w wierszach i rozmowach, myślał o najbliższych. Krajobraz pól i łąk nad górnym Nerem położonych kształtował Jego wyobraźnię. Studia polonistyczne ukończył w Łodzi i od najmłodszych lat związał się ze środowiskiem literackim tego miasta. W swoim pokoleniu — teraz dopiero po Jego śmierci mogę to powiedzieć — odgrywał rolę jednoczącą. Urządzał spotkania autorskie, prelekcje, zapraszał na warsztaty twórcze, dzięki czemu istniało odrębne środowisko literackie. Założył w Sieradzu Klub Pracy Twórczej i rozpoczął zakrojoną na niebywałą skalę działalność wydawniczą, piastując przy tym skromne stanowisko urzędnicze. W tej dziedzinie dokonywał istnych cudów.

Mawiano, że Rajczak jest osobną instytucją wydawniczą, ba, utarło się nawet powiedzenie: „wydawać u Rajczaka”. Zainicjował i w wielkości zredagował cenną serię wydawniczą „Arkusze Sieradzkie”. Ukazało się w niej dziewięć zbiorów poezji i prozy autorów związanych z Ziemią Sieradzką, następne były w realizacji. Pisał i redagował katalogi sztuki i folkloru sieradzkiego, druki utrzymywane na bardzo wysokim poziomie edytorskim. Był osobowością noszącą w sobie stałe święte ogniwo poezji, ale też i ten ogień wznicił w przyjaciół i znajomych. To, że tak dużo powstało w ostatnim dziesięcioleciu wierszy o Sieradzkim, należy zawdzięczać w znacznej mierze Rajczakowi. Małe antologie poezji o Sieradzu, Zduńskiej Woli, Łasku, o św. Maksymilianie Kolbom, konkursy literackie popularizowały w kraju wiedzę o regionie, a także samych twórców. Słowa drukowane zostają, jest najlepszym sposobem ocalenia tego, co się dzieje tu i teraz. Na dziesiątki, o ile nie setki, można liczyć foldery z cyklu Spotkania Autorskie czy Spotkania z Poezją, Bestiary Sieradzkie itp. Wydał to, rozwiózł, rozszalał po całej Polsce Feliks Rajczak.

To zdumiewające jak gospodarzył czasem i samym sobą. Na ogół twórcy nie chcą rozpraszania swojej energii duchowej, a tu On, dobry, nieraz znakomity poeta, fraszkopisarz, aforysta i publicysta tyle czasu poświęcał innym, pisał setki listów, pomagał młodym twórcom, snuł plany stworzenia odrębnego środowiska literacko-wydawniczego w Sieradzu. Jak On to robił? Kiedy znajdował czas na pisanie? Fraszki i aforyzmy powstały ad hoc, w pociągu, autobusie, podczas rozmowy, ale wiersze? Tajemnicę zabrał ze sobą, a nam dał dowód chrześcijańskiej zasady miłości: „Im więcej dajesz, tym więcej masz, tym więcej jesteś”. Podobnego człowieka o łacie renesansowym rozmachu trudno w Polsce znaleźć.

Nie sposób w kilka dni po Twoim odejściu drogi Feliksie, ująć słowami całą złożoność Twojej osoby. Lubileś w rozmowie zawsze czegoś tam nie doprowadzić, zachować pewną część intymności dla siebie, ale przecież sens naszego żywota sprowadza się do tego, że dążymy do zdobycia, posiadania Tajemnicy, wiarząc — mimo w istocie daremny wysiłek minionych pokoleń — iż to ja, Ty, ktoś z nas napisze taki wiersz lub znajdzie słowa w ludzkim języku, które objawia boską stronę naszego bytu. Krążyłeś wokół tego słowa, czasami już byłas tak blisko niego, czułeś jego obecność, zaświadczyleś poezją i życiem, że ono jednak musi być.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Arrabal przypomniany

Nie miała wielu okazji polska publiczność teatralna zapoznania się z twórczością Fernando Arrabala, hiszpańskiego dramaturga osiadłego w Paryżu i tworzącego — przynajmniej od pewnego czasu, w języku francuskim. Na Zachodzie jednak miał on (i bodaj ma nadal) nazwisko głośnie, liczany był do surrealistycznej awangardy lub też uważany za przedstawiciela „teatru absurdu”, mimo iż przed wszelkimi próbami takiej klasyfikacji autor zdecydowanie (choć chyba niezupełnie słusznie) się odzygnął. No i dobrze się stało, że Teatr Nowy zapoznał nas z jedną z wybitniejszych sztuk tego autora, z liczącym sobie już trzydziści lat „Cmentarzyskiem samochodów”.

Rzecz dzieje się w przedziwnej scenarii (właśnie nieco surrealistycznej) jakiegoś zamiejskiego, podrzędnego domu schadzek, przy czym, jak się zdaje, „pokojami do wynajęcia” są wraki samochodów. Ale nie jest to w intencjach sztuki ściśle obyczajowa, jej materia bowiem wykracza poza sferę obyczajową, przedstawioną zresztą dość drastycznie i ze sporą dozą komizmu.

Najmniej dowiadujemy się o klienteli tego niewątpliwie pożytecznego przedsiębiorstwa, obsługiwane przez Milosa, przypuszczalnego właściciela i poniekąd alfonsa, nieobojętnego na widzieli pseudopokojów Dill, osobliwych o-

bowiązkach być może nie dość jasno sprecyzowanych. Postacie sztuki zdają się zresztą nie tyle reprezentować sobą pełne, do końca wyposażone psychologicznie osobowości, ile raczej ucieleśniają różne postawy ludzkie w rozmaitych życiowych uwikłaniach. Momentami można by nawet oczekiwać, iż ten i ów odśpiewa swój song, abyśmy nie poddali się iluzji i zdawali sobie sprawę, że to jednak teatr.

Główną postacią dramatu jest szef wędrownego trójki muzykantów, Emanou, mający aspirację do odegrania roli duchowego przywódcy, prostującego ścieżki ludzkie. Autor, jakby obawiając się, że nie dostrzeżemy jego intencji wzbogacenia warstwy obyczajowej o moralno-filozoficzne przesłanie wprowadza do wypowiedzi Emanou i jednego ze współtowarzyszy adresowane do widza aluzje. Iż jest on, na podobieństwo Chrystusa, prorokiem miłości, skazanym na klęskę, gdyż jeden z jego uczniów zaprzę się go, a drugi wyda w ręce przesładowców judaszowym poculunkiem, oplakiwać go będzie tylko Maria Magdalena z przydrożnego burdelu.

Nie jest to, moim zdaniem, przesłanie szczególnie głębokie, a w ogóle sztuka sprawia wrażenie, ponieważ po pierwszym akcie stanowiącym jakby wprowadzenie w coś niewyłącznie dra-

matycznego i doniosłego, akt drugi przynosi nam tylko „nakrycie” przez policję wędrownego muzykanta, mającego papiery niezbyt w porządku.

Pomimo to samo przedstawienie jest całkiem niezłe, może zadowolić przede wszystkim gra aktorów JACKA PAWLAKA, IWONY K. PAWLAK, BARBARY WALKOWY, MARIUSZA PIŁAWSKIEGO i pozostałych osób, a wśród nich całej niewidzialnej, lecz tylko słyszalnej grupy „Lokatorów”, czyli przelotnych użytkowników owego przybytku pocieszenia o skromnym standardzie, przeznaczonym dla ludzi nie zepsutych luksusem, których potrzebę komfortu zaspokaja w zupełności podsuwany przez usługę Dile nocnik. Nieustanny akompaniament ich różnicowanych i sugestywnie w ciemności działających głosów rozegrany został z prawdziwą maestrią.

Awangardowość tego dzieła Arrabala wydaje się dziś mocno zwietrzała, ma ono jednak (przynajmniej w tej scenicznej realizacji) zaletę niewątpliwie teatralności. A to już niemało!

JERZY KWIECIŃSKI

Fernando Arrabal: „Cmentarzysko samochodów”. Sztuka w dwóch częściach, przekład Jerzego Zagórskiego. Reżyseria — Wanda Laszkowska, scenografia — Marcin Jarnuszewicz, muzyka — Andrzej Zarycki. Premiera na Małej Scenie Teatru Nowego, 11 kwietnia 1987 r.



„Pluton” - powracający koszmar

„Pluton”, kandydat do Oskarów w ośmiu kategoriach (najlepszy scenariusz, reżyseria, aktorzy, etc.), zdobywca trzech Golden Globe Awards, przyciągający widzów i przynoszący ponad trzydzieści milionów dolarów dochodu, film, któremu nikt nie wróżył przyszłości, wszedł 19 grudnia 1986 roku na ekrany największej liczby kin jako outsider i dokonał wyczynu — właśnie w okresie rozdziału nagród, jakim jest ogłoszenie nominacji w Hollywood, osiągnął na starcie większe sukcesy niż „Misja” i „Obcy II”. Film ten jest lekcją skuteczności w dziedzinie kina. Przy niewielkim (jak na miarę amerykańską) budżecie sześciu milionów dolarów — przeciętny nakład na realizację filmu w Hollywood wynosił szesnaście milionów — Oliver Stone, reżyser, który napisał scenariusz „Plutonu” jedenaście lat wcześniej, zrealizował obraz w ciągu 7 tygodni. Wszystkie studia „wielkich producentów” odpowiadały, że temat nie jest komercyjny, że nie przyniesie ani centa.

„To niewiarygodny sukces, ale sukces dnia dzisiejszego, ponieważ ludzie są wreszcie gotowi spojrzeć na Wietnamu w oczy”, zapewnia Tom Cherek, szef dystrybucji wytwórni 20th Century Fox. „Gdyby „Pluton” pojawił się dziesięć lat temu, ludzie nie chcieliby go oglądać. Poruszyłoby to ich sumienia, przywołało by nazbyt wiele przykrych wspomnień. Byłoby tak samo, gdyby film o Gandhim zrobiony został siedem czy osiem lat po jego śmierci. Nikt go by to nie interesowało. Wiele wydarzeń z historycznym drugim planem jest zbyt bolesnych, by im stawić czoła, gdy są jeszcze całkiem bliskie” — dodaje Ashley Boone, szef działu sprzedaży Lorimara.

Analizy potwierdzone są nakładami książkowymi: od roku 1983 książki o Wietnamie dobrane się sprzedają, podczas gdy przed tą datą nie publikowano ich z obawy, że będą zalegały półki. Zdaniem Roberta Smitha, wiceprzewodniczącego towarzystwa wydawniczego Time-Life, wydarzenie, które wszystko odmieniło było wzniesienie w 1983 roku w Waszyngtonie pomnika ku czci 58 tys. poległych w Wietnamie. Długi mur z czarnego granitu, który niespodziewanie weteranom tej wojny przywrócił godność. Oraz pamięć narodowi amerykańskiemu.

Najpierw były książki. Firma The Berkeley Publishing Group sprzedała trzy miliony pozycji o Wietnamie. Te miliony książek otworzyły drogę „Plutonowi”.

Brakowało już tylko filmu, który nie idzie na ustępstwa, filmu prawdziwego, bliskiego rzeczywistości. A taki jest „Pluton”. Film-

-prawda, który brutalnie wywołuje wciąż jeszcze żywe wspomnienia jednego z najbardziej szczytów doświadczeń historycznych Ameryki. Reżyser, Oliver Stone, był ochotnik, który mając 21 lat zaciągnął się do piechoty, z nieprzejętym realizmem opowiada o swej marszruchie żołnierza, która zburzyła wiarę całego pokolenia. Wojna wietnamska wciąż inspirowa amerykańskie kino. „Podrót do kresu piekieł” i „Czas Apokalipsy” były barokowymi operami o przemocy, które odpędzały koszmar pół rzyżów, napalmu i narkotyków. „Rambo” budził marzenia o absurdalnym odwadze. W „Plutonie” Oliver Stone daje po raz pierwszy, otwarcie, pełny wykład cierpienia i rozpacz. „Dokument, mówi amerykańska krytyka, pisany krwią, która po dwudziestu latach nie może zakrzepnąć”. Wojna jeszcze się nie skończyła. „Film idzie w całej Ameryce. W małych miasteczkach i wielkich metropoliach, a to jest rzadkością. Oglądają go zarówno ludzie zarabiający miliony jak i farmerzy z Ohio. Jest wszędzie. Jak śnieg” — stwierdza Tom Cherek z wytwórni Foxa.

Nowy Jork. Kino Loewi, 34 Ulica między Trzydziestą i Dwudziestą Aleją. Kolejka oczekujących jest długa. Milczą. Złożona z mężczyzn i kobiet, czterdziestolatków. Trochę młodzieży. Zaczyna się film. Zaglebiamy się w fotela i tym razem nie słyszę szczerz miazdzących prążoną kukurydzą, ani rozlegających się w ciemności komentarzy. Nikt nie krąży już między rzędami w poszukiwaniu smakołyków i coca-coli. Zadziewająca cisza. Przygniatająca.

Exekucje w dużym zbliżeniu, serie z pistoletu maszynowego wystrzelwane w stopy Wietnamczyka, aby zmusić go do tańca, urwane przez ładunek wybuchowy ramiona i zwiastające kikut, nóg, który zaglebia się w cieple i tryskającej wszędzie krwi, małe Wietnamki wyrwane sobie z rąk przez rzucających się na nie amerykańskich żołnierzy, bezustanny deszcz, dzwignia, która wydaje się polkać ludzi, pijawki, LSD i heroina, które krążą w obozie, rasizm skierowany przeciw Czarnym, przeciw Portorykańczykom, przeciw słabym, rywalizacja między G.I.'s, którzy fałszują liczby poległych.

Nagle z sali podnosi się jakiś facet z zaciśniętą pięścią i krzyczy w stronę ekranu: „Byłem tam i jestem z tego dumny! Niech żyje Ameryka!”. Inny wrzeszczy: „Ja też tam byłem i chce mi się rzygać, kiedy na to patrzę. To obrzydliwe”. Wreszcie wkracza trzeci: „Dość! Nie macie co na siebie naskakiwać! Powróćcie nam oglądać...”. Zostaje nagrodzony przez audytorium oklaskami.

Bowiem sukces „Plutonu” nie uszczęśliwił.

Ukazaniu się filmu towarzyszyła polemika. Za albo przeciw obrazowi wojny w Wietnamie, jaki daje Oliver Stone. Polemika ta nabrała charakteru publicznego z powodu osobowości jej inicjatorów: Chucka Norrisa i Jane Fonda. Jane Fonda płakała oglądając film: „Spotkałam weteranów w hallu kina, usiedliśmy i płakaliśmy razem. Filmy reakcyjne jak „Rambo” zniekształcają prawdę, podczas gdy „Pluton” ośmiela się stawiać jej czoła”.

„Falsz — krzyczy Chuck Norris. — Gdybym był weteranem z Wietnamu, który ryzykował życiem i gdybym obejrzał sceny z „Plutonu”, gdzie G.I.'s torturują całe wioski i gwałcą małe dziewczynki, wściekłym się. Straciłem w tej wojnie brata i przypominam sobie jego listy. Były pełne koleżeństwa, miłości. On nigdy by się nie zachował tak jak w „Plutonie”. Ten film jest przygnębiający, negatywny. Na świecie jest tyle rzeczy przerażających, że nie powinno się ich dodatkowo pokazywać w kinie”. W ultrakonserwatywnym waszyngtońskim dzienniku „Times Insight”, pewien dziennikarz opisuje „Pluton” jako „najbardziej odrażający film, jaki kiedykolwiek zrealizowano w Stanach Zjednoczonych”.

Pozycje te dokładnie odzwierciedlają reakcje, jakie wywołał „Pluton”. Są tacy, którzy okazują się być głusi i ślepi na pokazane w nim potworności i krzyczą o skandalu oraz tacy, którzy przyznają, że wojna, niestety, tak właśnie wygląda.

W Nowym Jorku, na 75 Ulicy 166 West znajduje się siedziba organizacji weteranów z Wietnamu, kierowana przez Angela Almedinę i Downeya. Angel jest Portorykańczykiem. Downey jest Czarnym. Oba są czterdziestolatkami i tak jak bohater filmu wyjechali do Wietnamu mając lat dziewiętnaście. Co myśla o „Plutonie”? Podobna się im. Obu.

— To wielki film — twierdzi Angel. — Pierwszy prawdziwy film, jaki zrobiono o Wietnamie. „Rambo” to czysta komedia. Różnicę można dostrzec już na sał. Oglądając „Rambo” ludzie krzyczą i podskakują na fotelach. „Pluton” ma tak prawdziwy wydźwięk, że pozostają nieruchomi, skamieniałymi z przerażenia. Z „Czasu Apokalipsy” wyszedłem po pięciu minutach. Ten cały romantyczny symbolizm wojny! Wojna nie jest romantyczna. Jest rzeczywista i brudna.

— Ameryka gotowa jest wreszcie spojrzeć Wietnamowi w oczy — ciągnie Downey. — Ameryka się zmienia. Kiedy przed piętnastu laty wróciłem z wojny, byłem źle widziany, ponieważ zapomniano, a Ameryka nigdy nie zapomina. Najgorzej to właśnie zapomnieć.

Co dzień spodziewaliśmy się śmierci i co dzień widzieliśmy umierających obok kumpli. Nie mieliśmy nawet wyższego celu. Nie wiedzieliśmy w co się tam pakujemy. Wysłano nas prosto do rzeźni. Na innych wojnach były okresy przygotowań. W Wietnamie — nie. Prosto ze zwykłego spokojnego życia wielki skok w potworność. I on to wszystko pokazuje w filmie.

— To wszystko prawda — dodaje Downey. — Można to wziąć pod lupę — nie ma nawet jednego nieprawdziwego szczegółu: deszcz, insekty, chaos, powolna spirala, która popycha po trochu do szaleństwa i każe zabijać nie wiedząc po co i dlaczego. Kiedy wyszedłem po projekcji poczułem się źle i dobrze. Złe z tego powodu, że znów to wszystko zobaczyłem. Dobrze, ponieważ pokazało wreszcie całą rzeczywistość.

Angel i Downey mają z pewnością rację. Ameryka jest wreszcie gotowa mówić o Wietnamie. Kilka filmów podejmujących ten temat — w tym filmy Coppola i Kubricka — oczekiwanych jest lada miesiąc. Jak gdyby — wraz z upływem lat i zmianami układu sił w świecie — Ameryka zgodziła się w końcu nie być podobna wyłącznie do Sylwestra Stallone.

Potrzeba jej było ponad piętnastu lat, by móc mówić i stawiać czoła prawdzie o Wietnamie.

Według „Paris Match”:
B. B.

O.S.: Nie ma potrzeby mówienia o polityce, aby pokazać wojnę w całej okazałości. Przekaz jest ukryty. Znacznie bardziej subtelny. Mam nadzieję, że wszyscy, którzy obejrzą ten film zrozumieją, czym jest wojna i nie popełnią tego samego błędu, co ja.

— Jak zareagowały środowiska polityczne?
O.S.: Senator Gary Hart, który ubiega się o fotel prezydencki powiedział, że film ten powinien obkreślić całą młodzież, wszystkie amerykańskie matki. Znacząco, jestem pewien, że nie będzie się podobał prawicy.

— Dlaczego?
O.S.: Wystarczy wziąć pod uwagę sposób, w jaki odmalowałem życie w wojnie, nadużywanie narkotyków i stosunki pomiędzy Białymi i Czarnymi. Niektórzy żołnierze powiedzą nawet, że wijsa wojny cywilizacyjnej w łonie samej armii jest całkiem nietrafna.

— Dlaczego sulekał Pan tak długo — niemal dwadzieścia lat — z realizacją tego filmu?

O.S.: Potrzebowałem ponad ośmiu lat, nim stałem się zdolny opisać to, co przeżyłem. We własnej psychice nie odważyłem dotrzeć do końca wojny. Scenariusz „Plutonu” odrzucał by przypominając stary. Przyczyna: niekomercyjny, zbyt przygnębiający, zbyt realistyczny, zbyt smutny. W dodatku, zapomnienie o wojnie! Amerykanie nie lubią oglądać filmów, w których nie wychodzą na bohaterów. Byłem załamany. To było groteskowe. Aż śmieszne. Sądzę, że film ten nigdy nie zostanie zrobiony. Aż do roku 1984.

— Czy ma Pan poczucie, że zrobił Pan taki film, jaki Pan chciał?

O.S.: Upięknio ośmiemnaście lat. Wspomnienie wojny jest bardzo różne od tego, co się rzeczywiście działo. Mam nadzieję, że film ten zmusi do zastanowienia i że podobne wydarzenia nigdy się już nie powtórzą.

Według „Paris Match”
BOGDAN BANASIAK

Kronika kulturalna

WEDŁUG zapewnień organizatorów, czterdzieste pierwsze rozpoczynające się majowe Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy nawiązywać będą do czasów świetności.

Księgarze zapowiadają, że atrakcji wydawniczych na kiermaszach nie zabraknie. Na warszawskim kiermaszu podpisywać będzie m.in. swoje książki minister kultury i sztuki Aleksander Krawczuk.

Zyczymy naszym czytelnikom powodzenia w polowaniu na „Poczet cesarzy rzymskich”, „Koran” i „Kuchnię Polską”.

W Łódzkim Komitecie Stronnictwa Demokratycznego, 28 kwietnia, odbyło się spotkanie wiceministra kultury i sztuki Krystyny Marszałek-Młyńczyk z działaczami kultury — członkami SD.

Spotkanie poświęcone było różnorodnym aspektom programowania polityki kulturalnej.

W tym roku w Związku Radzieckim, w 20 miastach, odbędą się dekady książki polskiej (m.in. w Leningradzie, Kijowie i Nowosybirsku).

Krakowskie Wydawnictwo Literackie wydało w edycji dwujęzycznej wybór poezji miłosnej Włodzimierza Majakowskiego.

W ATMOSFERZE... powagi toczyły się 28 kwietnia br. w Warszawie obrady karykaturzystów z całego kraju.

Pierwszy w naszej historii sejm ludzi parających się humorem i satyrą powołał nowy związek twórców — Stowarzyszenie Polskich Artystów Karykaturzystów.

Przewodem nowego związku wybrano Eryka Lipińskiego, wiceprezesami zostali: Zbigniew Jujka i Gwidon Miklaszewski.

Karykaturzyści będą więc mogli odłączyć się od siebie.

O Tadeuszu Bradeckim, wielce utalentowanym reżyserze, wciąż głośno! Niedawno otrzymał „Grand Prix” XIII Opolskich Konfrontacji Teatralnych „Klasyka polska” — za reżyserię „Pana Jowialskiego” Aleksandra Fredry w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi i „Wiosny Narodów w Cichym Zakątku” Adolfa Nowaczyńskiego w krakowskim Teatrze Starym.

Gratulujemy! Obysmy mogli częściej oglądać jego spektakle w teatrach naszego miasta.

NA zaproszenie PTL „Finokio” będzie gościł w Łodzi zespół Teatru Lalek „Bóbba” z Pécs (Węgry).

Węgierscy lalkarze pokażą łódzkiej publiczności (7 maja) spektakl „Galazeczka”, wg Istvána Csukasa.

W Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie, przy ul. Wawelskiej 5, otwarta została stała ekspozycja, prezentująca tradycje i dokonania sportu polskiego, trofea i pamiątki, sylwetki wybitnych sportowców, a także sprzęt używany, w różnych dyscyplinach sportu.

PRYWATNYCH nabywców nie odstraszyła cena prezentowanych w Gdańskim Kantorze Sztuki prac Salvadore Dali.

Zakupili oni 22 grafiki Mistrza surrealistów — płacąc za nie, bagatela, ...od 600—2100 dolarów!

WYSTAWĘ tkaniny artystycznej Anny Oleksy-Koelkowej można oglądać w Salonie Sztuki Współczesnej BWA przy ul. Piotrkowskiej 88.

ŚLNNY film z roku 1986 — „Piraci” Romana Polańskiego — wyświetlany jest w Warszawie i Katowicach.

Tłumy oblegają kina w tych miastach, gdzie odbywają się projekcje. Ceny biletów u koników — 700 zł (w kasie 200), a wbie: łacie pirackiej.

NA jednej ze słynnych aukcji lodyńskich wystawiono niedawno na licytację laskę i cylinder Charlie Chaplina.

Nabywcą tych pamiątek zostało brytyjskie Muzeum Historii Kina, płacąc za nie 15 tys. funtów szterlingów. Chaplin zakupił obie rzeczy w 1920 roku w Nowym Jorku, dając jedynie 5 dolarów.

NA III Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. Yehudi Menuhina w Wielkiej Brytanii, drugie miejsce zajął 13-letni polski skrzypek — Bartłomiej Nizioł.

ELDAE BIAZANOW zamierza nakręcić pełnometrażowy film dokumentalny o Włodzimierzu Wysockim.

OLIVER STONE: „Wyjechałem czując się Johnem Wayneem, wróciłem jako zdecydowany anarchista”

Oliver Stone, sławny scenarzysta („Midnight Express”, „Rok Smoka”), absolwent Uniwersytetu Yale, były nauczyciel w Salgonie, podjął się roli reżysera, by przechodząc od literackiej fikcji do obywatelskich wspomnień o rzeczywistości przywołać w filmie „Pluton” obrazy własnych doświadczeń z Wietnamu. Wynikiem jest pełnym triumfem — film nagrodzony został czterema Oskarami.

— Z jakich powodów zrobił Pan ten film?
O.S.: Był to sposób uwolnienia się od towarzyszących mi wciąż obrazów. W latach 67—68 spędziłem tam piętnaście miesięcy. To, co można zobaczyć na ekranie, przeżyłem sam. Wszystkie te wydarzenia naprawdę miały miejsce. Nikt jednak o nich nie mówi. Zostały zatajone. Zapominane. Ukryto je choć należały do historii Ameryki. Przypomnienie ich było dla mnie historycznym imperatywem.

— Tukidydes, sławny historyk grecki, który usprawiedliwiał wojnę peloponeską powiedział: najważniejsze jest, by nauczyć się pamiętać.

O.S.: Historia służy nam jako dokument. Chciałem stworzyć własną wersję mojej małej Historii: moją „Iliadę”.

— Mając 21 lat zaciągnął się Pan jako ochotnik do Wietnamu. Jaka była wówczas motywacja Pańskiej decyzji?

O.S.: O wojnie miałem wyobrażenie romantyczne. Było to dla mnie coś tak pięknego i tak przerażającego, że sądziłem, że jeśli wrócę z niej pewnego dnia żywy, stanę się rzeczywiście kimś, wspaniałym. Wiedziałem, że Wietnam miał być wojną mego pokolenia. Za nie w świecie nie

chciałem jej przegapić. Potrzeba s dobrej rodziny. Odbiłem studia uniwersyteckie. Czuliem się w jakiejś mierze winny. Miałem ochotę zobaczyć, czego mogli doświadczać ludzie z niższych warstw społecznych, których nie muszało do udziału w wojnie — a tak było w przypadku przeważającej większości żołnierzy. Było to również wystąpienie przeciwko moim rodzicom. Chciałem im pokazać, że i bez nich potrafię utorować sobie drogę w życiu.

— Czy nie kierował się Pan także silnym uczuciem patriotyzmu?

O.S.: Oczywiście. Zostałem wychowany w okresie zimnej wojny. Byłem przekonany, że z Wietnamu należy wypędzić komunistów. Napatrzyłem się na filmy z Johnem Wayneem i naprawdę wierzyłem, że my jesteśmy dobrzy, a oni źli.

— Poznał Pan co to strach. W jakim stanie psychicznym wrócił Pan?

O.S.: Jako zdecydowany anarchista. Pozbawiony wszelkiej moralności. Apolityczny. Obcy. Załamany. Byłem w stanie całkowitego chaosu umysłowego. Przeżyłem wojnę w najgorszym wydaniu. Widziałem umierających ludzi. Zabijałem. Sam omal nie straciłem życia. Od pierwszego dnia rozumiałem, że wojna jest loterią, a bohaterstwo to czysty przypadek. Potrzebowałem lat, by z tego wyjść. Przszedłem na drugą stronę barykady. Z prawa, całkowicie na lewo. Stałem się gotowym zabijać radykałem.

— James Wood (z którym Stone nakręcił film „Salvador”) opisał Pana jako „artystę posiadającego upiórską wiarę polityczną”.

Filmy z kasy

Nieśmiertelny

Kamera, niczym majestatycznie szubujący orzeł, krąży nad głowami rozemocjonowanego tłumu, który zgromadził się w hali Madison Square Garden. Kilku zawodowych zapasników, gladiatorów XX wieku, toczy między sobą zaciętą walkę.

Oczy człowieka, który w trakcie swojego, trwającego 450 lat życia widział wszystko i wszystko przeżył...

Szkocja, rok 1538. Connor McLeod, wygnany ze swej społeczności klanowej spotyka Ramirę, hiszpańskiego szlachcica wędrującego po Ziemi od 2000 lat. Rycerz ów powiadamia McLeoda, iż i on należy do grona Nieśmiertelnych, zatem powinien włączyć się do trwającej wieki walki z siłami Zła, których uosobieniem jest straszliwy Kurgen.

Ostatecznym spełnieniem ma być mityczna Epoka Spotkania. To właśnie we współczesnym Nowym Jorku walczy między sobą o najwyższą nagrodę. I tak w końcu stają naprzeciw siebie dwaj przeciwnicy — McLeod i Kurgen. Walka kończy się oczywiście klęską Zła a na zwycięzcę czeka w rodzinnej Szkocji nagroda: poznanie Absolutu oraz mistyczne połączenie się z przyrodą i ludzkością.

Człowiek i nieśmiertelność, wiedza najwyższa i ostateczne poznanie świata — oto dwa niezmiennie marzenia inspirujące ludzi od zarania dziejów i wciąż obecne w kulturze. Tym razem z takimi archetypami zmierzył się australijski reżyser Russell Mulcahy (twórca ekologicznego horroru „Razoback” i wielu rockowych teledysków). Ów młody Australijczyk miesając rozmaite konwencje filmowe porusza widza w magiczną podróż: od wystylizowanych szkockich pejzaży po stechniczowaną wizję współczesnego Manhattanu. Operując po mistrzowski światłem, jakby z ekspresjonistycznym szaleństwem, tworzy fantastyczny kalejdoskop barw i obrazów. Na uwagę zasługuje też estetyczna funkcja montażu, który stapia w nieskrywłą całość odległe przestrzenie, różne światy i różne płaszczyzny czasu.

„Nieśmiertelny” (wszedł właśnie na ekrany kin, które jak widać starają się doganiać repertuar wideo) to z całą pewnością film wart obejrzenia: oprócz brawurowych pomysłów a la Spielberg zawiera wcale niebanalną refleksję kulturową.

W. SOB.

„Highlander” (w obiegu wideo tytułowany też jako „Człowiek z gór”), reż. Russel Mulcahy, prod. Wlk. Brytania, 1986.

Samochód, który jak nigdzie indziej spełnia w USA rolę wierzchowca, to nie tylko luksus cywilizacyjny, ale i tło wielu dewiacji, od których krew krzepnie w żyłach i pęcznieją kabiny wytwórni filmowych.

„Autostopowicz” to być może postulat policji i prawników, aby kierowcy zrezygnowali z filantropii i nie zabierali przypadkowych osób. Młodzieniec o bliżej nie ustalonym dossier i naiwnym spojrzeniu wpuszcza do samochodu szaleńca nazwiskiem Rider, który operuje na kalifornijskich szosach i podrzuca garda automobilistom. W stosunku do chłopca intencje

Jeździec Apokalipsy

Ridera nie są jasne i przypuszczalnie młody człowiek ma spełnić rolę kate, gdyż Rider czuje się już zmęczony albo uważa, iż „misja” dobiegła końca.

Kilkadziesiąt minut filmu to uporczywe wysiłki Ridera, aby nasz bohater zechciał przyłożyć mu łufę rewolwera do czoła i przesunąć cyngiel. Gros energii wkłada w kompromitację chłopaka i przy okazji musi zlikwidować około plutonu policji, ale tak, aby ten poczuł się jak zaszczute zwierzę, mając na karku blisko setkę dyszących łazdą zemsty policjantów.

Resztki idealizmu młodzieńczego zanikają w chłopcu, gdy dziewczyna, która uratowała mu życie, rozbrajając skłonnych do linosu policjantów i na swoje nieszczęście przypętała się do niego, ginie rozzerwana przez dwie wielotonowe ciężarówki.

Final to pojedynek na szosie chłopca z Riderem, który przedtem z łatwością zmasakrował eskortę i czeka na upatrzonego kate, przy czym wyraz jego twarzy świadczy, iż do końca bawi się doskonale.

Skądinąd zdumiewa nieudolność amerykańskiej policji, która daje się rznąć jak barany albo czeka nie wiadomo na co, gdy dziewczyna szlacha zawieszona między ciężarówkami. Niemniej jednak nie jest to chyba wynik wyłącznej indolencji scenarzyści, ale i rejestracja tęsknot amerykańskich oraz program wychowawczy w myśl zasady „umiesz liczyć, licz na siebie”.

Film trzyma w napięciu.

T. KUB.

„Autostopowicz” (The Hitcher) reż. Robert Harman, prod. USA (1986).

Echa wielkiego kryzysu w USA powracają na ekran, tym razem w postaci tragifarsy kolejowej „Władca Północy” w reżyserii Roberta Aldricha.

Duch Jacka Londona unosi się nad tym filmem: bohaterami są trampowie, drobni żulicy wygnani przez nędzę na szlak wielkiej wędrowki. Zająmują się małymi kradzieżami i szalbierstwami, ale ich główną pasją jest podróowanie wzdłuż i wszerz Stanów na dachach i buforach towarowych pociągów. Rekrutuje się z nich swoista wspólnota, klub ludzi połączonych wspólnymi przeżyciami, dzielących się wrażeniami z trasy, ale także rywalizujących ze sobą. Osia filmu jest właśnie motyw rywalizacji między starym mistrzem i adeptem „zawodu”, a zakład opiewa na przejazd pociągami nr 19. Pod tym nie nie znaczącym dla laików numerem kryje się istne piekło, gdyż pociągami tym zawiaduje kolejarz-sadysta, z uporem godnym lepszej sprawy przesładowany wólców i mający na sumieniu życie kilkunastu z nich. Na trasie do Portland rozgrywa się walka między „szalonym bahnschutzem” używającym do usuwania pasażerów na gapę najróżniejszych przyrządów, od

Pociąg pod specjalnym nadzorem

maszyn prostych (młotek) do bardziej skomplikowanych, a dwójką trampów.

Final napawa otuchą o tyle, że w obu kategoriach (tj. mistrz-młodzik oraz mistrz-przedstawiciel kolej) zwycięża stary, niezastąpiony Lee Marvin. Kto go jednak widział w „Zabójcach” i innych filmach w roli mocnego człowieka, musi ubolewać nad katastrofalnym upadkiem jego ekranowej charyzmy. We „Władcy Północy” jest supermanem w wydaniu kieszonkowym, ale i mordercy kolejarz Shack (Ernest Borgnine) nie wygląda na tak groźnego, jak to starają się go przedstawić w swoich opowieściach kolejni obszarpancy.

Obsada, jak z powyższego widać doborowa, uzupełnia Keith Garradine w roli nieolejalnego i nieco szubrawego ucznia. Ci, którzy będą oglądać ten film, niech nie zrażają się słabym tempem i mało przejrzystymi dialogami w pierwszej połowie filmu, bo i tak jest to jego najlepsza część.

M. MAZ.

„Władca Północy” (Emperor of the North) reż. Robert Aldrich, prod. USA (1973)

Michael Douglas:

„Zarabiam mnóstwo pieniędzy, ale szybko je wydaję, ponieważ kocham życie”.

— Powiedział pan kiedyś, że pański ojciec nigdy naprawdę nie miał czasu, by cieszyć się swym sukcesem. Wydaje się, że obrał pan tę samą drogę.

M.D.: Nie podobnego! Przez dwadzieścia lat mój ojciec kręcił trzy, niekiedy cztery filmy rocznie. Ja zaś po „Chińskim syndromie” spędziłem dwa lata używając życia. Potem zrobiłem „W pogoni za zielonym diamentem” i byłem zmuszony się poddać. Publiczność oczekiwała dalszego ciągu, nie miałem wyboru.

— „Lot nad kukułczym gniazdem” przyniósł ponad 200 milionów dolarów. „Chiński syndrom” — 100, a „Młodość, szmaragd i krolestwo” — 100. Czemu przypisuje pan swój sukces producenta?

M.D.: Nikt mnie nie zmuszał do kręcenia tych filmów. Zrobiłem je, ponieważ w nie wierzyłem. Aby potrafić żyć z kobietą, trzeba być zakochanym, aby robić filmy, trzeba naprawdę tego chcieć. Nie ma w tym żadnej niezgodności.

— Pański ojciec powiedział kiedyś, że znaczenie trudniej poradzić sobie z sukcesem niż z porażką.

M.D.: Łatwo mi tak mówić (uśmiecha się). Te słowa ładnie brzmią, ale nie wiem, czy mają rzeczywiste uzasadnienie. W naszym zawodzie sukces jest tak ogromny, tak nieproporcjonalny, że trzeba mieć bardzo wiele siły, aby mu poddać. Wielu nie może sobie z tym poradzić i popada w alkoholizm albo narkomanię. Co do mnie, potrafię stawić czoła powodzeniu; porażkę również — pobudza mnie.

— Czy są dla pana pieniądze?

M.D.: Pieniądz nie jest celem samym w sobie, lecz środkiem służącym łatwiejszemu zdobywaniu tego, czego się chce. Dzięki memu ojcu nie miałem nigdy okazji zaznać biedę.

— Jack Colton, postać, jaką gra pan w „Dzieleniu Niliu” jest awanturnikiem. Czy pan także?

M.D.: Spośród wszystkich bohaterów, jakich dotąd kreowałem ten właśnie jest do mnie najbardziej podobny. Mam jego poczucie humoru (dokładnie) i jego cynizm (równie dokładnie). Sądzę, że potrafię podjąć się ryzyka (w ogóle kiedy jest się producentem...). Czy miałem życie pełne przygód? Teraz już nie. Przed słubem — tak. Kiedy pilotowałem samoloty bezustannie ryzykowałem życiem.

— Od 12 roku życia cierpia pan według własnych pana słów, na nadmiar energii, nad jakim nie zawsze udało się zapanować.

M.D.: Nie pamiętam, bym to powiedział, ale to prawda, że energię i siłę witalną odziedziczyłem po ojcu. Niekiedy nie potrafię się zatrzymać.

— Stwierdził pan, że, jeśli pominąć seks, kręcenie filmów było najlepszym sposobem porażenia się nadmiarowi energii. Tego rodzaju oświadczenia spowodowały, że dziś jest pan uważany za maniaka seksualnego.

M.D.: Lubię miłość, ale nie bardziej niż jakikolwiek normalny mężczyzna. Do takiej opinii przyczyniła się pewna dyktantka. Podczas zdjęć do „Chińskiego syndromu”, zapytała mnie o najbardziej cenioną w Jane Fonda, mej partnerki. Odpowiedziałem: „Ję tyłeczki”. Tego dnia zrozumiałem, że nie wszyscy mają poczucie humoru.

— Często pociąga nas nasze przeciwieństwo. W filmie, Jack Colton zakochuje się w Joan Wilder. Są oni jednak bardzo różni. Czy tak samo jest w przypadku pana i Diantry, pańskiej żony?

M.D.: A to dopiero! Nigdy się nad tym nie zastanawiałem... Spotkałem moją żonę w Białym Domu w dniu inwestytury Jimmy'ego Cartera. Nosilem wówczas długie włosy i brodę. Wzięła mnie za malarza. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Sześć tygodni później wzięliśmy ślub. To prawda, że bardzo dobrze się uzupełniamy, i że jesteśmy bardzo różni.

— Czy zająłby się pan kinem, gdyby pański ojciec sam nie był aktorem?

M.D.: Nie. W collage'u nie miałem określonych zainteresowań. Bardzo zazdrościłem tym, którzy mieli w życiu jakiś cel, którzy czymś się pasjonowali. Studiowałem na Zachodnim Wybrzeżu, potem, mając 18 lat, wstąpiłem na Uniwersytet Santa Barbara. Prawie skończyłem studia i wciąż nie wiedziałem o chciałbym robić. Powiedziałem sobie: dlaczego nie zająć się kinem? Poza tym, ojciec jest aktorem, matka aktorką, a teść producentem. Wybór sam mi się narzucił i to wbrew radom ojca. Skończyło się na tym, że spodobano mi się.

— Pański ojciec wyznał mi niedawno: „Młodość liczy się znacznie bardziej niż doświadczenie. Dawnie ja mówiłem, a moje dzieci słuchali. Dzisiaj one mówią, a ja słucham”.

M.D.: W życiu często przychodzi moment, kiedy to właśnie dzieci służą radą rodzicom. Trzeba jeszcze być do tego zdolnym. Wszyscy mamy tendencję do pozostawiania więziami naszych ról. Ojciec jeszcze dzisiaj nie może się powstrzymać od udzielania mi rad. Czuję się odpowiedzialny. Ale jest zbyt późno. Czasem sam się z tego śmieję i uświadamiam sobie, że mój brat, Joel, (który zaradził mi że to ja odziedziczyłem po ojcu dołek w brodzie) ma 39 lat, a ja 42.

— Jeśli miałby pan udzielić jakiejś rady ojcu...

(Zastanawia się).

M.D.: Poradziłbym mu, by zachował swój entuzjazm i wciąż się uśmiechał.

Według „Paris Match”

B. BAN.

Filmy z kasy — mity i fakty

W naszej prasie, pomijając pisma branżowe takie jak „Film” i „Ekran”, o wideo pisze się najczęściej w kronikach sądowych i kryminalnych. A to, że bezprawie, upadek obyczajów i publiczne zgrzeszenie. Pirackie interesy, czarny rynek, szmugiel i porno. Albo tania rozrywka obliczona na najbardziej tandetne gusta („tania” oczywiście w przenośni, bo tak naprawdę to przecież kosztowna, także w dewizach). A wiadomości to nowi „cykliści”, których wprost lub pośrednio zalicza się do grup szczególnego ryzyka.

Ta swoista mitologia tworzona przez bulwarowe popołudniówki ma różne motywacje i mogłaby stanowić całkiem wzięczny temat dla socjologów. Ale nie o tym jest ten tekst. Chcę bowiem przedstawić kilka faktów na temat repertuaru wideo w Polsce.

Szacunkowe cyfry oceniają liczbę tytułów upowszechnianych w obiegu wideo w Polsce na około 1500–2000 pozycji. Należą one do rozmaitych gatunków: począwszy od obrazów sensacyjnych, poprzez komedie, westerny i dramaty psychologiczne, a na filmach z ambicjami artystycznymi skończywszy.

Oczywiście najpopularniejsze są filmy z sensacyjną fabułą, a głównym magnesem nazwiska aktorów głównych ról, takich jak Charles Bronson, Clint Eastwood, Harrison Ford, Sylvester Stallone i Chuck Norris. Wśród tych filmów wymienić by trzeba tytuły z kręgu tzw. czarnego kina policyjnego amerykańskiej produkcji końca lat siedemdziesiątych np. serię o inspektorze Harrym Calaghanie (z Eastwoodem), „Scarface” i „Cruising” (oba z Al Pacino). Zresztą w worku z napisem „film sensacyjny” pomieścić można ogromną różnorodność obrazów i tematów. Gdyby chcieć pokusić się o jakąś pospieszną klasyfikację należałoby wyodrębnić np. film sensacyjno-przygodowy („Poszukiwacze zaginionej arki”), „Klejnót Niliu”, film sensacyjny z elementami science-fiction (trzy części „Mad Maxa”), film sensacyjny sięgający do tematów I i II wojny („Biektny Max”, „Patton”), „Tyłko dla ołów”, „Steiner”, „Dziata Nawarony” lub innych wojen („Rambo”, „Apokalipsa”, „Dziśkie gęsi”, „Łowca jeleni”), film sensacyjno-kry-

minalny (10 minut do północy”, „Punkt zapłonu”, „Brudny Harry”), film sensacyjny z wykorzystaniem tzw. walki Wschodu (obrazy z Bruce'em Lee, seria o „ninja”, „Amerykański wojownik”), pastisz filmu sensacyjnego (cykl z Jamesem Bondem) i sensacyjną komedię („Gorący towar”, „Szpieg jak my”), ale także sensacyjny film psychologiczny („Pewnego razu w Ameryce”, „Świadek”).

Wielką popularnością wśród fanów kina w domu cieszy się klasyczna kina światowego, a więc także filmy jak „Przemienie z wiatrem”, „Ben Hur”, „Quo vadis”, „Spartakus”, „Most na rzecę Kwai”, „Doktor Żywago”, oraz liczne melodramaty jak choćby „Zakochać się” ze znakomitym duetem aktorskim Meryl Streep i Robert de Niro. Także seriale telewizyjne, które na długo przed ich emisją w TVP oglądane były chętnie w obiegu wideo („Powrót do Edenu”, „Ptaki ciernistych krzewów”, „Quo vadis”). Ostatnio na popularności zyskują seriale-rezki, których bezskutecznie chyba można oczekiwać w emisjach z ul. Woronicza np. „Dallas” i „Dynastia”.

Dużą widownię mają także filmy fantastyczno-naukowe i horrory. A wybór na kasetach jest całkiem spory. Od tzw. fantasy („Kobieta sokół”, cykl o cymmeriańskim ślachu Conanie) poprzez komedie („Dziewczyna z komputera”), horrory właściwe („Obcy — 3 pasażer Nostromo”), baśni cywilizacyjną (trylogia „Gwiezdnych wojen”), „Diuna”) po fantastykę z wartościowymi sugestiami psychologicznymi („Blade Runner” — „Łowca robotów”), a przecież wśród tych filmów są także i dzieła wybitne: „Lśnienie”, „Furia” i „Carrie”, żeby na tych trzech tytułach nie przestać.

W repertuarze wideo specjalne miejsca zajmują komedie. Cykl filmów o Akademii Policji, słynny „Pogromcy duchów” oraz „Najlepsza obrona” i „Miliony Brewstera”, w których rywalizują o widza dwaj najpopularniejsi czarni aktorzy amerykańskiej komedii — Eddie Murphy i Richard Pryor a także „M.A.S.H.” Altmanna to tytuły najchętniej oglądane.

Western w swej historii przechodził już różne koleje losu — od niebywałej popularności po

nieomal całkowite zapomnienie. Taśma wideo spowodowała ponowny renesans tego gatunku „Rio Bravo”, „Vera Cruz”, „Dzika banda”, „Bandolero” i „W same południe” znów znajdują tysiące widzów.

Nie brak w polskim repertuarze wideo też klasycznych obrazów kina światowego dla widzów najmłodszych, która dzięki magnetowidom może oglądać „Królową Śnieżkę”, „Piotrusia Pana”, „101 dalmatyńczyków”, „Zakochanego kundla” i inne przeboje Walta Disneya z Donaldem, Mikim, Tomem i Jerryem. Dla tej widowni są i tytuły najnowsze: „Niekończąca się opowieść”, „Gagatki” i „Legenda”.

Imny nurt to liczne filmy religijne, które upowszechniają też projekcje parafialne. Tu na afiszach goszczą takie tytuły jak „Biblia”, „Jezus z Nazaretu”, „Dziesięćdziesiąt przykazań”, „Szata”, „Poncjusz Piliat” oraz filmy o Janie Pawle II — „Z dalekiego kraju”, „Jan Paweł II — Jego droga do Rzymu”.

Nader pokaźną grupę stanowią filmy nagrodzone na największych festiwalach, obrazy wysoko cenione przez krytykę, dzieła o uznanych już wartościach. Już sporo takich tytułów podawałem wyżej. Dorzucę więc do nich — też jako przykłady — jeszcze „Błazany bębnek”, „Casanova”, „Saló, 120 dni Sodomy”, „Wybór Zofii”, „Nostalgia”, „Kagemushe”, „Pocłunek kobiety-pajaka”, „Mechaniczną pomarańczę”, „Pola śmierci”, „Odyseję kosmiczną”, „Runner Train” itd. itd. Te listy można byłoby ciągnąć jeszcze długo.

Co z tego wylczenia, przecież pośpiesznego i skróconego, ma wynikać? Ano przede wszystkim to, że repertuar wideo dostępny w Polsce ani nie załamuje umysłów, ani nie gorczy i nie ogłupia. Przedstawia sobą to, co w kinie światowym obecnie się dzieje i na co nie stać naszej kinematografii i i telewizji.

Nie chcę być poządyzmem o bezkrytycyzm, zatem przyznaję, że w obiegu wideo znajdują się też filmy mierne, tandemne i po prostu głupie. Jednak drobny to procent i mały margines. Czyli jest całkiem odwrotnie niż to wmawiają nam różne ciotki z kanapy i domorośli stróż moralności.

WITOLD SOBCZYK

Polemiki • Listy • Opinie

DWAJ STARCY

Nie można powiedzieć „tak ułożył się ich los” lub „los zgotował im takie życie”, bo właściwie to oni sami je sobie wybrali. Nie można też przypisać winy komuś innemu, ponieważ w tej sprawie i opieka społeczna, i władza zrobiły wszystko, co się dało lub chciały zrobić. Tragiczna jest jednak ta beznadziejność ich sytuacji.

Ludzie mieszkają w bardzo różnych warunkach. Jedni wygodnie w domkach jednorodzinnych, inni w ciepłych na ogół mieszkaniach w blokach, w starym lub nawet bardzo starym budownictwie, ale chyba nikt nie chce mieszkać w ruinie prawie bez dachu, która jest wspomnieniem po wiejskiej chałupie. A tak właśnie wygląda miejsce, gdzie żyje dwóch starych i trochę już zniechęconych ludzi, dziewięćdziesięcioletni ojciec i sześćdziesięcioletni syn. Nad znaczną częścią domu zawalił się dach, na ścianach pojawiły się ryzy, właściwie pozostała tylko jedna izba, a raczej nora, zimna, ciemna i brudna. Wyjątkowo pasuje tu nadzwyczajne określenie, że „panujące warunki urągają wszelkim wymogom zarówno bezpieczeństwa, jak i higieny”. Nie sposób mieszkać w takim miejscu, a jednak ludzie tam właśnie żyją.

Ciągle jeszcze mam przed oczami tę rudą i jej mieszkańców w łachmanach, brudnych. Gdy tam byłam rzuciła mi się w oczy świeża plama nie zastygła jeszcze krwi tuż przy wejściu do domu. Nie mogłam aż uwierzyć, gdy ktoś z ich sąsiadów powiedział mi potem, że najprawdopodobniej zabił kota, a potem po prostu zjedł. Cóż, pewnie w ten sposób organizm prostego człowieka broni się przed brakiem białka.

Jeszcze do niedawna w takich warunkach, jakby nie z tego stulecia, mieszkali z ojcem i synem również matka, dziewięćdziesięcioletnia starszuszka.

W 1988 roku kierownik poradni rejonowej zaalarmowany przez sąsiadów pomógł załatwić dla rodziców dom spokojnej starości. Gdy stary człowiek ma dzieci lub rodzinę, która powinna się nim zająć, ale nie może, a często nie chce, to miejsce takie nie jest żadnym dobrodziejstwem. Jednak dla tych dwojga znikających nędzą i zimnem ludzi stanowiło to szczęśliwą odmianę losu. Byli bardzo zadowoleni z ciepłego, czystego i wygodnego pokoju, który dostali.

Ojciec czuł się w nowym miejscu doskonale. Mimo swojego podeszłego wieku jest bardzo żywoty, toteż znalazł dla siebie wiele zajęć. Chętnie i często pomagał personelowi i niedolężnym pensjonariuszom, więc zdobył sobie tym uznanie wszystkich. Poza tym dużo czasu poświęcał żonie, która już od dawna cierpiała na miażdżycę. Dla niej szczególnie pobyt w domu spokojnej starości był dobrodziejstwem. Spacerowała sobie chętnie po widnych, szerokich korytarzach, dużo odpoczywała i mogła, po raz pierwszy w życiu, oglądać telewizję. Niestety, nie cieszyła się długo nowym życiem, po pół roku zmarła.

W rozłączającym się domu został syn. Mieszkał sam. On również, tak jak rodzice, miał szansę wyprowadzić się z tej rudery, bo władze dzielnic przydzieliły mu pokój z kuchnią w starym budownictwie, zupełnie niedaleko miejsca, gdzie mieszkał z rodzicami. Wyprowadzić się jednak nie chciał, widocznie przyzwyczajenie było silniejsze. Mówił, że musi opiekować się gospodarstwem, ojciec przepisał na niego swoje dwa hektary, ale tak naprawdę bardziej dbał o to, aby mieć wodkę, niż o ziemię. Jest alkoholikiem, sam mówi o sobie, że jego pieniądze się nie trzymają, jak ma, zaraz przepije. Stracił więc też swoją szansę, bo przydzielono mu pomieszczenia nie mogły przecież czekać, i oddano je ostatecznie komuś innemu.

Często odwiedzał rodziców w domu spokojnej starości, a po śmierci matki bardzo zabiegał, aby ojciec do niego wrócił.

Przed kilkoma miesiącami ojciec podziękował pięknie za pobyt w domu spokojnej starości — za sześć szczęśliwych miesięcy, które przeżyła jego żona i znowu zamieszkał z synem w rozpadającym się domu.

Po powrocie dziewięćdziesięcioletni starszuszka pozostał nadal bardzo aktywny, wyszukuje sobie różne zajęcia, mniej lub bardziej potrzebne. Mówiąc nie tak elegancko, ale za to rzetelnie, jest śmieciarzem. Jeździ po mieście rowerem, penetruje wysypiska, kosze na śmieci i zbiera rzeczy, które innym już nie są potrzebne. Wraca do domu prowadząc swój rower załadowany różnymi znalazzkami. Dekoruje nimi następnie swoje podwórko, które zamienił już w wielkie wysypisko. Trudno wprost opisać, jak wiele różnych rzeczy tam się poniewiera, zepsute krzesła, dziurawa miednica, stare garnki, szmaty, zniszczone ubrania, zepsute wózki dla lalek, walizka, wiklinowe, trochę rozdarte kosze i pojemniki, peknięta gitara. Może w taki sposób odżywa się niezaspokojony instynkt gromadzenia?

Utrzymują się obaj z renty, czterdziestu tysięcy, którą dostaje ojciec. Po powrocie z domu spokojnej starości ojciec kupił dwie świnię oraz krowę i dzięki tym zwierzętom udawało im się zwłazzać przyswojony koniec z końcem. W grudniu 1988 r., gdy nie mieli już pieniędzy na paszę dla świń, sprzedali krowę.

9 stycznia 1987 r. pracownicy punktu skupu obiecali, że przyjadą odebrać świnię. Nie przyjechali jednak. Odebrali je dopiero w dwadzieścia dni po umówionym terminie.

W największe styczniowe mrozy dwaj starzy ludzie byli zdani tylko na własne siły, aby ogrzać i nakarmić zwierzęta, a kłopot mieli wtedy i z węglem, i z paszą. Poza tym, jeszcze na koniec świnię okazały swoją niewdzięczność. Samochód, który przyjechał, aby je zabrać, zatrzymał się dość daleko od domu, a zwierzęta wykorzystali do pocieków. Wtedy ci dwaj starzy i zniechęceni ludzie musieli je sami, bo nikt z pracowników punktu skupu im nie pomógł, ścigać i zagonić je do samochodu.

Ojciec i syn nie narzekają na swój los, nie martwią się też nadmiernie swoją przyzwoistością. Myślą sobie, że jakoś to będzie, no bo przecież musi być. Może na wiosnę, gdy zrobi się ciepło znowu kupią świnię i je zakontraktują?

Gdzieś na krańcach Łodzi, tam gdzie diabeł mówi dobranoc są ludzie, którzy żyją tak, jakby świat opętany pogonią za pieniędzmi i nadmiernymi ambicjami nie istniał. Ale czy to jest życie, czy vegetacja?

ZOFIA KĘDZIARA

CZY NIEZNANA WERSJA ŚMIERCI MAJORA HUBALA?

Mieczysław Kozak w „Nieznanej wersji śmierci majora Hubala” („Odgłosy” nr 9 z 28.02.1987) pisze: „Po wymianie strzałów i rozproszeniu ułanów Niemcy długo przeszczepiali las i zagajnik zanim natknęli się na majora leżącego w bruzdzie pomiędzy drzewkami zagajnika. Oddychał jeszcze, więc wzięli go na jego własną burkę i wnieśli przez pole w kierunku zagrody pana Laskowskiego. Na tym właśnie polu major odzyskał przytomność, wydobył z zanadto pistolet i oddał strzał do idącego obok majora niemieckiego, raniąc go śmiertelnie. Rozwścieczeni Niemcy zaczęli kłuć bagnietami majora przenosząc go na podwórko zagrody p. Laskowskiego i rzucając obok nie istniejącej już stodoły, gdzie ukrócić wyszłań ducha”.

Nie jest to relacja nieznaną. Podają ją m.in. Marek Szymański w „Oddziale majora Hubala” (4 wydanie), Jerzy Piórkowski w „Warszawskiej lekcji europejskiej historii” (Czytelnik 1984) oraz Jerzy Skłasiński — „Polska walcząca” (Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1985).

Wprawdzie w niektórych szczegółach relacje „naocznych” świadków: Zygmunta Laskowskiego i Władysława Tomasika nieco się różnią, bo według Tomasika Hubal miał jeszcze przestrzelone nogi, to ich podstawowy sens jest taki sam: Hubal, dobity

ciosami niemieckich bagnietów, skonał dopiero w zagrodzie Laskowskich.

Władysław Tomasik, wówczas 13-letni robotnik rolny, nie zabierał już głosu w tej sprawie. Za to coraz głośniejszy jest Zygmunt Laskowski, wówczas — podkreślam — nie bardzo rozgarnięty chłopiec, w wieku poniżej 14 lat, a dzisiaj, według M. Kozaka, „samotny, 80-letni starzec”.

Relacje Zygmunta Laskowskiego i Władysława Tomasika są nieprawdziwe od początku do końca — wymyślone.

Działania bojowe Niemców przeciw Oddziałowi Wydzielonemu WP mjr Hubala toczyły się w atmosferze ostrych sporów kompetencyjnych między SS a Wehrmachtem. Gen. J. von Blaskowitz uważał, że likwidacja oddziału należy do jego kompetencji. Początkowo nie wiedział on, że to właśnie Hitler zniszczenie hubalczyków zlecił siłom SS i policji. Tak się złożyło, że z powodu tych kontrowersji gen. Johannes von Blaskowitz został odwołany ze stanowiska Obersta i w chwili gdy Hubal toczył swój ostatni bój, tę funkcję pełnił już gen. kawalerii Kurt Ludwig von Gienanth.

Tak więc pod Huciskiem i Szalasami przeciw OWWP mjr Hubala wystąpiły wyłącznie SS i policja. Dopiero gdy Hubalowi udało się wyrwać z okrażeń w nocy z 1 na 2 kwietnia 1940 roku liczącą 23 ułanów grupę rozpoczęły śledzić, niezależnie od siebie i w tajemnicy przed sobą, SS i Wehrmacht. Rozpoczął się swoisty wyścig o sukces, o pierwszeństwo.

Zdumienie i przerażenie budzi mnogość szczegółów o samym Hubalu, jakie Policji Bezpieczeństwa udało się pozyskać na podstawie donosów nie rozpoznanych jeszcze konfidentów. W tym samym meldunku SS-Oberscharführer Merz pisze:

... w wypadku majora Hubala chodzi tu o majora z 1 pułku ułanów z Augustowa, albo 4 pułku ułanów z Wilna lub też 13 pułku ułanów z Wilna. Nazwa Hubal jest pseudonimem. Właściwe nazwisko zostanie w najbliższych dniach ustalone przez konfidenta. „Hubal” jest żonaty i od kilku lat pozostaje rozwiedziony z żoną. Żona mieszka w majątku swego brata, w województwie kieleckim. Adres i nazwisko żony zostanie ustalone w najbliższych dniach”. (13 Pułk Ułanów Wileńskich stacjonował w Wilejce — Red. Dyżurny).

Ale na tym skończyło się powodzenie SS i policji. W meldunku z 13 kwietnia 1940 komendant Policji Bezpieczeństwa i SD w Dystrykcie Radomskim pisała ekspozyturę w Kielecach: „Co do miejsca pobytu majora Hubala, to w międzyczasie upełniło kilka meldunków o tym, że oddział kawalerii przebieł się z rejonu na północ od Młnowa w kierunku północno-zachodnim aż do okolicy Tomaszowa...”.

Obszar, na którym rozgrywały się te wydarzenia, pod względem wojskowym, podlegał 373 dywizji strzelców krajowych, której sztab mieścił się w Moszczynie pod Piotrkowem Trybunalskim. Szefem związku, oficerem i w tym sztabie był płk dr Heinrich Schreihagen. Od 1930 roku publikował on raporty i relacje o Hubalu. Mieszka w RFN. Publikacje te są ogólnie znane i cytowane przez polskich autorów. Z dr. Heinrichem Schreihagenem spotkałem się w 1972 roku. Pomagał mi szukać grobu Majora. Nagram na taśmę kilka z nim rozmów. Oto jak, w dużym skrócie, przedstawił on działania Wehrmachtu:

W połowie kwietnia 1940, na podstawie informacji miejscowej ludności, na trop oddziału trafiła Geheimfeldgendarmie, podległa dywizji. Hubal kwaterował wtedy w rejonie leśnym pod Wólką Kuligowską.

Pod nieobecność dowódcy dywizji gen. von Lippe jego zastępcy udało się uzyskać zgodę Obersta na czynne wkroczenie do akcji. Aby jednak nie narazić się na zarzut niesubordynacji — zakaz Hitlera nadal obowiązywał — przedsięwzięcie nadano nazwę „polowe ćwiczenia pułku, z ostrym strzelaniem”. Do akcji wyznaczono dwa bataliony. Dowódcą mianowano pułkownika Reicha. Na czas „ćwiczeń” w Poświętnem ulokowali się „obserwatory-rozjemcy”, oficerowie sztabu dywizji. Do pierwszego starcia z oddziałem doszło w późnych godzinach popołudniowych, 29 kwietnia 1940. Tutaj zginął ostatni ochotnik, mieszkaniec Wólki Kuligowskiej, młodzieńki Józef Kośka. Zdarzało się to w obecności żyjącego jeszcze plut. Józefa Pruskiego.

Zapadł zmrok i pod jego ochroną do lasu Zaciniki pod Anieliną oddział przeprowadził młynarz z Fryszek, Ignacy Sobczyski. 30 kwietnia o godzinie 3.00 ruszyła niemiecka tyraliera. Przy pierwszym wymianie strzałów Hubal zginął, trafiony w samo serce.

Istnieją kilka żołnierskich relacji o śmierci Majora. Naoczni świadkowie: ppor. Zygmunt Morawski „Bem”, ogólnymistrz pchor. Henryk Ossowski „Dolega” adiutant mjr. Hubala, wachmistrz pchor. Józef Świda „Lech”, wachmistrzowie: Józef Alceki i Romuald Rodziewicz „Roman”, plut. Józef Pruski i ul. Tadeusz Majej byli na miejscu w bezpośrednim otoczeniu swego dowódcy. Ale tylko dwóch z nich widziało i słyszało, gdy padała ta tragiczna seria: ppor. Zygmunt Morawski „Bem” i Henryk Ossowski „Dolega”.

W Studium Polskiej Podziemnej, pod nr. ew. 978/41 znajduje się ważny dokument. Jest to maszynowy odpis prywatnego listu z 9 września 1940 r. ppor. Zygmunta Morawskiego do kpt. Macieja Kalenkiewicza. Odpis sporządził i uwierzygodnił własnym podpisem kpt. Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz”, po czym oddał go „Łukasowi” — płk. Józefowi Smoleńskiemu, kierownikowi Oddziału VI — Specjalnego Sztabu Naczelnego Wodza.

Czytamy w nim: „Pan Major z moim swobodnym, w którym posłałem 23 ludzi poszedł z powrotem przez Wysoką Górę do lasów Spalskich. Od 3. do 29. (kwietnia — JS) mieliśmy wspólny spokój. 29. etak niemiecki (zachowując oryginalną pisownię — JS) w nocy przerwał nam się pod Anielinem. 30. (kwietnia — JS) o g. 5 rano niemiecy zaatakowali nas i w chwili, gdy po kilkunastominutowej walce siadaliśmy na kość, Pan Major zginął. Otrzymał kilka strzałów w serce i płuca. Oddział walczył przy zwłokach Pana Majora chcąc zabrać ciało jego, ale niemiecy nas odrzucili”.

Henryk Ossowski był adiutantem majora Hubala. Cały czas był przy Majorze. On obudził Hubala. Po wojnie, przez wiele lat był przewodniczącym Klubu Hubalczyków. Nigdy nie zmienił swej relacji o śmierci Hubala. Według niego zginął na miejscu.

Zarówno list Zygmunta Morawskiego, jak i relacje Henryka Ossowskiego są znane wyżej wymienionym przeze mnie autorom. Czy to nie dziwne, że żaden z nich nie uwzględnił tych relacji i uznał za słuszne uwierzyć w bzdurne opowieści Zygmunta Laskowskiego i Władysława Tomasika?

Ta uwaga odnosi się przede wszystkim do Marka Szymańskiego, autora „Oddziału majora Hubala”. Jest byłym oficerem tego oddziału, a nawet przez 3 do 4 dni był dowódcą garstki plechoty pozostawionej w okrażeń pod Szalasami. Przeszedł przez niemiecką obławę, ale z własnej woli do Majora już się nie zgłosił. Nie był więc świadkiem wydarzeń pod Anielinem. Po wojnie spotkał się z kolegami i nikt z nich, wiedząc, że Marek Szymański zamierza napisać dokumentalną książkę, nie skąpił mu swych relacji. Napisał w końcu książkę niby to dokumentalną, ale najważniejszej chwili — śmierci Hubala poświęcił zaledwie kilkanaście zdań. Wśród nich relacje Władysława Tomasika i Zygmunta Laskowskiego zajmują najwięcej miejsca. Jeśli dodać, że nie wiadomo skąd, bo Marek Szymański nigdy tak o sobie nie mówił ani nie pisał, powstał mit, że jest on zastępcą a nawet następcą Hubala, nie trzeba się dziwić, że inni publicyści uznają go za jedyną autorytet i... powtarzają jego błędy.

Na szczęście — dla historycznej prawdy — są jeszcze inne dowody, które potwierdzają prawdziwość relacji ppor. Zygmunta Morawskiego „Bema” i Henryka Ossowskiego „Dolegi”. Są to pośmiertne zdjęcia majora Hubala, zrobione przez Niemców. Było ich zapewne wiele, ale w Polsce zachowały się trzy oryginalne zdjęcia.

Dwa zostały zrobione natychmiast po odnalezieniu ciała Majora w lasu Zaciniki. Hubal leży na ziemi, na rozpiętych kochach i bluzę munduru. Zdjęty pas główny i koaliczka, również pasek

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego satysfakcjonujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

od spodni. Ciało najwyraźniej dokładnie przeszukane, broń (pistolet) odebrana. Na lewej stronie klatki piersiowej, na białej koszuli wyraźnie odcina się duża plama krwi. Na obu zdjęciach, po dokładnym przyjrzeniu się, widać miejsce wlotu pocisku w okolicy serca — biała plamka. Poza tym nie widać żadnych śladów uderzeń. Buty i nogi są całe, a więc nie przestrzelone. (Zdjęć tych nie możemy reprodukcować, gdyż byłyby zupełnie nieczytelne — Red. Dyżurny).

Po zrobieniu zdjęć Niemcy położyli ciało na płachty namiotowej z osobistego wyposażenia i przenieśli do pobliskiej zagrody Laskowskich. Tam włożono je na chłopięcy wóz i Władysław Tomasik przewiózł je do Poświętnego — Studzianny. W Studziannie czekali oficerowie sztabu 372 dywizji strzelców krajowych. Co działo się dalej, wiem z opowiadania świadka, wtedy i teraz mieszkanka Poświętnego, kpt. Mariana Zacha.

Zebrany mieszkankom pokazano zwłoki Hubala (było to na dużym placu przy kapliczce św. Anny). Tuż przed załadowaniem zwłok na samochód cietarowy okazało się, który to żołnierz zabił Hubala. Ustawiono grupę żołnierzy, „zwycięzcy” kazano zjechać helm i pozwolono podtrzymać ciało Majora. Tak powstało zdjęcie, pod względem technicznym najlepsze. Na tej podstawie twierdzi, że relacje ppor. Zygmunta Morawskiego i Henryka Ossowskiego są wiarygodne. (Zdjęcie to jest powszechnie znane, przedstawia grupę żołnierzy Wehrmachtu nad zwłokami majora Hubala — Red. Dyżurny).

Postawa Zygmunta Laskowskiego nie zdziwiłaby mnie, gdyby nie drobny fakt. 30 kwietnia 1940 roku w ogóle nie było go w Anielinie. Od dłuższego czasu przebywał w innej miejscowości i jeśli Z. Laskowski koniecznie sobie tego życzy, jestem skłonny przypomnieć mu, gdzie wtedy naprawdę był. Ze wszystkich szczegółami tego pobytu Z. Laskowski o śmierci Hubala dowiedział się później od rodziny i obcych osób, toteż kto wymyślił tę nieprawdziwą wersję, trudno mi powiedzieć.

JAN SEKULAK

(Były ułan podchorąży „Dago”)

GDY W ŁODZI BUDOWANO SAMOLOTY

W związku z opublikowanym w 11 nr „Odgłosów” w dziale — „Łódź: historia-wspomnienia-relacje” artykułu Edwarda Kocenta-Zielińskiego „Gdy w Łodzi budowano samoloty”, informuję, że byłem jednym z uczniów Władysława Zielińskiego i inż. Wiktor Leja, którzy w latach 1942—1944 w ramach konspiracji szkolili mechaników samolotowych.

Do szkolenia służył nam warsztat napraw sprzętu Rolniczego Powiatowej Spółdzielni Handlowej w Jarosławiu. Tam, oprócz wykonywanych prac remontowych sprzętu rolniczego, Władysław Zieliński i inż. Wiktor Leja prowadzili z nami — jako przyszłymi mechanikami lotniczymi — naukę teorii budowy silników oraz budowy i obsługi lotniczych samolotów. Udział w tym szkoleniu był ściśle zakonspirowany, a my uczestnicy wiedzieliśmy, że za ujawnienie tego Niemcom groziło więzienie, obóz koncentracyjny, a nawet śmierć.

Zaraz po wyzwoleniu Jarosławia przez Armię Radziecką Władysław Zieliński i inż. Leja zgłosili się wraz z naszą grupą uczniów w RUK do dyspozycji PKWN. Załatwiało formalności trwało kilka tygodni, po czym pracowaliśmy m.in. przy kompletowaniu narzędzi stołów ślusarskich, Władysław Zieliński oraz grupa uczniów i pracowników w składzie: Stanisław Sobień, Lesław Lachowski, Czesław Piłociński, Eugeniusz Krośniak w dniu 10.01.1945 wojskowym samochodem została przetransportowana do Lublina. Tam pełniliśmy służbę wartowniczą i zabezpieczającą mienie. Podczas ofensywy styczniowej, w dniu 20.01.45 r. wraz z inż. A. Sułkowskim i Władysławem Zielińskim przyjeżdżaliśmy samolotem wojskowym Li-2 na lotnisko Lublin. W Łodzi zajęliśmy fabrykę mebli przy ul. Zagajnikowej.

Tam Władysław Zieliński wyposażył nas w mundury polnieckie, przydzielił karabiny typu mauser i pełniliśmy służbę wartowniczą w przydzielonych nam obiektach. Przyjmowaliśmy również transport i konwojowaliśmy sprzęt lotniczy z lotnisk polnieckich do Lotniczych Warsztatów Doświadczalnych w Łodzi. Dalsza historia L.W.D. opisana już jest dokładnie w artykule E. Kocenta-Zielińskiego.

STANISŁAW SOBIEŚ

Rzeszów

DO BYŁYCH STUDENTÓW POZNAŃSKICH UCZELNI

Centralny Ośrodek Informacji i Analiz Studentckiego Ruchu Kulturalnego ZSP z Poznania, w związku z przygotowywaną do druku książką pt. „Ruch kulturalny studentów Poznania w latach 1945—1988”, zwraca się z serdeczną prośbą do wszystkich osób związanych w przeszłości z ruchem artystycznym o pomoc i nadsyłanie materiałów dokumentujących ruch studentki w tym okresie.

Interesują nas wszelkie dokumenty historyczne jak np. druki ulotne, jednostronki i czasopisma studentki, plakaty afisze, programy, opracowania własne i relacje. W przypadku, gdyby ich właściciele nie chcieli się z nimi rozstać, to prosimy o informację i kontakt, aby móc je skserografować, bądź spisać relacje ustnie.

Informujemy jednocześnie, iż nadal — pomimo wielu trudności — Ośrodek zajmuje się gromadzeniem dokumentów uzupełniających to jedyny w Polsce i w Europie archiwum ruchu artystycznego młodzieży akademickiej. Prosimy więc osoby, które posiadają interesujące nas materiały o ich przekazywanie w drodze darowizny, wymiany bądź ewentualnie — zakupu.

Będziemy wdzięczni każdemu kto przyczyni się do wzbogacenia archiwaliów gromadzonych w naszej placówce. Tym samym będzie możliwe uchronienie ich od zapomnienia i zachowanie dla potomnych.

Wszelką korespondencję prosimy kierować pod adresem Ośrodka 61-714 Poznań, al. Stalingradzka 26.

TOMASZ MAGOWSKI

Kierownik Centralnego Ośrodka

REDAKCJA — CZYTELNICY

Henryk Bazylak: — O śmierci mjr Hubala obszernie pisał Jan Sekulak w opublikowanym liście. I tym zamykam dyskusję na ten temat.

Józef Kubiak, Zduńska Wola: Dziękujemy za list, publikować nie będziemy.

Piotr Sikorski: Z materiału „Mówią dokumenty” nie skorzystamy.

Czesław Żyliński: — Pańskie uwagi o książkach „Historia Rumunii” oraz „Historia Austrii” proponujemy skierować do wydawcy.

S

szczególnie zagrożona alkoholizmem jest populacja w wieku 18-25 lat, a więc w okresie dojrzewania i wchodzenia w najaktywniejszy okres rozwoju osobniczego i podejmowania obowiązków ludzi dorosłych.

Dziesięć procent dzieci w wieku do 18 lat w Polsce — to dzieci z rodzin obciążonych piętnem alkoholizmu, co stanowi liczbę bliską 3 milionom dzieci i młodzieży. Szczególnie wysoki jest procent dzieci z rodzin alkoholików na wsi — ponad 60 procent! W raportach oświatowych określa się tę przerażającą liczbę łagodniejszym określeniem „dzieci z rodziną notorycznie nadużywających alkoholu w stopniu zagrażającym dobru rodziny”. Pośród dzieci i młodzieży objętej obowiązkiem szkolnym, 3 procent — to dzieci upośledzone w wyniku alkoholizmu któregoś lub obojga rodziców.

W badaniach socjologicznych prowadzonych przez resort oświaty powtarza się tragiczna informacja: 60 procent dzieci i młodzieży przyznaje się do picia alkoholu (głównie najtańszych win), 23 procent spośród nich zaczęło pić częściej lub regularnie przed 12 rokiem życia, 48 proc. między 13-15 rokiem życia. Sprzyja temu głównie kilka powtarzających się we wszystkich sondach czynników: przyjęcie w społeczności obyczajowe wzory, luźne więzi rodzinne, łatwa dostępność alkoholu, zwłaszcza na wsi, brak jakiegokolwiek nawyków pożytecznego spędzania czasu, brak wzorów i zachęt w tym względzie, a wreszcie — fakt, iż byle kto może zostać rodzicem — co dowodzi klęski działań wychowawczych tak państwowego systemu kształcenia, jak zupełnej atrofii wzorców propagowanych przez Kościół katolicki.

2.

Spójrzmy jak rosną się pijactwo i alkoholizm w Polsce. Istnieje dane, że w drugiej połowie XIX wieku spożycie alkoholu na wsi przekraczało 20 litrów 100-procentowego alkoholu w ciągu roku na głowę. A wieś — to było 80 procent całej ludności zamieszkałej na ziemiach polskich. Nie zatem dziwnego, że po drugiej wojnie światowej obserwuje się w Polsce — podobnie zresztą jak w większości krajów na świecie — szybki wzrost spożycia napojów alkoholowych, szczególnie wysokoprocentowych. Socjologiczne tego podłoże jest dość jasne. Procesy awansu społecznego, nasilonej migracji ludności ze wsi do miast pociągają za sobą przeniesienie do aglomeracji przemysłowych „chłopskiego modelu picia” (alkohol wysokoprocentowy, dużo naraz, do granicy opilstwa). Nie oznacza to rzecz jasna, że przedtem miastu wolne były od alkoholizmu. Teraz jednak zmienia się skala. O ile przedtem punktem odniesienia awansu społecznego były klasy posiadające, o tyle po wojnie jedynym stał się wzór plebejski, z całym dobrodziejstwem inwentarza. Właściwie można powiedzieć, że od zakończenia drugiej wojny światowej nastąpił pędzący proces przeobrażenia się społecznego nadużywania alkoholu i alkoholizmu ze zjawiska masowego, lecz praktycznie występującego jedynie na wsi w problem obejmujący wszystkie grupy i warstwy społeczne, zawodowe, wiekowe, niezależnie od miejsca zajmowanego w społecznej hierarchii.

3.

W roku 1950 statystyczny Polak wypijał rocznie 3 litry 100-procentowego alkoholu, w 1960 — 3,8 litra, w 1970 — 5,1 litra, w 1980 — 8,4 litra, by osiągnąć w 1986 roku blisko 10 litrów 100-procentowego alkoholu. Statystyczny mieszkaniec województwa łódzkiego uraczył się w 1986 roku około 19 litrami napojów alkoholowych — z piwem włącznie.

Kosztuje nas ta przypadłość. W 1986 roku pusiłśmy — jak się to mówi „na przelew” — 687,1 miliarda złotych oraz 113,7 miliona dolarów. Ponad 40 procent wszystkich pieniędzy przeznaczonych na zakup artykułów żywnościowych przez statystyczną polską rodzinę popłynęło z alkoholem. Rocznie daje to sumę 70 tysięcy złotych na jedną rodzinę.

Należy do tych liczb dodać jeszcze jedną. 20 procent wypijanego w Polsce alkoholu stanowi efekt nielegalnego bimbramnictwa. Ponadto także alkohol pochodzący z kradzieży — w tym alkohole techniczne, zanieczyszczone, zagrażające życiu pijących oraz liczne „wynalazki” typu płyn „Kryształ”, „Borygo”, wody brzożowe, żonine perfumy itp.

Jeśli zważyć, że zysk ze sprzedaży alkoholu (687,1 miliarda złotych, plus pewna część dolarów ze sprzedaży w „Pewexie” polskiej wódkę) stanowi zaledwie część zysku powiększonego o różnicę kosztów produkcji i litra 100-procentowego alkoholu (ok. 100 zł) i cen detalicznych można mieć jakieś wyobrażenie o tym, jak fantastycznym interesem jest produkcja alkoholu. Zresztą świadczy o tym ogłoszone corocznie „Listy 500” najbardziej dochodowych przedsiębiorstw gospodarki narodowej w Polsce, gdzie „Polski Monopol Spirytusowy” plasuje się na szczycie potentatów.

Dadzą się również wliczyć w pieniądze straty wynikłe z racji nadużywania alkoholu w wielu dziedzinach życia. W gospodarce to absencje, wypadki przy pracy, straty materialne w niszczonej, psutych surowcach, maszynach itp. Można wliczyć straty w wyniku wypadków drogowych — blisko 25 proc. wszystkich wypadków spowodowali nietrzeźwi! — nie mówiąc o tragicznych statystyce ofiar śmiertelnych. Ponad 80 proc. wszystkich popełnianych rocznie przestępstw, począwszy od kradzieży, włamań, poprzez rozbój, znęcanie się nad rodziną, po gwałty i zabójstwa.

Alkoholizm jest jedną z głównych przyczyn rozpadu rodzin, pogarszania się sytuacji ekonomicznej, głębokich urazów psychicznych, i tak stają się udziałem rodzin alkoholików, szczególnie dzieci. Dzieci te potencjalnie stanowią grupę najwyższego ryzyka, jeśli chodzi o niedostosowanie społeczne, kolizje z prawem, narkomanię.

4.

Z jednej strony daje się zaobserwować „wzrost” „zmęczenie informacyjne” opinii publicznej, wywołane stałą obecnością tematu „alkoholizm”, tak w życiu codziennym, jak w propagandzie. Jednocześnie masowy zasięg zjawiska i jego dojmująca dolegliwość idące w pa-

raz z nikłymi efektami podejmowanych działań, zaradczych w skali państwa wywołują niechęć, a niechęć wzmocniona spowolnieniem alkoholizmu. Bez wątpienia nie wpływa dobrze na postawy społeczeństwa wobec zagrożenia fakt głęboko zakorzenionej tradycji i powszechnego obojętności aprobowanego obecności alkoholu we wszystkich przejawach życia prywatnego i publicznego. Efektem jest lekceważenie, pobłażliwość i mnożenie działań pozornych.

Z drugiej strony zaś — i to wydaje mi się znacznie groźniejsze — społeczna inercja doskonale wspiera znajomy skądinąd przerost biurokracji, kosztowne sformalizowanych, hierarchicznych instytucji, chaos kompetencyjny. W rezultacie mamy do czynienia z hieratycznym bezruchem, działaniami pozornymi, rozproszeniem i marotrawstwem środków.

Problem zwalczania alkoholizmu nie jest zagadnieniem wyizolowanym z kontekstu społecznego, w jakim funkcjonuje. Wadliwa struktura centralistyczno-biurokratyczna jak dotąd skutecznie hamuje rozwój tych mechanizmów, które warunkują wzrost poczucia współodpowiedzialności obywatelskiej, krewania postaw aktywnych, podnoszenia poziomu kultury, a więc i dyscypliny społecznej, poszerzenia za-

nych sferach działania publicznego, tak i tu mamy do czynienia z zakłętym kręgiem. Narastająca skala zagrożenia alkoholizmem wywołuje zmniejszenie sankcji, przepędów, ciał powołanych do kontroli, egzekucji. Administracyjna maszynaria zaczyna jednak — zgodnie ze swą skłonnością — obracać się na jałowym błęku, samopowielając się, tracąc a poia widzenia cel, dla którego została powołana do życia. To zaś ogranicza skuteczność, wywołuje kolejną falę akcji „przywiązywania wagi”, nerwowości w rozbudowie kolejnych struktur i, da capo.

5.

Lawinę można nazwać narastaniem regulacji prawnych i powstawaniem instytucji do walki z alkoholizmem.

Już w 1920 roku Sejm Rzeczypospolitej Polskiej uchwalił pierwszą ustawę antyalkoholową i znówelizował ją w 1931 roku. Pierwsza ustawa antyalkoholowa w dziejach PRL powstała w 1952 roku, a jej znówelizowana wersja weszła w życie w 1959 r.

Wspólnym mianownikiem dla wszystkich czterech ustaw było podejście do zjawiska al-

Według szacunkowych danych statystycznych 5 milionów Polaków notorycznie nadużywa alkoholu, 2,5 miliona to zarejestrowani w placówkach służby zdrowia alkoholicy. Zaledwie 150 tysięcy spośród nich poddaje się leczeniu, zaledwie co trzeci skutecznie zrywa z nałogiem. Znaczący zagadnienia zalecają traktować te dane jako zanizone.

Przelewanie

JOLANTA WRONKA

kresu i swobody inicjatyw oddolnych, nieformalnych. Utrwalony przez dziesięć lat kartat praktyki sprawowania władzy i zarządzania charakteryzuje się głównie starą jak świat przypadłością, to jest zachłannym zagarnianiem coraz większego obszaru życia społecznego w gestię „centrali”. W rezultacie daje to rozmaite kompetencje, odpowiedzialności, lawinę papieru, sprawozdań, sprawa powielaczowego, co powoduje bałagan prawny.

Kto chce kontrolować wszystko i sprawować całkowitą władzę nad wszystkim, ten w rezultacie nie kontroluje niczego lub niewiele. Toteż nie ma się co łudzić, że walka z alkoholizmem będzie akurat tą jedyną dziedziną, w której nie odbije się jak w lustrze sytuacja społeczna. Więcej nawet. Twierdząc, że dopóki nie zrehabilitujemy się na konsekwentną, głęboką restrukturyzację wszystkich obszarów życia publicznego mowy nie ma o skutecznym zahamowaniu alkoholowej gangreny.

Jeszcze więcej. Wszystko, co powołano dla zapobiegania i zwalczania społecznej plagi alkoholizmu daje, jak dotychczas, jej nieskuteczność. Obarczone jest bowiem tymi samymi grzechami chciwości. Jak w wielu in-

koholizmu jako do występku niegodziwego (kryterium moralne) oraz przestępstwa (kryterium prawne). Tak więc nadużywanie alkoholu uważano za zajęcie wysoce naganne, stąd odwoływanie się do sumień pijaków oraz za czyn karalny, za który sprawca byłby osadzany w kryminale i zmuszany do leczenia.

6.

26 października 1983 roku weszła w życie najnowsza Ustawa o Wychowaniu w Trzeźwości i Przeciwdziałaniu Alkoholizmowi. Towarzystwo jej trzynastu rozporządzeń podpisa-nych przez ministrów branżowych i kierowni-ków urzędów centralnych. Rozporządzenia te szczegółowo regulują podległe sfery życia pu-blicznego stanowiąc dodatkowe wzmocnienie prawne działających już w tych dziedzinach ustaw: Kodeks Karny, Cywilny, Rodzinny i O-piekunczy, Prawo Drogowe oraz aktów praw-nych odnoszących się do działania gospodarki, prawa pracy itp. Ustawa powołała do życia ciało kolegialne na szczeblu ogólnokrajowym — Komisję do Spraw Wychowania w Trzeźwości

i Przeciwdziałania Alkoholizmowi przy Premie-rze. Przewodniczy jej wicepremier. Rada ma skupiać przedstawicieli wszystkich resortów, organizacji, instytucji powołanych statutowo bądź zobligowanych swymi kompetencjami ma-rytorycznymi do przeciwdziałania alkoholizmo-wi. Podobne komisje powstały na szczeblu województw przy wojewodach lub prezyden-tach miast wydzielonych z przewodniczącymi w randze wicewojewodów lub wiceprezydentów. W nową strukturę włączono też istniejące wcześniej ciała społeczne, czyli terenowe komi-sje do spraw przeciwdziałania alkoholizmowi oraz Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy działający dotychczas jako jedyna formalna struktura mająca za cel walkę z alkoholizmem (od 12 czerwca 1939 roku jako stowarzyszenie wyższej użyteczności publicznej) i Towarzystwo Trzeźwości Transportowców — branżowa or-ganizacja społeczna.

Po raz pierwszy więc do działań zwalczają-cych alkoholizm zobowiązano ustawowo aparat administracyjny państwa, akcentując tym sa-mym skalę zagrożenia oraz potrzebę odejścia od wyłącznej społecznikowskiej „hobbistycz-nego” zajmowania się zagadnieniem. Jednoczes-nie stworzenie tak rozległej formalnej struktury wymagało określenia prawnych ram jej działania. Należało stworzyć regulaminy, usta-lić podział kompetencji, zależności i sposoby fi-nansowania.

Obok administracji, głównymi filarami, na których ma się wspierać efektywność ustawy jest służba zdrowia, system nauki, oświaty, kul-tury oraz wymiar sprawiedliwości i organa ścigania.

Dodajmy, że obok państwowej, także Kościół katolicki powołał swą strukturę do działań antyalkoholowych — Radę do Spraw Trzeź-wości przy Komisji Episkopatu oraz jej dzie-dziczne odpowiedniki, jak również rozwinęła się aktywna działalność Kościoła w sferze wy-chowania, oświaty i lecznictwa odwykowego. Państwo i Kościół katolicki starają się współ-pracować w tej dziedzinie szczególnie ściśle, choć istnieje też sporo trudności w ustaleniu możliwie jednolitej „filozofii” warunkującej skuteczność.

7.

Wróćmy do ustawy — znówelizowanej zresztą już w dwa lata po wprowadzeniu (3 lipca 1984 r.) obarczonej w niej premiera obowiąz-kiem powołania przewodniczącego Komisji, na-dania jej regulaminu, określenia szczegółowa zakresu, organizacji i trybu działania. Na szcze-blju województw obowiązek ten ciąży na wo-jewodach i prezydentach. Natomiast tryb po-wołania, skład i szczegółowy zakres działa-nia komisji terenowych ustalają wspólnym rozporządzeniem minister administracji, gos-podarki terenowej i ochrony środowiska, minist-er sprawiedliwości, minister spraw wewnętrznych i minister zdrowia i opieki społecznej (data rozporządzenia: 7.03.1983 r.). Jednocześnie mi-nister administracji wspólnie z ministrem finan-sów oraz pracy, płac i spraw socjalnych usta-lają zasady finansowania komisji terenowych i preliminarz ich wydatków (udział w posiedze-niach, diety, przejazd, noclegi, honoraria bie-gących, prace zlecone, wydatki rzeczowe). To samo odnosi się do zasad i trybu działania komisji wojewódzkich. W ich skład winni wchodzić: obok przewodniczącego i sekretarza, specjaliści lecznictwa odwykowego, przedsta-wiciele resortów działających w sferze oświaty, wychowania, propagandy, przedstawiciele Spo-łecznego Komitetu Przeciwalkoholowego i To-warzystwa Trzeźwości Transportowców, przed-stawiciel milicji, kierownicy jednostek organi-zacyjnych administracji państwowej, reprezen-tanci wymiaru sprawiedliwości oraz organizacji społeczno-politycznych.

Komisja przy Radzie Ministrów jest ciałem opiniotwórczym i doradczym powołanym do oceny realizacji ustawy, programowania działań i opiniowania aktów prawnych odnoszących się do zakresu jej kompetencji. Rady wojewódzkie mają obowiązek planować, inicjować, koordy-nować i oceniać działalność tak w sferze le-czenia i rehabilitacji osób uzależnionych jak i w każdej innej.

Ustawa powołała także Centralny Fundusz Przeciwalkoholowy, który corocznie ma pow-stawać jako odpis procentowy od rocznej sumy zysków ze sprzedaży napojów alkoholowych w Polsce. Górną granicą jest trzy procent sumy zysków rocznych, przy czym każdorazowo wy-sokość odpisu ustala prezes Rady Ministrów. Jednocześnie — Rada Ministrów ma obowiązek corocznego składania sprawozdania Sejmowi z realizacji ustawy.

Zgodnie z wymaganiami Ustawy, Rada Mini-strów uchwala z 8 grudnia 1983 r. (na podsta-wie art. 13 ust. 1 ustawy „Prawo Budżetowe”) stwo-rzyła podstawy prawne dla gromadzenia Centralnego Funduszu Przeciwalkoholowego i wojewódzkich funduszy na wydatki związa-ne z przeciwdziałaniem alkoholizmowi.

8.

Zatrzymajmy się chwilę w tym miejscu. Jak widać aparat administracyjny powołany do walki z alkoholizmem jest niestetycznie roz-legły, obejmuje wszystkie dziedziny życia spo-łecznego, wiąże liczne struktury formalne i po-teczną armię ludzi. Określony jest schemat kom-petencji, zależności, obowiązek sprawozdaw-ności wobec organów władzy (rady narodowe, Sejm). Wielki aparat ma to do siebie, że musi mieć szczegółowo rozpisane plany postępowania. Te zaś siła rzeczy usiłują poddać kontroli każdy wycinek życia, bowiem wobec skali dzia-łania i liczebności sił łatwo o chaos. Tej te utrwalonej regule wyznaczającej myślenie bu-rokratyczne muszą odpowiadać środki.

A najważniejsza zawsze jest kasa.

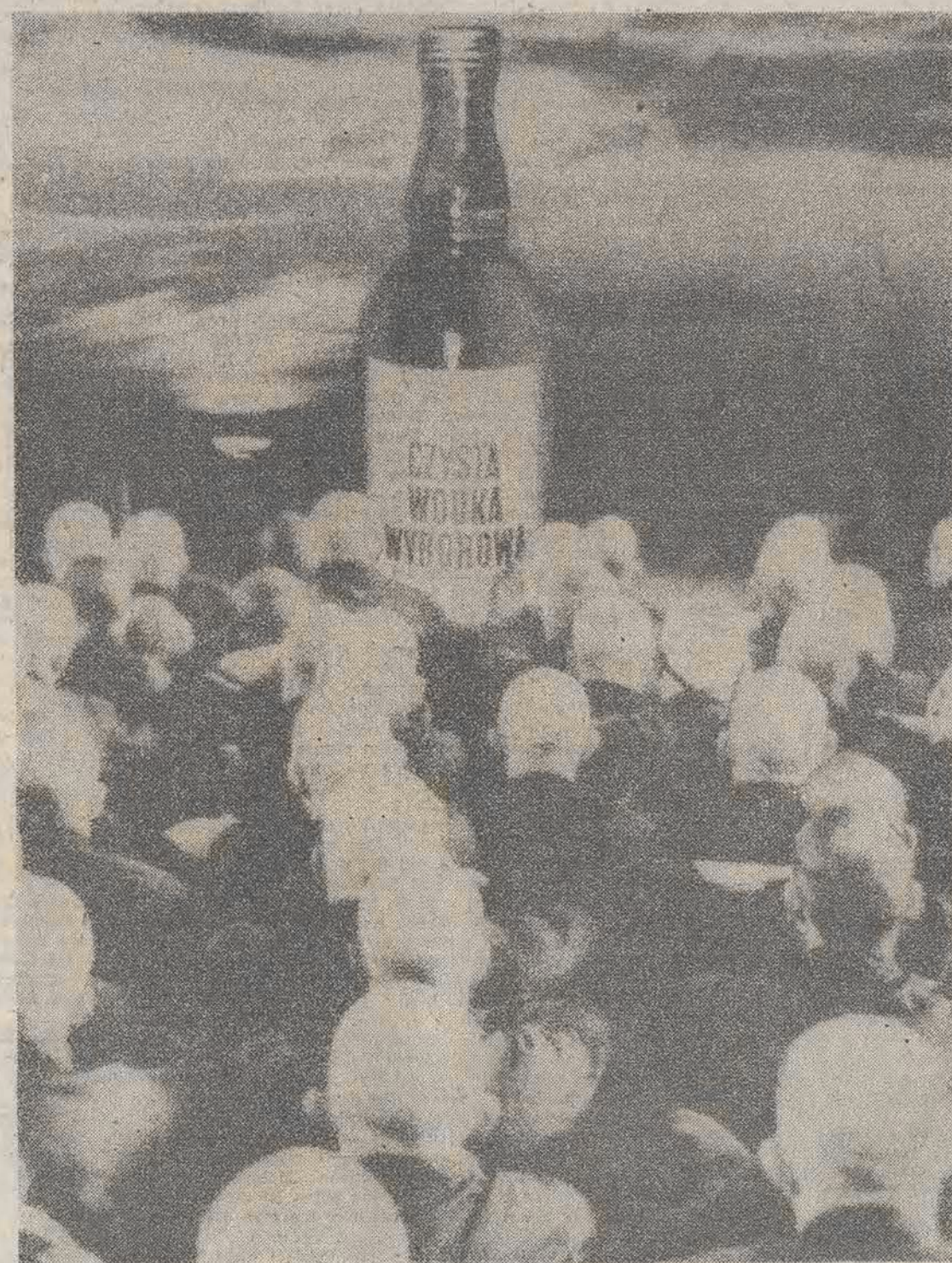


Foto: Włodzisław Górecki

Mur jest faktycznie imponujący. Porządny, gruby na parę łokci, czerwony. Chyba z kilometr się ciągnie wzdłuż nowoczesnej, dwupasmowej drogi. No i wysoki. Średnio chyba ze trzy metry. Gdzie jest nieco niższy — tam uzupełniony siatką, też solidną.

No i jestem po drugiej stronie muru. Blocko. Ale i specyficzny zapach jakby wyraźniejszy, bliższy. Pod czujnym okiem dyrektora Edmunda Szewczyka i szefa produkcji — Witolda Ossowskiego zaglądam tu i owdzie. A gdzie nie spojrzę: cysterny, tanki, zbiorniki, pojemniki, kadzie, kanistry, baki i butelki, butelki, butelki...

— Pełne? — pytam dyrektora Edmunda Szewczyka

— Aha.

— Wódka?

— Nie, spirytus...

— A ile on ma „gradusów”?

— Musiałbym sprawdzić dokładnie, ale z pewnością ponad 92 procent.

— Z ziemniaczków, czy porzeczny — ze zboża?

— Jeden i drugi może być porzeczny, a jak na marginesie: u nas spirytus dzieli się na zwykły, wyborowy i luksusowy w zależności od stopnia oczyszczenia w zakładzie rektyfikacyjnym i późniejszego przeznaczenia. A biorąc pod uwagę surowiec, to produkuje się spirytus, obok ziemniaczanego i zbożowego, także owocowy i melasowy.

— Ależ melasa to zdaje się odpady z cukrowni?

— Owszem, i można z nich zrobić niezły spirytus. Produkuje go zresztą w ilości ponad 8 milionów litrów rocznie nasz oddział w Sieradzu, a przerobiony w innym oddziale, w Kutnie, na spirytusie odwodnionym, w blisko 60 procentach przeznaczony jest na eksport.

— Odwodniony, znaczy — mocniejszy?

— Tak, ma blisko 100 procent „mocy”, ale przeznaczony jest wyłącznie dla celów przemysłowych. Bierzcie przede wszystkim koncert „Pepsi-Cola” oraz kilka zakładów w Szwajcarii, Anglii, RFN, Francji.

— A drogo go sprzedajecie?

— Dokładnie po 135 złotych za litr...

— Niemożliwe! Tak tania? A dlaczego do sklepów...

— Spokojnie, wszystko panu wytłumaczę. Na razie — uważa na głowie i pod nogi, bo stopnie ślizga. Wchodźmy do magazynu spirytusu.

Miała rampa, podłazkę węże, pompy tłoczą trunek z samochodowej cysterny do zbiorników, których... nigdzie jakos nie widać. Przekraczamy stółowe drzwi. Strone schody w dół, jeszcze jedno drzwi. Tu są. Średnio po 150 tysięcy litrów każdy.

Pienięmy się po schodach, gdy nagle w nozdrza wwierca się inny, zdecydowanie mniej sympatyczny zapach.

— To denaturat, tu obok: robimy go rocznie około 2,5 miliona butelek...

Zjawia się kierownik magazynów — inżynier Sławomir Adamiak i oprowadza po swym królestwie. Tłumaczy zasady działania instalacji przeciwpożarowej oraz cel swoich wizyt, nawet w dni wolne od pracy. Latem, w czasie upalnych dni, zbiorniki trzeba zraszać zimną wodą, podobnie zresztą jak i cysterny na boczniach. Opary spirytusu są nie mniej groźne niż benzyna.

Sławomir Adamiak wyciąga jeszcze jeden peki kluczy. Uchyła północne drzwi i — to jest to! Piękny aromat soku, owoców, jakichś sliwek w spirytusie. To magazyn półfabrykatów.

— Te na lewo to „morsy”. Zalany spirytusem w celu zakonserwowania sok owocowy. Dalej nalewany na suszony i świeży owoc, w sumie dwadzieścia litrów każdy, w srodka epoksydowane, by nie zachodziła reakcja z metalem. Tam w roku to wina półsłodkie i wytrawne.

— Nie widzę „Baluckiego”, „Łowickiego” i innych smakowitych „parabolek”?

— Niech pan nie cartuje, wykorzystujemy wyłącznie surowiec z importu: o proszę, tu sherry, tu cały zestaw białych cernuchów...

— Ale te przy drzwiach to przecież klasyczne kadzie de-

bowe.

— Tak jest, to kadzie, w których trzymamy destylaty i spirytusy owocowe. Wszystkie powyżej 40 procent mocy, w tankach epoksyd już by po-

odpadał.

— Brniemy teraz powoli w

kierunku hali, gdzie produkuje

się wódki gatunkowe, a ja u-

parcie wracam do cen ekspor-

towego spirytusu.



Foto: Grzegorz Galasiński

Mors pachnie śliwkami. Spirytus można zrobić z wszystkiego, ale... Co niekiedy wozi się w cysternach z napisem „benzyna”?

Co robią za czerwonym murem?

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

— Panie dyrektorze, skąd te

mizerne 135 złotych?

— Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. W wyrobach spirytusowych ponad 90 procent ceny — to podatki. Gdyby bez tego obciążenia sprzedawać wódkę, to byłoby to kwoty bardzo niskie, jak choćby te wspomniane 135 złotych za litr spirytusu, który — z racji eksportu — wyliczony jest z o-

podatkowania.

— Dużo przemysł spirytusowy eksportuje?

— Sporo. W 1986 roku, w przeliczeniu na 100-procentowy spirytus blisko 33 miliony litrów.

— Łącznie z „Pewexem”?

— Dużo tych milionów im sprzedajecie?

— Rocznie około 20 milionów litrów.

— Ileż to rocznie „Polmos” produkuje?

— W 1986 roku — 153 miliony 727 tysięcy litrów, w przeliczeniu na stuprocentowy spirytus. W roku 1987 planuje się utrzymanie produkcji praktycznie na tym samym poziomie.

— Planuje się...

— Nie ma w tym nic dziwnego. Planuje się ilość zgonów, produkcję trumien, planuje się także produkcję trumien...

— I czy musimy ciągle wspominać o tym stuprocentowym spirytusie? Czy te wypijane, produkowane czy eksportowane miliony litrów nie można przeliczyć na klasyczne butelki półlitrowe?

— Można, oczywiście. Trzeba tylko podawać ilości pomnożone „na okrągło” przez pięć.

— Czy to coś zmienia?

— Faktycznie, niewiele. Statystyczny Polak i tak wypija rocznie diabelnie dużo: około 7 litrów spirytusu lub inaczey 35 butelek wódki. W przybliżeniu, bo i tak nikt nie jest w stanie dokładnie określić jednej istotnej pozycji: produkcji własnej wszystkich amatorów wyrobów spirytusowych.

— Ano właśnie. A to, iż produkcję utrzymać mamy na tym samym poziomie wcale nie jest łatwe, że mniej pijemy. Chcielibyśmy jak najwięcej eksportować, choć to praktycznie jest gorsze, ale daje odpisy dewizowe niezbędne do życia. Mnie natomiast zależałoby, aby łódzkie zakłady, uznawane za jednego z największych wytwórców wódki

czystych, powoli zmieniały profil produkcji wprowadzając w szerszym niż dotychczas zakresie wódki gatunkowe, głównie kolorowe. Obecnie jest tego zaledwie około 6 procent produkcji. Co prawda jako jedyni robimy whisky. Ale o tym za chwilę...

Zakład jest stary (w 1987 roku obchodził 85-lecie istnienia...), nie więc dziwnego, że wciąż brniemy ciasnymi korytarzami, wąskimi galerijkami, zanurzamy się w plataninie krętych schodów, schodów. Spektakle stropu, w kilku miejscach dostrzegamy prowadzone roboty murarskie. Schodzimy do magazynu półfabrykatów wódek gatunkowych.

Tabliczka na drzwiach: „Maceratownia”. Tu znajdują się specjalistyczne urządzenia służące do ekstrakcji surowca, czyli wyciskania zeń soku.

Obok pekat, wielosetlitrowe kamionki do magazynowania owych półfabrykatów. Andrzej Jędrzejczak kierownik produkcji wódek gatunkowych tłumaczy mi, że mają w każdej chwili gotowych około 100 różnych kombinacji smakowych.

W leżakowni udaje mi się zastać jednego z najstarszych pracowników firmy — Bolesława Sobolewskiego, który w 1950 roku rozpoczął pracę w „Polmosie” w oddziale rozlewni. Dziś jest brzydki, zęstawia i leżakowni.

— Którą z wyprodukowanych u was wódek lubi pan najbardziej?

— Ja? Żadnej nie lubię, ja w ogóle nie piję... — widzę, że zerkając spod oka na chmurzonego i poważnego dyrektora.

— No, bez przesady, nie ma się czego wstydząć. A jak i mieniny, światem okazja?

— Aaa, a to przede wszystkim jarzębiak i wiśniak — recytuje brzydki.

Może to i prawda. Aby zarządzić poprzednie wrażenie o powiadza szybciutko o leżakowaniu whisky zamkowej i także bardziej przyziemnych trunków. Ponoć nawet pomarańczówka i cytrynówka, extra żytnia i specjal baltic choć przez jeden dzień winny odpoczywać na leżaku nim skierowane zostaną do sklepów.

Idziemy w kierunku oddziału zestawiania. Dopytuję o recepturę „polskiej whisky”.

— No, wie pan, „Haig” czy „Old Smuggler” to pewności

nie jest, ale od razu zastanawiam się, czy nie

zdarzyło się, by były

jakieś odstępstwa od normy.

— No a po takiej próbie

alkohol powinien wypłynąć... —

— dodaje szybko przyglądający

się rozmowie dyrektor Edmund

Szewczyk. I pokazuje jeszcze

filtry, między innymi... pias-

kowe, przez które musi przejść

każdy litr produkowanego w

zakładzie, a tu zestawianego,

alkoholu.

Brniemy dalej.

— Wspomniał pan wcześniej

o różnych rodzajach spirytu-

sów. Jakiego na przykład uży-

wa się do poloneza? I od

czego to zależy, że z dwóch

butelek żytniej jedna jest zno-

śna w smaku, a druga wydzie-

ła taki odór, że nawet „zawo-

downiec” ma obiekcie przed

konsumpcją?

— Do poloneza powinien być

użyty spirytus zbożowy. Na-

wiasem mówiąc ten sam sto-

sowany jest do żytniej, ale do

niej dodatkowo dodajemy te-

szcze w niewielkich ilościach

cukier i spirytus owocowy.

Żytnia należy wszak do wó-

dek gatunkowych. Wspomniał

pan o smaku wódki z dwóch

butelek. U nas decydują

przed wszystkim: jakość wo-

dy i jakość spirytusu, a pa-

trząc dalej — to i jakość

ziemniaka, i melasy, i zboża.

Cóż, nie oklamujemy się, bywa

że zyskwalifikowane dla pie-

karnictwa gatunki, a także

napodległe zmiołki z hali idą

do produkcji spirytusu. Wpływ

na smak to ma nawet nawo-

żenie ziemi. Różne są też go-

rzelnie, różna jakość rektify-

kacji. Jak pan widzi, ostatecz-

ny smak żytniej to spłot wielu

czynników. Natomiast daje

słowo, że to co dajemy do

„Pewexu”, idzie z tej samej

kadzi co na rynek. Różnica jest

wyłącznie w cenie...

— Ten, delikatnie mówiąc,

inny smak to może także być

wina nie domytej butelki...

— Nie powinno to mieć

miejsca. Zaraz pan sam zoba-

czy, że każda butelka około

pół godziny przebywa w my-

cie, ale co, jak to w życiu.

Jeśli zdarzy się jakaś po far-

bie nitra czy rozpuszczalnika,

to może gdzieś i ślad tego za-

paszkę zostać...

— To niech mi pan jeszcze

zdradzi, dlaczego niemal każ-

da butelka trzeba otwierać

przy pomocy noża, obcinając

nakrętkę, której nikt nie może

znać po prostu odkręcić?

— A dlaczego w nowych

FSO drzwi mają szpary i się

nie domykają? Stary, wyska-

plodowany park maszynowy

producenta-monopolisty, czyli

Fabryki Opakowań Metalowych

w Zawierciu plus zła jakościowo

blacha. Nawiasem mówiąc

potrzebuję tego dziennie 300

tyśięcy, a oni ledwie nadążają.

W 1986 roku były takie dni,

że gdyby wiozący sakrety sa-

mochości ślapi gumi — to by-

my stanęli z produkcji.

— Nie korzystacie z nowych

butelek? Wylaciecie ze skupu

od ludności...

— Wolalibyśmy wyłącznie ko-

rzystać ze starych. Bo są moc-

niejsze, wypróbowane „w do-

bach”, które miały się potłuc,

to już się potłukły, a nowe, z

huty w Wołominie są po pro-

stu kiepskiej jakości. Tłuką się,

są krzywe, mają nieprzepisowy

głównie i tak dalej. No, jeste-

my na oddziale rozlewni...

Szesciście pań obsługuje li-

nie, produkcyjną — od wyla-

dowania brudnych butelek do

przekazania, już pełnych i o-

metkowanych, do magazynu

wyrobów gotowych. Liczenie

napchniętych butelek odbywa

się elektronicznie. Elektronicz-

nie albo satelita linie, jeśli

dostrzeże zbyt małą ilość wla-

ności alkoholu, brak kapsla lub

etykiety.

Stanisława Zimoń, która 32

lata spędziła w tym zakładzie,

dokonyuje jakichś tajemniczych

pomiarów, bierze kilka butelek

z taśmy, przelewa w specjalne

pojemniki, specjalnie legalizo-

wane, „zapuszcza” bankę al-

koholomierza. I tak co godzi-

na. Jeszcze rzut oka na roz-

łożone na stoliku tablice i ma-

my wynik.

— Zgadza się, proszę spoj-

rzeć, dokładnie 40 „gradusów”.

Kilkanaście minut później,

już w gabinecie dyrektora.

— Ileż wódki pan produkuje

rocznie?

— W spirytusie czystym po-

dać?

— Nie, jeśli można, to w

butelkach.

— Około 110 milionów.

— A ile gatunków?

— A jak pan myśli?

— Ja wiem, chyba sporo,

powiedzmy — dwadzieścia...

— W 1986 roku zebrało się

tego bodaj 49.

— Niemożliwe! Aż tyle?!

— Chwilkę, mam tu aktual-

ny cennik, zaraz zerknę. O,

proszę — wymienia się 178

gatunków trunków. Wódek,

spirytusów, likierów, leżaków,

aperitifów.

— To piękny wynik! A

których gatunków robicie naj-

więcej?

— Niestety, wciąż jest naj-

większe zapotrzebowanie na

wódkę białą i mocną, przede

wszystkim — stołową. To pra-

wie połowa naszej produkcji.

A tak na marginesie: stołowa

to jota w jotę ta sama wódka

co... wistula, różniły się tylko

etykieta. Stołowa idzie jak

woda, a wistula nie produkuje-

jemy, była powszechnie kryty-

kowana, że niby „niedobra”.

— Skoro mamy cennik, po-

proszę o parę ciekawostek. Na

Leonard: „Upiór”

(4)

Akcja powieści „Upiór” rozgrywa się w przededniu inwazji aliantów we Francji. Rozgrywa się po obu stronach kanału La Manche wśród żołnierzy Wehrmachtu, wojsk alianckich i ludzi ruchu oporu. Akcja tej powieści toczy się też na Pomorzu Zachodnim, skąd pochodzi jeden z bohaterów. Mowa jest o tym w drugim fragmencie rozdziału: „Rodzinny dom” (przedruk w całości lub fragmentach zastrzeżony)

Polizeiemeister Emmerich krążył nerwowo z kąta w kąt swego gabinetu. Nastraszony, z pochyloną do przodu głową przypominał byka szycującego się do szarży na toradora. Była niedziela, godzina jedenasta przed południem. Zgodnie z ustaleniami za piętnaście minut ma wyruszyć do akcji. Na czele wachmanów swego rewiru, a nie całoci operacji, jak wedle sprawiedliwości być powinno; uważał się za potwornie wykołowanego.

Obok telefonu leżały jego hełm, pistolet maszynowy i czarne skórzane rękawice. Z otwartych garaży na placu dochodził rytmiczny warkot rozgrzanych silników. Drażniła go praca stojącego w miejscu samochodu (...).

— Wszystko zapięte na ostatni guzik — rzekł do siebie. Przemówił nie po to, aby się upewnić, czy tak jest rzeczywiście. Przygotowania plutonu do akcji przeprowadzono zgodnie z JEHO zarządzeniami, nic więc nawalić nie mogło! Drażniła go cięza, dlatego przerwał milczenie.

Siedzący w kącie hauptwachmeister Gilse skinął głową. Nawet w hełmie na głowie wyglądał jak pękata kukła, a nie wyższy podoficer policji wyściekający na rozpoczęcie poważnej akcji.

Hauptwachmeister Gilse grał mu na nerwach swoim wyglądem, małomównością, beznamiętnością, wszystkim. Jak coś takiego mogło być do stopnia hauptwachmeistera, tego Emmerich nie mógł nigdy zrozumieć.

— Trochę mało ciężarów — sapnął przytupiając przy planie kościoła przypiętym szpilkami do mapy rewiru. — To może ograniczyć nasze możliwości, nie myśli pan?

Gilse przytaknął ze swego stołka. Po chwili posagowywania padło z jego ust jedno, uniwersalne w języku niemieckim słowo:

— Oczywiście... — Oznaczało ono tym razem, że ciężarów nie było na jego głowie i go nie nie obchodzi. On przygotował wachmanów i wykaz nazwisk. W dzielnicę mieszkała dwa tysiące krzyżów pięćdziesiąt matek, siostr i narzeczonych Polaków, którzy nie zgodzili się dotąd na przyjęcie Niemieckiej Listy Narodziwości. O to postarał się dowodzący całocią akcji, którym zainowował się sam szef miejscowego gestapa, sturmbannführer Reinhardt Leiding.

— Wiem! — warknął Emmerich, który wiedział myślał o tej samej osobie.

Z niesmakiem myślał. Pomysł przedstawiał swemu przełożonemu, szefowi Prezydium Policji. Ten — jak było do przewidzenia — pobiegł z nim do gestapa. Jako że swoim Poczcie przesłano wielkie dzieło wróciło stamtąd w postaci rozkazu przygotowania się do przeprowadzenia akcji pod kryptonimem „K” — jak kobieta.

Z rozkazami Emmerich nie dyskutował. Mógł o nich mieć własne, głęboko w duszy ukryte zdanie, ale nie dyskutował.

— Nie nasza rzecz. Do nas należy obchodzić wyjścia, odcodzić to było i zapakować na woz. Jeśli znajdzie potrzeba, kierować będą sawraci. Kropka!

Hauptwachmeister Gilse nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Wakazówka zegara przesunęła się zaledwie o pięć minut. Z dołu dalej dochodził odgłos pracujących silników. Hełm, pistolet maszynowy i czarne rękawice leżały na blurku. Stuchawka spoczywała na widelkach. Telefon milczał. Przekłety telefon!

— I jeszcze raz przypominać o ostrożności — powiedział Emmerich. — Kościół mieści pięć tysięcy ludzi. W tak wielkim stanie może się trafić niedźwiedź szerszeń.

Niepotrzebnie to powiedział. Rozgadał się jak stara baba, zamiast czekać i milczeć — mógłby się za to kopnąć w tyłek. Głupi Gilse gotów posiadać go o nerwy. Zawrócił energicznie od okna wychodzącego na część mieszkaniową dzielnicy.

Po raz setny przeleciał w myślach szczegóły akcji. Uroczysta suma z wystawieniem Przenajświętszego Sakramentu skończy się o jedenastej czterdzięci pięć. Punktualnie dziesięć minut przed zakończeniem zjazdu się wytypowane do akcji oddziały policji i SS, zaryglują pierścieniem świątyni i obsadzą wyjścia. Cywilni funkcjonariusze policji i gestapo, znajdujący się w tłumie, dopilnują porządku wewnątrz świątyni; sekretne przejścia podziemne zbudowane jeszcze przez Krzyżaków zostały w nocy zablokowane. Bazylika pod wezwaniem Najświętszej Panny Marii ma dla wiernych dwa wyjścia na przyległe ulice i dwa na rynek, oprócz tego jedno dla służby kościelnej i jedno połączone z plebanią dla księży. Jego pluton obsadza wyjścia główne i na plebanie. Główne bierze wachmeister Kernwasser, plebanię — Gilse, on czuwa nad obydwojema. W porządku. Teraz tylko zaczynać.

Pogoda dopisała jak na zamówienie. Wczoraj w południe przestało padać. Niebo szybko się przetrzało i nawet zajaśniało przed zapadnięciem zmroku. Wczoraj i noc były zimne, ale nie mroźne — pewna zapowiedź pogodnego dnia. I taki od samego rana nastał. Piękny i dość ciepły, jak na tę porę roku, powinien wypędzić ludzi z domów.

Rozmyślania jego przerwał dzwonek telefonu.

Jednym susem doskoczył do aparatu.

— Polizeiemeister Emmerich! — zameldował się.

Stuchając pierwszych słów zblił jak kreda. Zamiast szefa Prezydium Policji, który bardzo nie lubił, gdy dawano mu czekać przy telefonie, w słuchawce rozległ się głos jego żony. Coś nieprawdopodobnego! On chodził jak na igłach, medytując, szuka przyszłowiej diurny w całym, aby broń Boże niczego nie przegapić, a to bydlę pyta, na którą godzinę ma przygotować obiad!

— Wsadź sobie w dupę swoje zasrane żarcie! — krzyknął doprowadzony do ostateczności i wyrzucił słuchawkę w widelki aparatu.

Mógłby z nerwów eksplodować. Głupia, cholerna, śmieszka, rozlazła, obrzydliwa, przeklęta krowa! Tu sprawy państwowe, a to o żarcie... Jezu, co za ptasi umysł! Czy te piekle nie nigdy nie nabiorą rozumu?

Telefon zadzwonił ponownie — typowe dla Emmy. Gdy nie otrzymywała jednoznacznej odpowiedzi, potrafiła dzwonić do zniecierpliwienia, głucha jak pień na jego krzyki. Przeklęta!

Telefon nie ustępował. Żona najwyraźniej uświadziła się na niego. Kpiła sobie z jego poważnego stanowiska i jeszcze poważniejszego zadania. I z jego nerwów.

— Doskoczył do biurka.

— Do najjaśniejszej cholery, czego jeszcze?

Ledwie jego ryk przebrzmiał, wyprężył się jak struna.

— Przepraszam — Głos z ciemnego przemodulował na służbowo oddany. — Polizeiemeister Emmerich melduje się przy aparacie! Tak jest, Herr Major! — Trzasnął obcasami. — Rozkaz, Herr Major!

Rzucił słuchawkę na widelki.

— Hauptwachmeister Gilse — zakomenderował — do wozów!

Pani Emma wybiegła do przedpokoju. Jeszcze w jadalni zawolała niecierpliwie:

— Czy to ty, Gustaw?

To był jej Gustaw. Naburmuszony jak góra złoci, ale jej...

Odepchnął ją od drzwi.

— Czy to ja? — przedrzeźnił żonę. — Dwadzieścia pięć lat przychodzę w ten sam sposób, a ta zawsze jednakowo. Co jest na obiad?

Atak męża pani Emma przyjęła w pokornym milczeniu. Ciężko dochodził zstąpiła, sama w mieszkaniu jak ten palec, a czy to dzisiaj wiadomo — rozgrzeszyła się z troski o niego. — Podobno nie poszło gładko — powiedziała zafasowana. — Czy to prawda, że była strzelanina? Powiedz, Gustaw, była?

Nie liczyła na odpowiedź. Kiedy mąż wracał zdenerwowany, lepiej było zostawić go samego. Podreptała do kuchni.

Emmerich długo stał przed wieszakami i wazył coś w myś-

lach, zanim zdjął płaszcz i udał się do łazienki. Oblał głowę zimną wodą, wytarł się dobrze ręcznikiem, podczesał włosy i waga, potem zrobił długie siusu i przetrzymywał przez nieoczekiwany rozwój wydarzeń popołudniową kupkę. Pani Emma tymczasem podkręcała gaz w piekarniku, zmieniła obrus na stole, zastawiła podwójne talerze, dużą łyżkę, małą, noż i widelec, zdążyła jeszcze zamieszać w garnku i teraz warowała na meża w otwartych drzwiach. — Czy to prawda? — dowiadywała się swoim zwyczajem.

— Gówno cię to obchodzi! — odburknął lodowato Emmerich i wchodził się do kuchni. Pociągnął nosem. — Co upitrasiaś?

— Zaraz będzie rosół z makaronem, a jak zjesz, to podam ci drugie. Należę ci dużo makaronu i dobrze przyprawię pietruszką. Dostałam od ogrodnika trzy duże pęczki. Całe trzy, Gustawku. Ogrodnik wie, że lubisz pietruszkę, i powiedział...

— Mam w dupie twego ogrodnika i to, co powiedział. Co jest na drugie?

— Najpierw zjesz talerz gorącego rosółu z pietruszką i makaronem własnej roboty; wbiłam w niego cztery jajka... Gorący rosół z takim makaronem dobrze ci zrobi. Potem dostaniesz pieczonego królika. Zrobiłam go na krucho. Tak jak lubisz, Gustawku.

Pierwszy głód Emmerich zaspokoił szubalnym talerzem rosółu, potem zabrał się do pieczywego. Czuli się przeraźliwie głodni, mógłby jeść i jeść bez końca. Spalaszował z apetytem udka, grzbiety i przednie łapki królika, dołożył sobie dwa razy kartofli i buraczków z chrzanem, polał to dobrze sosem. Pani Emma przyglądała się temu z nabożeństwem zadowolonej ze swej pracy gospodyni. Gdy mąż siadł do stołu, stawała z boku i czuwała, aby mu nie nie brakowało. Przywyczała tego nabrała od pierwszych dni ich wspólnego pożycia. Jej matka, gdy ojciec jadł, też tak stawała, matka matki również i chyba tak było od stworzenia świata. Zresztą nigdy się nad tym nie zastanawiała. Żona z mężem stanowiła jedność — tak powiedziano im podczas ślubu i tak ma być. A czy jedność ta oznacza równość praw i obowiązków, nie odważyłaby się o tym nawet pomyśleć. Jeśli małżeństwo swoje — jeszcze w czasach pogodnego ćwierkania — przyrównywała niekiedy do pary koni ciągnących ten sam wóz, to w parze: Gustaw-Emma, ona spełniała ro-

lę konia, a on wóznicy. Z tegoż batem w garści, którego, gdy wóz stawał, nie żałował jej. Ale nie skarkyla się na swój los. Mąż jest przez Boga przeznaczony. Wybór małżonka, chociaż brały w tym udział jej własne, bardzo prozaiczne pociągnięcia, przypisywała również Najwyższemu i godziła się z wolą swego doczesnego pana bez rezerwy. Wszak przysięgała nie opuścić go w złym czy dobrym i stać przy jego boku wiernie aż do śmierci. Stać posłusznie.

Obserwując, jak ja, starała się odgadnąć jego nastroj. Znała męża. Kiedy wracał do domu naburmuszony i oblawał głowę zimną wodą, nie oznaczało to nic dobrego. Głośne siorbanie rosółu, polikanie całych kęsów mięsa, jedzenie kartofli nożem, łamanie w rękach kości i łapczywe asanie szpiku były złyimi oznakami. Coś grubo musiało rozminąć się z planem. Bardzo grubo. Nastraszony do tego wąż i nieprzystępna mina potwierdzały to jeszcze.

Usunęła cicho opróżnione naczynia i podała pudding waniliowy polany sokiem winiowym. Na zakończenie obiadu postawiła rarytas — filiżankę prawdziwej kawy, a na otarcie ust — bułeczkę wódkę.

Sama nalala stugramowy kielich i podsunęła go mężowi pod brode.

— Mój Boże — zaczęła współczująco — że też tyle skupia się na twojej błędnej głowie. I co teraz, Gustaw?

Emmerich właśnie nad tym rozmyślał i sam stawał sobie to pytanie. — Nie — wzruszył ramionami. — Nic.

Pani Emma chwyciła się tego jak nici prowadzącej do kłębka.

— Ależ, Gustaw, tak mówisz...

— Mówię, bo wiem, co mówię: rzecz się przynajmniej wykładowa i odtąd nie będziemy mieli złudzeń, gdzie jesteśmy. Siedzimy na dynamicie — stwierdził Emmerich pośpiesznie. — Jesteśmy otoczeni zgrają dzikich bestii, gotowych rzucić się nam do gardła przy pierwszej lepszej okazji — o to. Przyszliśmy tutaj z najlepszymi zamiarami. Przyszliśmy z sercem na dłoni i mieliśmy prawo oczekiwać takiego samego stosunku do nas ze strony tego motłochu. I doczekaliśmy się. Gilse zabij.

Pani Emma wzniósła ręce ku niebu.

— Jezu, Gilse!

— Tak jest, Gilse. Porządnym, z kośćmi porządnym człowiekiem, szanowanym obywatelem i wzorowym funkcjonariuszem policji Gilse nie żyje!

Pani Emmie zakreśliło się w głowie. Gilse nie żyje... Zabity... Jeszcze wczoraj widziała go. Przyszedł, zapukał do drzwi, jak to zawsze on, i zanim wszedł do środka, długo wycierał buty; taki porządny człowiek. I teraz nie żyje. — Jezu, jak mogłeś! — ubolewała.

Emmerich uderzył pięścią w stół.

— Przestań mamrotać! Mogłeś, nie mogłeś, stało się! Był na służbie i stało się. Teraz trzeba myśleć, co dalej. Kernwasser i dwóch aspirantów z mojego plutonu oberwało porządnie. Zraniono również trzech SS-manów i poturbowano funkcjonariusza gestapo. Tego Leiding nie przepuścił płazem. Poleje się krew. Szeroko się poleje, zobaczysz.

— Ale jak do tego doszło? — chciała wiedzieć pani Emma. — Przecież to było pod kościołem...

— Dla tych dzikusów nie ma świętych miejsc. Nasza akcja nie miała na celu nic złego. Zamierzaliśmy przytrzymać na jakiś czas kobiety i po podpisaniu przez ich mężów listy puściłbyśmy wszystkie — zwykła taktyczna zagrywka. Ale ci bandyci odpowiedzieli ogniem. Teraz pójdziesz ząb za ząb, Leiding wzięt w swoje ręce. A kiedy on się do czegoś zabiera...

— Leiding — wymamrotała przerażona pani Emma. Tyle się o nim nasłuchiwała, że chociaż nie zagrażał jej osobiście, na sam dźwięk jego nazwiska mdliło ją w dółku.

— Tak jest, Leiding. Zapowiedział powieszenie stu osób. Jutro, — Boże! — jęknęła. Powieszenie dwudziestu pięciu wydało się jej surową karą za kilka garści psianki wrzuconych do jakichś tam form odwiecznych. A tu aż sto...

Pani Emma nie znała się na miarkach stosowanych przez wojnę. (...).

— Dużo — zmartwiła się szczerze. — Czy aby nie za dużo, Gustaw?

— Nie! — zaprzeczył surowo Emmerich. — Uderzenie musi być brutalne. Musi przerażać, inaczej nic z tego nie będzie. Nie możemy pozwolić na strzelanie do nas po kościołach, do czego by doszło?

Na twarzy pani Emmy malowało się dalej wątplenie. Sto osób — próbowała wyobrazić sobie na przykładzie kolejek przed sklepami — to długa kolejka. I taki wąż ludzi przy samym

wejściu do sklepu odciąć, odprowadzić gdzieś na bok i zacząć wieszać...

Słuszność decyzji i odnoszenie jej do Polaków nie zmniejszały wrażeń; ostatecznie to też ludzie, przyznawała w duchu. — Mój Boże! — zaciągnęła bezradnie. — Co też oni z nami, biednymi, tu wyrabiają.

Naraz przyszła jej do głowy okropna wizja; zamiast nieszczęsnego Gilsego, ujrzała na marach swego Gustawa...

— Nie! — zaprotestowała. Dotknęła szerokości pleców męża. — Nie można pozwolić, masz rację. W końcu doszłoby do tego, że człowiek nie czuły się bezpiecznie nawet w domu. W żadnym wypadku nie można.

Postawiła drugi kieliszek, napełniła oba i solidarnie z mężem wypila. (...).

Okropna liczba. Przeokropna. Ale jeżeli rzeczywiście potrzebna...

— Mój ty Panie, nie się ostatecznie nie dzieje bez twojej woli — pogodziła się z nią. Potem jednym tchem opróżniła kieliszek.

Poczuła się lepiej i bliżej męża. Świnstwo straszne ta wódka, ale pomaga. Małżonek pani Emmy spojrział agresywnie na butelkę. Jeszcze nie wiedział, jak skutki jego pomysłu zostaną ocenione i czy obecnie Prezydium Policji nie zechce przypisać nieudanej akcji jej pomysłodawcy. Wątpliwości przechyliły się na niekorzyść butelki. Nagle przypomniał sobie o córce.

— A gdzie wódcę się Irmgard? — zapytał wojowniczo i rozjeżdżał się po kuchni, jak gdyby ta ukryła się przed nim w szufladzie albo w jakimś garnku.

Pani Emma nigdy tego nie wiedziała. Gdzie się wódcę? A skąd ona ma wiedzieć, skoro w tym domu nikt się z nią nie liczy. Na szczęście dla siebie usłyszała chrobot otwieranych drzwi wejściowych. — A właśnie! — wykrzyknęła i zadowolona pobiegła do przedpokoju. — O wilku mowa, a wilk...

Irmgard wpadła do mieszkania jak burza, już od progu zapytała o ojca.

Papa Emmerich wytarł zmoczonego wódką waga. Przywitał córkę ciepłym uśmiechem. — A czego to moja Irm sobie życzy od swego ojca?

— Poczuli się lepiej, — Poczuli się lepiej, nie tak osamotnieni w swojej rozterce. A jednak jest ktoś, komu jego los nie jest obojętny.

Jego dorodna Irm, w rozpiętym służbowym płaszczu, z beretem w dłoni, zatrzymała się w wejściu do kuchni. Oddychała ciężko. Jej błyszczące oczy przeszły go. — A więc jesteś — wydobyła z siebie zdyszana.

Przyjemnie go tym zaskoczyła. Irmgard nigdy nie okazywała mu nadmiaru czułości, nie oczekiwał, aby tak drżała o jego życie. — Jestem — przyznał skromnie. — To nie mnie dostali, moja córko. Nie dorosli do tego, rozumiesz. Gilsego dostali.

— Ach, Gilsego... I kogo jeszcze?

— Nikogo. Poza nim mamy czterech rannych i jednego poturbowanego. Ale wylili się i będą w porządku. Nasi ludzie nie są z cukru, nie rozpuszczają się tak łatwo.

— Toście się spisałi nie najgorzej. A tamci?

Emmerich podkręcił waga.

— Mimo oporu zapakowaliśmy coś z osiemset bab. Nie udało się im rozzerwać pierścienia. Próbowali, sukinyśny. Niezgorzej próbowali, ale z czym do gości...

— Dużo ich to kosztowało? — dowiadywała się Irmgard matowym głosem.

— Około trzydziestki zabitych na miejscu. Ale to nie wszystko, Leiding zapowiedział represje. Jutro w odwecie powiesi się sto osób. Siedemdziesiąciu pięciu mężczyzn i dwadzieścia pięć kobiet. Wybierz się z tej listy.

Udał się do przedpokoju i przyniósł spisany na maszynie, alfabetyczny wykaz schwytanych w łapanie osób, umieszczonych do dyspozycji gestapo w starych foratach za miastem. Irmgard wzięła papier do ręki. Czterostonicowy wykaz ujmował osobno mężczyzn i osobno kobiety. Podawał daty ich urodzenia, imiona rodziców, stan cywilny, miejsce zamieszkania i zawód. Przy większych nazwiskach o pochodzeniu inteligentnym widniał atramentem zrobiony krzyżyk.

— To właśnie ci — pokazał palcem Emmerich. — Mają już szykować gardła...

Irmgard odepchnęła jego rękę i wzrokiem zatrzymała się na literze „B”. Kolumna nazwisk zaczynających się od tej litery obejmowała dwadzieścia trzy kobiety i jedenastu mężczyzn. Na drugim miejscu od góry zauważyła: „Katarzyna-Barczewska”. I krzyżyk. To samo nazwisko z krzyżykiem otwierało kolumnę mężczyzn.

Przeczytała obie kolumny od góry do dołu. Jej czoło zrosiło się drobniutkimi kropelkami potu.

— Czy ty wiesz — spytała drętwo trzymając palec przy nazwisku Barczewskiej — kto to jest?

— A co mnie to obchodzi! — szarpnął się Emmerich i wcale nieobojętnie spojrział na córkę. Nie podobał mu się głos, jakim stawiała pytanie. Bardzo mu się nie podobał.

— Masz mi odpowiedzieć, czy wiesz, do kogo należy to nazwisko?

— Jak ty się zachowujesz! — fuknął Emmerich. — Pewnie jakiś gach cię wykiwał i dlatego tak podskakujesz, wypraszam to sobie!

Pani Emma też nie rozumiała zachowania córki. Wpada jak burza, patrzy na ojca dzikim wzrokiem i pozwala sobie na pomaganie jego ręką. Tego już za dużo! Stanela po stronie małżonka. — Jak ojciec ma nie wiedzieć, kiedy sam zestawiał listę.

Irmgard ominęła ją jak zaraze. Podeszła do stołu i prosto z butelki pociągnęła duży haust. Zakrzyknęła się. — Ach to taki Sam ja zestawiał... A czy ty wiesz, kim są Barczewscy?

Emmerich miał tego dość.

— Co mnie obchodzi jakieś nazwisko, głupia! Służba jest służbą, rozumiesz!

— To wobec tego ja ci powiem. — Irmgard podskoczyła do niego z oczami furiałki. — Płkna Fräulein Katharine, do której podlizywałeś się u Borów, nazywa się Barczewska... Człowiek, pierwszy na liście mężczyzn, jest jej bratem... Czy to również ty namalowałaś te krzyże?

Nagle wrzasnęła histerycznie: — Ty świno parszywa! Tchórz! Wstrętny, ohydny! Nie będzie powieszonych sto osób! Zawiśnie sto jedna, a tym dodatkowym będzieś ty! Przysięgam ci do Albo Barczewscy zostaną niezwłocznie zwolnieni! Albo Leiding jeszcze dziś dowie się o przywłaszczeniu przez ciebie futer z ziółkami dla frontu wojennego... Zawieśniesz na haku rzeźniczym jak świnią Wybraja!

Pani Emma struchlała. Zamknęła drzwi do kuchni.

— Boże drogi, dziecko, co ty wygadujesz! Jeszcze kto usłyszy.

Rzuciła się przed oszalałego męża. — Gustaw, nie bij jej, ona nie ma nic złego na myśli! — Zasłoniła sobą córkę. — Irma, powiedz, że nie nie myślałaś. Przepraszaj ojca.

Była gotowa zrobić to sama; Gustaw w złości był taki nieobliczalny. Ale w Irmgard wstąpił dziś diabeł. Odepchnęła matkę i podstała twarz pod podniesioną pięść rodygotanego ojca.

— Błł, tchórz! — syknęła nieprzytomnie. — Albo Barczewscy jeszcze dzisiaj znajdują się w domu, albo zabij, bo inaczej zadynasz. Przysięgam ci, zadynasz, ty wstrętny zbrodniarzu!

C.D.N.

Obserwacje

TO SIĘ NAM NIE PODOBAI

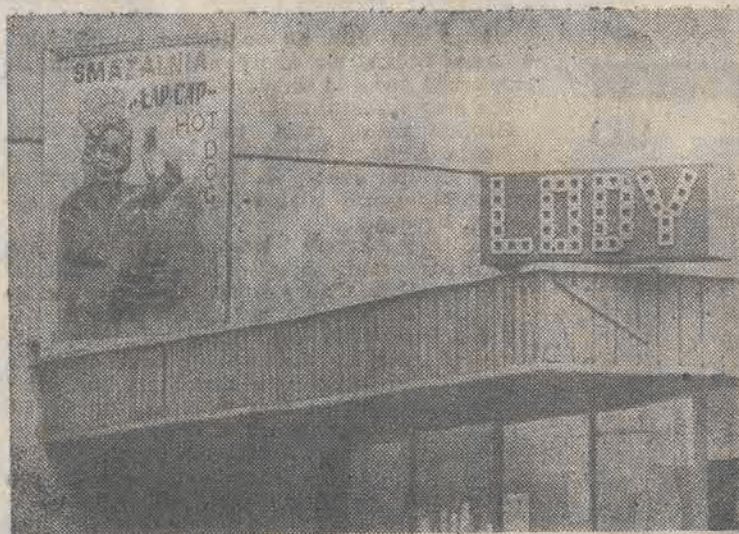


Foto: Grzegorz Golański

Wiem, że potrzebujemy reklamy. Popieramy. Ale niech to będzie ładne. Czyli nie wstydy, aby w Łodzi, w mieście gdzie są dwie szkoły plastyczne, liceum i szkoła wyższa, na bądź co bądź przynajmniej jednej z ulic Piotrkowskiej wisiało takie szkaradstwo? Może by się tym zainteresował miejski plastyk?

KOMU TO PRZESZKADZA?

Na murach wielu portierni pojawiły się kolorowe tablice z przekreślonym aparatem fotograficznym i napisem: „Zakaz fotografowania”. Często taki zakaz widnieje na zabytkowym murze, który nie stanowi żadnej wojskowej tajemnicy. Czy trochę nie są dużo tych zakazów? I kto je wydaje? Na jakiej też podstawie? Bylibyśmy wdzięczni, gdyby kompetentna osoba zechciała to nam wyjaśnić.

PO MASŁO DO NOWEJ ZELANDII

Telewizyjny „Tygodnik Gospodarczy” jest audycją ciekawą i godną polecenia. Okazuje się, że o tak skomplikowanych sprawach jak gospodarka można mówić i można je pokazywać ciekawie i bulwersująco. Można pobudzać ludzi do myślenia, a o to powinno nam chodzić przede wszystkim. „Tygodnik Gospodarczy” pokazał więc rzecz zadziwiającą — wyjazd do importu masła. Przede wszystkim zadziwienie musi budzić sam fakt, że musimy importować masło. Ale to inna sprawa, chociaż warto pamiętać, że niegdyś przez Polskę płynęła rzeka mleka. Bardziej bulwersujące jest to, że załatwienie 60 tysięcy ton masła musi trwać w Nowej Zelandii aż... dwa tygodnie.

„Tygodnik Gospodarczy” pokazał też, że w Warszawie dopłaca się do gastronomii i dlańców. Tak więc jadąc do stolicy i bawiąc się po załatwieniu spraw służbowych — jak to na delegacji — czerpiemy hojną ręką z miejskiej kasy. A jak to jest gdzie indziej?

STRAŻACKI WÓZ BOJOWY PRZED BAREM

W pierwszy dzień świąt Wielkiejjocny roku 1887 w mieście Uniejowie około południa przed jedynym otwartym tego dnia barem „Srodborze” pojawił się wóz bojowy straży pożarnej, z którego wypadło kilku mężczyzn, ale nie w strojach bojowych, wpadło biegiem do baru, nabyło piwny w szklanych pojemnikach zwanych butelkami, wsiadło do samochodu i odjechało. Mamy nadzieję, że nie pojechali gasić pożaru, bo to nie ten piwny. Chyba że pojechali gasić... pragnienie.

NAJCIEMNIEJ POD LATARNIA

W Łodzi dwukrotnie dokonano włamania do magazynu Urzędu Celnego przy al. Włókna. Włamywaczami okazali się chłopcy w wieku 13—15 lat. Najpierw wzięli koreański radio-magnetofon, a następnie zegarki elektroniczne i kasety wideo o wartości co najmniej pół miliona. Młodocianych włamywaczy wzięli milicjanci przy pomocy kolejarza.

Zdziwienie musi budzić fakt, że magazyn Urzędu Celnego kryjący milionowe wartości skonfiskowane bogactwa nie był strzeżony. Chłopcy najpierw wybili okno, a następnie... dsieru w murze. Widać celniczy doszedł do wniosku, że sam ich widok budzi w ludziach taki strach, że nikomu nie przyjdzie do głowy, aby okraść magazyn Urzędu Celnego. A chłopcom przyszło. I teraz nie wiadomo, śmiać się czy płakać nad tym faktem?

WYRAZY PODZIĘKOWANIA

Telewizji należą się wyrazy podziękowania, że już skończył się nudny, nieciekawny i wręcz zły serial osnuty na motywach powieści Henryka Sienkiewicza „Quo vadis?”. Wprawdzie to nie zasługa telewizji, ale reżysera, że nakręcił tylko tyle odcinków. Dobre jednak i to.

KLASYFIKACJE

„Życie Warszawy” w rubryce: „Bestsellery „Życia” książkę Zbigniewa Nienackiego „Wielki las” zakwalifikowało do działu: „Czytadla”, opatrząc ten fakt sympatycznym dla autora i książki komentarzem. PIW — wydawca „Wielkiego lasu” — był wdzięczny, gdyż wydał książkę tylko w nakładzie 20 tysięcy egzemplarzy. Trzeba będzie chyba dodrukować?

Natomiast sensacja nie tylko literacką użarła „Życie Warszawy” wydać pośmiertnie kolejny tom z cyklu „Pół wieku” Jerzego Putramenta: „Sierpień”. Jeśli to istotnie wydarzenie nie tylko literackie, to chyba znów Czytelnik nie ocenił wydawane dzieło i wydał je w nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy.

Ostatnio wydawcy i księgarze boją się ryzyka, gdyż — jak wiecie nieszczęśliwie — w „Składnicy Księgarskiej” ponoć pełno książek, pełno ich w księgarniach i stąd ta ostrożność. Ale książek, które faktycznie są wydarzeniami na półkach i ładach księgarskich nie uświadczy. Więc jak to jest z tym ryzykiem i rozważaniem?

P. TRELINEK

1

Co kto lubi?

Do własnych opinii przywiązujemy się bardzo. Cudze wydają się absurdalne, śmieszne, trytytaje. O cudzych gustach, poglądach, upodobaniach wypowiadamy się zwykle stanowczo: — Jak można się tak ubrać? Komu się może taki film podobać? Co on w niej widzi? Co też ci strzeliło do głowy?!

Naturalne przywiązanie do własnych sądów nie zobowiązuje wprowadzić do pełnej oryginalności w osądzaniu, ale przynajmniej — przeciwnie — nudnemu ujednoliceniu opinii. Wprawdzie czasem trzeba mieć w jakiejś sprawie opinię wspólną, ale słusznie jest dojść do niej oglądając rzecz opinio-owaną o różnych stron, więc też i porównując, zestawiając różne opinie. Trzeba gdzieś ułokować osiedlowy śmietnik, pokryć niedobór, zagospodarować nadwyżkę, zbudować albo zburzyć... i bez wspólnej opinii obcy się trudno. Próby były, ale efekty dawały nie najlepsze a w każdym razie nie zawsze dobre.

Czy jednak możliwe jest w ogóle dojście do uzgodnień? Odnosi się wrażenie, że tak. Słychać na przykład często zgodne opinie, że nauczyciele i lekarze powinni być tylko bardzo dobrzy, że bardzo dobrzy specjaliści powinni być bardzo dobrze opłacani, że funkcje kierownicze powinny się powierzać najsprawniejszym, najuczciwszym. Zdaje się, że lista mogłaby być bardzo długa. Aż dziw, że tyle się przeciw opinii publicznej dzieje. Wystarczy, że ktoś już nie kierownik, ale byłby stojkowym przy jakichkolwiek drzwiach zostaje, już z tego profit mieć musi.

Lekarz powinien oczywiście dobrze zarabiać po studiach długich i trudnych, za pracę trudną i niebezpieczną i dlatego, żeby ten zawód przyciągał najlepszych, najodporniejszych spośród przydatnych i dla wielu jeszcze powodów. Niech zarabia, byle nie tyle, co Kali, bo Kali jest fachowcem i pracuje jeszcze ciężiej. I tak jest zwykle. Inwestować trzeba mądrze, to znaczy u nas. Trzeba oszczędzać, to u nich. Najlepsze miejsce na przystanek tramwajowy jest koło naszego domu. Ceny najlepiej podwyższać na to, czego nie lubimy. Godziny urzędowania muszą być ściśle przestrzegane, żeby człowiek nie czekał długo, kiedy na chwilę wykończy pracę, żeby coś załatwić. Prawo musi być surowe dla innych, dla nas pobłażliwe. Krytyka prasowa ostra, ale daleka od oszczerstw i pomówień, gdy idzie o nas, bo my tu w pocie czoła wykonujemy i przekraczamy. Pracować trzeba ofiarnie, rzetelnie we wszystkich sferach kooperujących, wtedy i my będziemy szyli spódnice z dwiema nogawicami i przyklejili spody do butów kłosem.

Ta prawidłowość dawno dostrzegana uprawia nas ciągle w zakłopotanie. Niektórym się nawet zdaje, że jest to jakiś stan choroby nie do przezwyciężenia. Rodzaj rozwojenia jaźni. Przed biurkiem jest się kim innym, za biurkiem kim innym, w kłidu i bez, w mundurze i w garniturze, na stołku i po zdjęciu, jako maszynista i jako pasażer. Niektórzy twierdzą, że to narodo-owa specyfika, inni, że się to w ustroju w szczególny sposób wiąże, ale jedno i drugie nieprawda. Nie ma kontyentu (sprawiedliwie — chyba wy-jawczy Antarktyde), gdzie by się nie trafiał nawołujący do ubóstwa kapłan opływający w dostatki, policjanci — gangsterzy, handlarze — złodzieje, skorumpowani urzędnicy. Zgroza.

Warto sobie przede wszystkim uświadomić, że dla nas zapanowanie nad tym rozwojeniem jaźni ważne jest nie tylko dlatego, żeśmy sobie program sprawiedliwości społecznej przykleili, ale i dlatego między innymi, że żyjąc w kraju średniozamożnym łatwiej odczuwamy skutki nie-uczciwości, marności, szach-

rajstw, a nawet zwykłej nie-uczciwości. Niedostatki wystawiają też może więcej ludzi na próbę, choć to nie jest u-sprawiedliwienie.

Uświadomienie sobie tego uważnia od poszukiwania nadzwyczajnych środków przeciwdziałania. Dużo czasu i siły oszczędzi też zaprzestanie zabawy w „lajaj słodziej”. Wbrew pozorom korzystniejsza jest zabawa w „sami swod”. Wyszukiwanie kolejnych nieposzlakowanych, którzy dopinają uczciwego podziału papieru toaletowego, działek leśnikowych, miejsc na wczasy zagraniczne, jest coraz kłopotliwsze. Przyjęcie do wiadomości, że i kontrole-rzy mają swoje potrzeby nie obezwładnia wcale, lecz każe szukać innych rozwiązań, niż tworzenie kolejnych instytucji kontrolnych. Każde też trakto-wać ich z ograniczonym zaufaniem, ośmiela. Kolejów kon-trolujących zwalnia od obo-wiązku bronięcia honoru gru-py powołanej do przestrzega-nia zasad, tuszowania, ukry-wania afer. Nie chorobliwa podejrzliwość, ale świadomość potencjalnego zagrożenia po-zwała w porę spokojnie reago-wać na nieuczciwość, a nawet jej zapobiegać. Choćby dlate-go, że ograniczenie zaufania działa powściągająco.

Przyjęcie do wiadomości, że nie wszystko da się podzielić równo może również przynieść ulgę. Trzeba się po prostu rozszarpać i uczciwie zastano-wić nad tym, co komu? Ta-kich reguł nie należałoby zmieniać w zależności od u-podobań przygodnych arbi-trów, układników kumplo-wskich, od chwilowych koni-ktur. Skoro nie zawsze można sobie pozwolić na to, co kto lubi, a czasem nawet i na to, co komu potrzebne, niechże będzie chociaż tak, żeby de-cyzje nie były zaskakujące. Wbrew pozorom daje się w trudnych sprawach uzgodnić opinie. Mimo naturalnych egoistycznych odruchów.

KAZIMIERZ
MICHALEWSKI

2

Przerwa śniadaniowa

Samobójcza śmierć labedzia

Wasechwiędzy pan Dare-šek przeknął kęs chleba z serem i przerwał ciszę: — Majemy, tygodnik „Odgłosy” będzie znów komuś fundował doroczną nagrodę. Jak pan sądzi, panie Zenku, kto w tym roku się załapie?

Pan Zenek był trochę zakłopotany. Jako zastępca kierow-nika nie mógł wygłaszać sądów ekstremałnych i ryzykownych. Po chwili namysłu wykrztusił wreszcie: — Tego tam, uważam, że nagroda, którą przy-szaje się za upowszechnianie kultury powinna być wręczona komuś poważnemu, prawdę, odpowiedzialnemu, na przykład dyrektorowi Wydziału Kultury albo jednemu z artystów znako-mitemu...

— Mam! Nagrodę powinien dostać pan artysta Monerka, co w serialu „Fanfan Tullpan” występował! Tak! Przystojny, że aż ciarki po grzbiecie chodzą, panna Kalinka po wygłoszeniu tej kwestii zaszczepiła się jak zwykle tylko jeszcze mocniej, aż jej okulary zaszy mgłą.

— Po pierwsza, panno Kalin-ko, to nie śladowa Fanfan. Fanfan to był artysta francuski i pa-nienko, jak zwykle, wszystko się pokłóciło, dajmy na to. Po drugie, to artysta Monerka nie-jaki jest obywatелем szeszo-słowackim i niech mu Czeu-czesku daję nagrody. Po trzecie wreszcie, to on jest, dajmy na to, oszust matrymonialny i je-dnostka aspołeczna, a także margines i pasażer, uchylający się od pracy. Dobrze mówię pa-nie Zenku? Jeśli o artystów chodzi, to ja widzę tylko kan-dydaturę pani Szapolskiej albo pani Figury. Uznaję, że chyba nie potrzebuję... Co pan na to, panie Heniu?

Henio westchnął i mrknął: — Ja podziwiam, panie Darešek,

ku, pański gust artystyczny, że się tak wyrażę. Jednakowoż nie mogę się zgodzić co do tak zwanego meritum, czyli sedna sprawy. Ja, jako wielbi-ciel przyrody, dałbym taką nagrodę motywacyjną, żeby zdomingował, prawdę, do wytę-żonych wysiłków. Moim zda-niem, nagroda należy się zespo-łowo Przedsiębiorstwu Zieleni Miejskiej. Za szczególne osią-gnięcia w dziedzinie pielęgnacji parków łódzkich!

— Panie Heniu, pan żeś się pozamieniał na głowy z tym, mo mniesza o to z kim. A możeś pan niezdrow? Przecie w łódzkich parkach jest jeden ayt, żeby nie powiedział AIDS! Śmiecie, błoto, brud i smród. Nawet labedzie już chyba po-wyzdychały. Sam widziałem je-dnego jak popełnił samobój-stwo: napił się tej wody, co w niej pływał i zdechł za kwa-dras, nawet nie wydał z siebie żadnego jęku, nie mówiąc już o tzw. labedzim śpiewie.

— I właśnie dlatego propo-nuję tę nagrodę. Może dyrek-cja zieleni miejskiej się zawsty-dzi i zaprowadzi jakąś mini-malną kulturę w parkach. Wte-dy nagroda spełni swą motywa-cyjną rolę. I będzie nagrodą za upowszechnianie kultury. Prze-cież odpoczynek w pięknym otoczeniu to też kultura?

— Pan jesteś niepoprawny marzyciel. Ale skoro pan pro-pozujesz taką nagrodę to ja też mam pomysł: za upow-szechnianie kultury życia co-dziennego trzeba dać zespoło-wą nagrodę MPK. Zwróć pan uwagę, że ludzie już stoją bez szermierza po czterdziestu minut na przystankach, tłoczą się jak nieboskie stworzenia nie tylko w godzinach szczytu a przez cały dzień i co? I naród nie kłnie! Tak nas komunikacja miejska wytrzesowała! Tak nam poziom kultury podniósł na niesłychane wyżyny! Naród spo-kojny, cierpliwy, jakby jakiś chory był. A to nie to, żadna choroba, to przyzwyczajenie i ogromna kultura społeczna, że nie wspomnę o kulturze języ-ka...

— Takich pretendentów do nagrody to się znajdzie więcej — pani Lala, dotąd cierpliwie przysłuchująca się dyskusji, wreszcie miała okazję zaintere-sować sobą rozgadanych panów — handel też ma ogromne za-sługi w ukulturalnianiu łódzian, pocztą i telefonem, służba zdra-wia... Jeszcze inni też by się znaleźli.

— Jednym słowem, panie La-lu, dookoła nas, dajmy na to, nieustający uniwersytet... kul-tury na co dzień, taka Joga szkoła pokory, cierpliwości i hartu ducha? To mnie przekonuje, ja panie Zenku proponuję, żebyśmy jako kolektyw, dajmy na to, wystąpili do „Odgłosów” z propozycjami: dla Zieleni Miejskiej za stan parków w mieście, dla MPK, PSS „Spo-łem” i Dyrekcji Poczty i Telefo-nów za upowszechnianie kultu-ry językowej i podnoszenie o-gólnej kultury społecznej.

— Nie wiem, czy jesteśmy u-powżnieni — pan Zenek nie był zachwycony propozycją.

— Jesteśmy, jesteśmy. A łó-dzianie nas popra, wszyscy prze-cież kochają MPK, handel i pocztę oraz naszą dumę, parki miejskie! Żeby tylko goście za-graniczni na międzynarodowych targach „Interfason” trafil na dasek... Nie pójdą wtedy do parku.

KAROL

3

Sport

W Atenach wiał

Wiatr ułkładał na murawie stadionu piękne wzory z poro-szczonych hojną ręką papier-ków. Widać stęsklenie MPO też ma kłopoty ze sprzątaniem śmieci. Ateny to piękne mia-sto i starożytne. Powstało już w II połowie drugiego tysia-letcia przed naszą erą, czyli tak dawno, że sama nie wiem, co się wówczas działo na ziemiach, gdzie dziś Polska leży. Trzeba byłoby o to zapytać archeolo-gów. W Atenach jest Akropol z bardzo cennymi ruinami. W ogóle zabytków tam mnóstwo, co przyciąga turystów z całego świata, Polaków również. Wła-snie ostatnio bawiła duża gru-pa turystów z Polski, co w śro-

dę wieczorem (29 kwietnia 1987 roku) pokazała nam telewizja.

Starożytni Grecy — jak wla-dono — wymyśliłi olimpiady i dlatego w Atenach jest sta-dion olimpijski, na którym to stadionie odbyło się barwne wi-dowisko sportowo-rozrywkowe, takie ateńskie show. Turysty z Polski oraz grupa miejscowych piłkarzy grali w piłkę nożną, chociaż strasznie wiało. Nawet jeden ateńczyk wystąpił z tego powodu w czarnych rajsto-pach, co robiło duże wrażenie na widzach. Inny ateńczyk, w starszym już wieku, a Andrzej Zydorowicz mówił z Aten, że to trener miejscowych piłkarzy, rozkładał przed widzami piękny koc, cały w różne desenie. W kolorach, to on pewnie był jeszcze piękniejszy, ale ja to widowisko oglądałem w tele-wizorze czarno-białym. Chcia-łabym też mieć taki koc, ale nikt mnie nie chce wysłać do Aten w żadnym celu ani pod żadnym pozorem. Szkoda.

Nasi wystąpili w kostiumach jasniejszych, a tamci w ciem-niejszych i grali dużo lepiej od naszych. Nie ma zresztą czemu się dziwić, gdyż ich uczyli grać w piłkę Kazimierz Górski, Jacek Gmoch, Andrzej Strzeliu i kilku innych facho-wców. Widać dobrze uczyli, a Grecy jako uczniowie są bar-dziej pojebni niż nasi. I stąd grali lepiej, choć też nie udało się im strzelić do przerwy żadnej bramki. A starali się bar-dzo i robili to wcale udanie, tylko było im pod wiatr i stąd te trudności. Naszym było wpra-wdź z wiatrem, ale Grecy im skutecznie przeszkadzali.

Gdy jugosłowiański sędzia Zoran Petrović odgrywał prze-rwę, na ekranie pokazał się An-drzej Strzeliu, który wygłosił pogadankę na temat taktyki zastosowanej przez naszych tre-nerów. Andrzej Strzeliu — jak głosił napis na ekranie — jest szefem wyszkolenia w PZPN i trudno mu krytykować swoich podwładnych, bo krytyka ta od-nosiłaby się też do niego. A kto dziś zdobędzie się na taki masochizm, aby publicznie ka-jać się przed zawodnikami ki-bicami? Słuchałam więc z o-gromnym zdziwieniem tego, co opowiadał nam Andrzej Strzeliu, gdyż była to pogadanka przygotowana do zupełnie in-nego meczu i przeżyła ogląda-nie przez wszystkich rzeczywi-ście. Ale marzycielstwo jest ulubioną zabawą Polaków, więc i moje zdziwienie szybko mi przeszło, a pojawiło się ubawie-nie, gdyż potwierdziło się, że oglądamy dobrze przygotowa-ny i wyreżyserowany show.

W drugiej połowie Grecy grali z wiatrem i strzelili bram-kę, przez co zanotowali na swo-im koncie następne dwa punkty. Nasi pięknie udawali, że też chcą strzelić, ale teraz to już było im pod wiatr. Skoro nie udało się im strzelić, gdy gra-ł z wiatrem, to tym bardziej nie mogło się udać, gdy grali pod wiatr. Z przykrością mu-szę stwierdzić, że nie wiedzia-łam, iż w Atenach wiało tak-że silne wiatry.

W drugiej połowie widowiska sportowo-rozrywkowego kilku Greków, którzy siedzieli na ławce koło płyty stadionu, na-gle się poderwało i odciałył jakiś mało znany grecki tancer, ale nie była to zorba, gdyż zor-be widziałam w kinie i telewiz-ji, choćby w filmie „Grek Zorba”. Taniec ten — jak mnie-mam — miał bezpośredni zwią-zek z tym, że miejscowym pi-lkarzom udało się to, czego nie mogli zrobić przyjeźdźni.

Główny opiekun przyjeźd-nych, Wojciech Łazarek łapał się za głowę, zakrywał oczy, co grecki kamerzysta pokazywał z lubością. Miał brakovalo, a-by opiekun wyrwał sobie wio-sy razem z cebulkami. Moim skromnym zdaniem byłoby le-piej, gdyby powyrwał to i o-wo swoim podopiecznym. Nie dość bowiem, że grali nie naj-lepiej, to jeszcze faulowali na potęgę i Zoran Petrović mu-siał pokazać jednemu z naszych żółtą kartkę, a nie jest to ko-lor ulubiony przez piłkarzy.

Nie tak dawno nasi piłkarze grali z piłkarzami Cypru, któ-ry przyjechali do Polski. I choć nie wiał wiatr, to nasi nie potrafili też im strzelić gola, na co mieli — tak się wcześniej mówiło — ogromną ochotę. Tradycji zatem stało się zadość i nasi nie wygrali eliminacji do mistrzostw Euro-py, a trener Wojciech Łazarek powinien głęboko się zastano-wić, czy ma dalej ich uczyć te-go, czego nauczyć nie potrafi, czy też ustąpić miejsca komu innemu.

BOGDA
MADEJ

Sodoma

JACEK KRAKOWSKI

(12)



My także. Podobno w innych miastach istnieją jakieś nakazy, obowiązki, przepisy... Zauważyliście, że tutaj każdy robi to, na co ma ochotę. Przeważnie jednak ludzie nie wiedzą, co z sobą zrobić i żyją tak jak dawniej. Jak kiedyś, spytał Sylwester.

Nie wiem. Tak się mówi. Nie zauważyliście, że mają tutaj miejsce powę... dziwactwa. Ale Keniu, Hieronim tak nas prosił... Ale im chyba można...

Znacie się z Hieronimem?

Oczywiście. Przysiał do nas list, kiedy zmienił się przyjechać. W końcu jesteśmy jego stryjczymy wnuczkami.

Twierdził, że zostal z miasta wypędzony za podżuczenie waszej rodziny.

Bzdury, bzdury, bzdury, rzekła Xenia. Mogą być one jeszcze jednym dowodem, świadczącym o tym, że nas nie ma. Normalni ludzie nie potrzebują takich głupstw.

Ala jedźmy karą, rozmawiamy...

Właśnie Czy to jest normalne, żeby przez współczesne miasto jechać karą?

Mówiliście, zdaje się, że to wasza kara.

Nigdy w życiu. Po prostu od pewnego czasu pedzimy karą na bal. Razem z wami.

Zdaje się, że znalazłście nas...

Owszem. Podjechaliśmy karą na brzeg pałacu i wrzuciliśmy was do środka.

Kto powozi konie?

Nasz woźnica, Hieronim. Płacimy mu od nosi przebytych kilometrów.

Dlatego zawsze cholernie nas obwozi.

W związku z czym zawsze wyjeżdżamy trzy godziny wcześniej.

A i tak zawsze spóźnimy się na poczek.

Poczek czego, spytał szepem Laurenty.

Wszystkiego, co by nie było, odparła Xenia. Jeśli coś gdzieś się zaczyna, my na pewno będziemy spóźnione.

Obawiam się, że nawet na koniec świata przybędziemy ostatnie, zaśmiała się Felixa. Oczywiście, to wszystko wina Hieronima.

Ala to jakiś inny Hieronim?

Jest tylko jeden Hieronim na tym świecie. Przecież on jest ciężko chory.

Co nie przeszkadza mu powozić karą.

Wykłęby z miasta.

Wkręca się wszędzie, gdzie można zarobić choćby parę groszy.

To prorok.

Myje podłogi i okna w naszym domu, jeżeli zachodzi potrzeba.

Mówił nam, że nasze przybycie otoczone będzie najciszejszą tajemnicą.

Przemawiał przez telewizję, zawiadamiając o naszym przyjeździe.

Nic z tego nie rozumiem.

My też. Dlatego właśnie pomyślałmy o tej prawdzie. Zważywszy jak długo jedziemy przez ten cmentarz.

Same mówiliście, że Hieronim obwozi.

Ala nie aż tak.

Chyba, żeby zasiał.

Przecież konie doskonale mają drogę.

Prawda, już nieraz jeździliśmy na ten bal.

Co, krzyknęliśmy obaj.

Pstro. Powiedziałam, że to nie jest pierwszy bal w naszym życiu.

Odkąd tylko sięgnę pamięcią, zawsze jeździliśmy na bal.

I zawsze się spóźnialiśmy.

Ala to nie była nasza wina.

Nigdy!

Kara przestała nagle trząść. Jechaliśmy rozległym łukiem kilkupasmowej autostrady, która

za, jak nam się wydawało, prowadziła do centrum miasta. Obok nas samochody pedzili jeden za drugim, jednak kara nie dawała się wyprzedzić, przeciwnie — gnęła pasażerów najszczęśliwego ruchu mijając wolniej jadące auta. Woźnica wesoło trząskał z bicia, a my, mając przed oczami ogromną, czarną banie zachodzącego słońca, oddychaliśmy głęboko, przewiew chłodnym powietrzem tropikalnym, nasionami w ciemach karety. Bezchmurne niebo jaśniało różem i błękitem.

Ekstrawaganca, rzekł Laurenty, gładka moda jeździć karą po mieście.

Widziałeś łam, spytała Xenia.

Nie każdego stać na takie kaprysy.

Tylko nasza rodzina, zauważyła Felixa.

Dokąd jedziemy?

Na bal.

Kto ten bal wydeje?

Lancelot Quest, nasz ojciec.

Gdzie?

Jak to gdzie? W naszym pałacu.

Co?

Dziwi to was? Przecież Lancelot jest prezydentem Sodomy. Abdykując, Hieronim przekazał władzę w jego ręce, likwidując tym samym monarchię i powołując do życia prezydenturę.

Skaż wam to przyszło do głowy?

Jak to skąd? Tak było zawsze.

Ala w naszym domu...

Żyjemy bardzo skromnie, nie chcemy bowiem, żeby ludzie wzięli nas za języki. Nie każdy zresztą musi zarządzać, czym naprawdę zajmujemy się nasz ojciec.

A ten pałac?

To pałac prezydencki przekazany naszym ojcu przez mieszkańców Sodomy w dowód ogólnej wdzięczności. Zbudowany całkowicie ze składek społecznych i w ogóle społecznych po godzinach pracy.

To jakiś obiad, krzyknął Laurenty.

Być może, odrzekła Xenia, ale nie nie możemy na to poradzić. Teraz tak jest naprawdę, lecz jutro może się wszystko zmienić.

A jednak widnieć w tym coś bezczelnego, powiedział Sylwester.

Bezczelność czy sens — to już jest w tym, odparła Felixa. Widać to na już to do siebie.

Ala co, co, pytał Laurenty.

Nie wiem. Nigdy nie próbowałam tego nawać. Czy ja wiem... Jakaś nieokreśloność, która jednak działa od czasu do czasu niby przymus. Zbiera przypadki, porządkuje je, zawiązuje i rozwiązuje okoliczności. Sama nie wiem, jak to określić. Czasami coś zaczyna się dziać, jakby z góry nakreślonego planu, po czym rozpada się, rozdziela, jakby ktoś o czymś zapomniał albo nie chciał mu się dalej prowadzić tego wątku. Jakby... nie wiem jak to powiedzieć, nagle zaczynała się inna opowieść, wyrzeka z tamtej, poprzedniej. W pewnym momencie coś zaczyna się zmieniać, właśnie tam, czujemy, myślimy, a tutaj zdarza się zupełnie coś innego. Dwa światy płaczą się ze sobą niby korzenie dwóch roślin, które nie mogą się w jedno drzewo. Nie rozumiem, co to znaczy.

Felixa, nie przesadzaj. Takie jest właśnie to tutaj i nie ma się nad czym zastanawiać. My też jesteśmy tacy. Nawet gdyby zagładał nas nastąpiła. I tak nie o niej nie wiemy, więc dajmy sobie spokój. W końcu jedziemy tylko na... Nagle uderzenie gorącego wiatru wdarło się do wnętrza. Kara przechyliła się, zakrzywiła, jak krawężnik rozdarło wieczorne niebo, huk wstrząsnął powietrzem i drżenie przeszło nasze ciała.

„Z Wiskym iacy Jacka Krakowskiego skłonność do filozofowania na własny rachunek i chyba równie mało nabożny stosunek do akademickich i w ogóle oficjalnych filozofii. (...) Witkiewicza stał na swą, karykaturę i wady w stosunku do intelektualnego języka (...) W SODOMIE parodiuje się filozoficzną oficjalność, nie naruszając w niczym założeń językowej intelektualności powołanego użytku, konfrontując ją zewnętrznym białym z niskim językiem wulgarnym, bądź z wysokim językiem natchnionym”.

kami, torbami i plecakami tłoczyli się na chodniku, posuwając się noga za nogą poprzez pasy dające teraz deszcz se śniegiem. Reflektory nie wieszono na narożnych domach skierowane były w stronę człowieka, który stojąc na maskach kilku przetrzonych samochodów, krzyknął coś wymachując rękami. Nagle konie szarpnęły do tyłu i kara przechyliła się na sunący obok sportowy kabriolet, zakrzyczała się, trzęsąc wszystkich więzianiami.

Wysiadamy, powiedziała Xenia, to już niedługo.

leko.

Zawasz wysiadacie w tym momencie, spytał Laurenty.

Nieraz uda nam się podjechać trochę dalej, odparła Felixa, ale nigdy nie udało nam się przejechać przez to skrzyżowanie.

Nie mamy uciechy, rzekł Sylwester.

Owinę się na razie naszymi płaszczami, odrzekła Xenia. Czy myślicie, że ktoś na was będzie zwracał uwagę. Każdy jest zajęty swoimi sprawami, zresztą trudno się dziwić w tej sytuacji. Wychodźcie.

Wysiadamy z karety i wdrapawszy się na dach najbliższego samochodu, próbowaliśmy znaleźć jakieś przejście. Cztery konie: kary, siwy, gniady i kasztan, które takim galopem pedzili, wioząc nas przez cmentarz, leżały wyciągnięte na jezdni, oddychając chrapliwie i tocząc z pyłką różową pianą. Woźnica w obszernym kożuchu i czapce nasuniętej na oczy usiłował wciągnąć się do czarnego samochodu, w którym siedziało dwóch zamaskowanych mężczyzn, Xenia i Felixa nie zwracali na to uwagi. Chwyciliśmy nas pod ręce skakali po dachach aut, próbując się dostać jak najbliższej drodze skrzyżowania, skąd przemawiał siwowłosy starzec.

Kto to jest, spytał Laurenty, gdy wreszcie stanęliśmy na otwartej skrzyni ciężarówką, niedaleko przemawiającego.

Falszywy prorok, odparła Felixa. Jego pojawienie się sprawia jak najlepsze wrażenie nawet w zupełnie szalonych kreskach synoptyków. Mam nadzieję, że on będzie wiedział jak wykonać się z tego zamętu.

Domy towarowe zapraszają, wrzeszczał siwowłosy starzec. Wielka obniżka cen! Atrakcyjne towary, kolorowe opakowania, wstążki bezpłatnie. Do każdego dzisiaj zakupionego dziesięciu pierzyn dodajemy bezpłatnie paczkę gwarantowanych przetrwaw. Do każdego zakupionego kilograma biżuterii dodajemy bezpłatnie seif i dzwonek alarmowy. Okazja, wielka okazja! Figi dla tężych pań i posarła dla starszych pań w wielkim wyborze. Ludzie, ludzie nie ma na co czekać! Jutro może być za późno! Zapamiętajcie ten adres: Feralna 13. Tylko tam spełnią się wasze marzenia.

Idziemy, rzekła Xenia. To jeszcze kawalek drogi. No, nie odciągajcie się. Nie widzieliście nigdy wróżby. Przepowiada prawdziwą przyszłość. Tak, a wy pewnie myśleliście, że będzie wyglądał jak głupota. Nie z tego. Nieraz już przekonaliśmy się, że ta wróżba spełnia się nadzwyczajnie.

Zesłaliśmy na jezdnię i ciągnęli za ręce przez kobiety, przyskakiwały się, stając po krawężniku, między rzędem aut a prawie drepczącym w miejscu tłumem przechodniów.

Nie wiada, żeby ludzie bardzo przejęli się tym upadkiem meteoru, zauważył Sylwester.

Bo też nie ma się czym przejmować, odrzekła Felixa. Gdyby każdy przejmował się byle głupstwem, ładnie by wyglądało nasze miasto. Zresztą oni już się do tego przyzwyczaili. Obawiam się, że zwyczajność i niemożliwość wprawiały ich w trudną do opamiętania twórcę. Nie ma sensu czegośkolwiek zmieniać, jeśli funkcjonalność zasad tego nie wymaga.

Ala jednak zrobiło się pewne zamieszanie, powiedział Laurenty.

Zamieszanie, zaśmiała się Xenia. To normalna godzina popołudniowego szczytu. Każdy chce jak najszybciej znaleźć się w domu, a przedtem porobić niezbędne zakupy. Panika zaczyna się mniej więcej za godzinę, dodała patrząc na zegarek. Dobrze, że przestało padać.

Nagle z bramy, obok której przechodziłmy rozległo się wycie syreny i biało pomalowana kara pogotowia zaczęła rozdzielać tłum, chcąc się wydostać na jezdnię. Ludzie cofali się, kobiety puściły nasze dłonie. Kiedy samochód przejechał, wciągnął w strumień pieszych, nie byliśmy już w stanie odnaleźć Xenii i Felixy.

Wtedy dopiero zauważyliśmy, że przechodnie mają w rękach niewielkie chorągiewki. Grupa idąca tuż przed nami miała proporcję w kolorze czerwonym, natomiast osoby olczające nas — w niebieskim. Doszliśmy właśnie do szerokiej alei wysadzonej lipami, która ukośnie dochodziła do naszej ulicy. Tłum zaczął rozdzielać się na grupy, zgodnie z kolorami chorągiewek i ludzie szybko zajmowali jakby z góry umówione miejsca, tworząc szpalier widów znacznie wypełniających chodnik. Ci, którzy nas popychali, bezbłędnie odnaleźli swoje miejsce tuż przy krawężniku.

Staliśmy w ciszy między dwóch potężnych mężczyzn, którzy od czasu do czasu wznosiły ręce jakby w geście powitania, wrzeszcząc niezrozumiałe słowa, a ludzie podchwytywali i powtarzali te same gesty i okrzyki... Co chwila fala szepotów przepływała przez tłum wznosząc się aż do jęków i histerycznych śmiechów. Nagle gromkie „Jest! Jest!” wstrząsnęło powietrzem. Ludzie zaczęli się przysychać, wychodili na jezdnię i paręć w stronę, z której nadciągał kordon motocyklistów. Za nimi szły dziewczęta w krótkich spódnicach, rzucając kwiaty z koszyków i chłopcy w sportowych strojach, niosący różnokolorowe sztandary. Dopiero, gdy przeszli, witali okrzykami radości, zza zakrętu wyłonił się ogromny smok, strzelając wokół siebie ogniami. Przypominał on właściwie dość cinną zabawkę na kółkach — tyle, że powiększoną i rytmicznie wypuszczającą z kół szącego się pyska kłęby dymu i ognia. Smok poruszał bionistycznymi skrzydłami, przewracał oczami i ryczał, wymachując ogonem upstrzonym błyskawicami żarówkami. Mimo cuchnącego dymu spływającego pośród szpalier zgrupowanych, ludzie skandowali jakieś słowa, trzepocząc chorągiewkami w uniesionych rękach. Kiedy smok przybliżył się do nas, spostrzegliśmy, że to ce dotychczas braliśmy za garb na jego ciemnozielonym grzbiecie, jest rodzajem lektyki, w której stoi, trzymając się barierki Atanazyja i podtrzymując wszystkich gestem łagodnym, lecz zdecydowanym.

C.D.N.

19 (1519), XXX, 9 MAJA 1987 R.